Szukaj wydania z płytą



GARGAS O TAŚMACH MICHNIK-JARUZELSKI

CHCĄ IV RZESZY



DODATEK GIGANCI NAUKI PL

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 50 (472) 2021
13–19 grudnia 2021
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

NIEMIECKA SITWA W UNII

KULISY WIELKIEGO SKANDALU Z UDZIAŁEM LUDZI KOMISJI EUROPEJSKIEJ ORAZ SĘDZIÓW UNIJNEGO TRYBUNAŁU SPRAWIEDLIWOŚCI.

SPRAWA RODZI MOCNE PYTANIA DO TUSKA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

Przeżyj tegoroczne święta w wyjątkowej atmosferze wspólnego kolędowania

Bieżące wydanie tygodnika SIECI dostępne również z unikatową płytą z najpiękniejszymi kolędami



Już w sprzedaży

Kolędowanie z Janem Pawłem II

Bracia Golec wiele razy udowodnili, że w kolędowaniu są prawdziwymi mistrzami, jednak album „Kolędowanie z Janem Pawłem II" jest czymś zupełnie unikatowym. To nie tylko zbiór najbardziej lubianych bożonarodzeniowych kolęd i pastorałek, lecz także brawurowy projekt, w którym, dzięki technologii, udział bierze Ojciec święty Jan Paweł II. W efekcie słuchacze odnoszą wrażenie, jakby święty Jan Paweł II kolędował z Golec UOrkiestrą.

Wydania z płytą szukaj w kioskach. Płyta dołączona do części nakładu tygodnika „Sieci".

Partnerzy wydania z płytą:

ALIOR BANK · KGHM POLSKA MIEDŹ · LOTOS · TOTALIZATOR SPORTOWY · 65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

eprasa.pl 209ccf7e7a

Lekcja Michnika

Żył sobie kiedyś dzielny opozycjonista Adaś Michnik. Był polskim patriotą, walczył z komunistycznym zniewoleniem, marzył o demokracji i wolności naszego kraju. Był represjonowany i spędził lata w więzieniu.

Kiedy jednak perspektywa obalenia komunizmu zbliżyła się na wyciągnięcie ręki, Adaś zmienił się w Adama. Dogadał się z dawnymi przeciwnikami. Wspólnie z nimi zaczął blokować procesy demokratyzacji i upodmiotowienia Polski. Uznał, że transformację, czyli modernizację oraz europeizację kraju, przeprowadzić należy ponad głowami Polaków, nie pytając ich o zdanie. Stał się ważną figurą oligarchii, która trzymając w ręku najważniejsze instytucje kraju, mimo procedur demokratycznych, długo potrafiła kontrolować całość życia w Polsce.

Materiały wyemitowane w „Magazynie śledczym Anity Gargas" pokazują niezwykłą zażyłość między Adamem Michnikiem a Wojciechem Jaruzelskim, komunistycznym dyktatorem rządzącym naszym krajem z moskiewskiego nadania. Uczuciowe eksplozje oglądamy dziesięć lat po upadku PRL, ale trwałość i intensywność owych prywatnych relacji dużo mówi nam o naszym życiu publicznym.

Prawdopodobnie Gargas zostanie zaatakowana za eksponowanie „spraw osobistych". Michnik potrafił terroryzować swoich krytyków pozwami sądowymi, a Temida III RP ochoczo skazywała niefortunnych krytyków szefa „Wyborczej". Można domniemywać, że i w tym wypadku sprawa może się skończyć w sądzie. Jednak relacje między szefem najważniejszego od wielu lat medium w kraju a kraju tego byłym dyktatorem powinny być analizowane w domenie publicznej.

Michnik uzasadnia zmianę oceny komunistycznych liderów tym, że jakoby doprowadzili oni do demokracji. Fakty temu przeczą. Kiedy komuniści zorientowali się, siłą rzeczy wcześniej niż ktokolwiek inny, że skończył się moskiewski gwarant ich panowania, próbowali porozumieć się z częścią opozycji, kooptując ją do rządów, czyli stosując wypróbowany wcześniej manewr. Jak widać – skutecznie. Tak długo, jak było to możliwe, usiłowali zachować pełnię władzy. Potem jej wymiar polityczny przetransferowali w gospodarkę, uwłaszczając się na potęgę i przejmując najważniejsze instytucje społeczne. Tyle że już nie sami. Michnik był ich najważniejszym sojusznikiem.

Czy warto się nim zajmować? Nie pierwszy to przypadek, gdy dawny ideowiec sprzeniewierzył się swojej pięknej młodości. Przez 20 lat odważnie walczył o Polskę, przez ponad 30 odcina od tego kupony, realnie kwestionując to, w imieniu czego wcześniej występował. Zdarza się.

W tym wypadku jednak mamy do czynienia z jednym z architektów III RP, a opowieść o jego relacji z szefem nomenklatury komunistycznego systemu, na którego nawozie wykwitła Polska Michnika, odsłania fundujący ją układ. Jest również dokumentem na temat psychologii renegata na wielką skalę. Takiemu nie wystarczy zmienić sojusze. On musi pokochać dawnych wrogów. Swoje odstępstwo malować będzie jako kontynuację; immoralizm jako hipermoralność. W tym sensie to opowieść nie tylko o Michniku, lecz o naszych czasach, w których nihiliści odrzucający etykę stroją się w piórka hipermoralistów. Lekceważąc losy swojej narodowej wspólnoty, deklarują, że walczą o wykluczonych; uderzając w etyczne fundamenty cywilizacji, głoszą, że uwalniają człowieka.

Dziś w Agorze toczy się wojna domowa. W ramach oszczędności szefowie spółki zablokowali niebywałe żądania najbliższych współpracowników Michnika (samochody z szoferami, kolejny rok odprawy), a zaatakowani – upublicznili je. W odpowiedzi Michnik stwierdził, że zachowują się jak prześladujący go komunistyczni funkcjonariusze w czasie antysemickiej kampanii 1968 r. Nie przejmował się tym, że w zarządzie Agory znajdują się jego przyjaciółki, które w tym samym czasie poddawane były takim samym represjom. Hipermoralistyczna retoryka Michnika odsłania swój groteskowy wymiar.

Ten, który cały swój kapitał moralno-polityczny zbił na walce z komunistyczną nomenklaturą, kiedy trzeba, pokochał jej lidera, a jakąkolwiek próbę rozliczenia PRL, czyli przywrócenia ładu etycznego i sprawiedliwości, publicznie kwalifikował jako bolszewizm.

Pouczająca lekcja.

Bronisław Wildstein



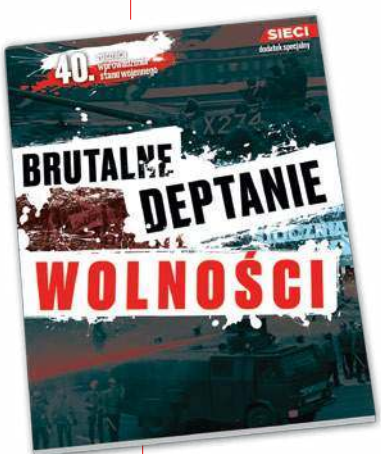
Autopromocja

eprasa.pl 209ccf7e7a

SIECI spis treści



36 *Cena badania Smoleńska* *Marcin Wikło*



53–65 *40. rocznica wprowadzenia stanu wojennego* *Dodatek specjalny*



69 *Chuligan w walce o prezydenturę* *Jan Rokita*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **POWRÓT DO FEDERAJCHU**
Krzysztof Feusette

9 **LECZENIE REGLAMENTOWANE**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **FUNKCJONARIUSZE NIENAWIŚCI**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **CZTERDZIEŚCI LAT WCZEŚNIEJ**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA KRZYSZTOFA ZIEMCA**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **„POSTĘPOWA" POPRAWNOŚĆ I PONURE SKOJARZENIA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **GAFAM BUDUJE NAM NOWY WSPANIAŁY FASZYZM**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 **SKANDAL NA SZCZYTACH UNII EUROPEJSKIEJ**
Aleksandra Rybińska

24 **Z SEBASTIANEM KALETĄ**
rozmawia Wojciech Biedroń

KRAJ

26 **Z ANITĄ GARGAS**
rozmawia Weronika Tomaszewska

30 **ZAWRACANIE PSL**
Stanisław Janecki

32 **NA PÓŁMETKU KADENCJI**
Konrad Kołodziejski

34 **IV RZESZA – IDEOLOGIA I INSTRUMENTY NACISKU**
Jakub Augustyn Maciejewski

36 **CENA BADANIA SMOLEŃSKA**
Marcin Wikło

40 **JOANNA UCIEKA, CZYLI CIĄG DALSZY NASTĄPI**
Maja Narbutt

42 **WOLNO RATOWAĆ ZDROWIE I ŻYCIE KOBIETY**
Dorota Łosiewicz

46 **Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ**
rozmawia Edyta Hołdyńska

48 **HOTEL POD SKORUMPOWANYM ORDYNATOREM**
Maja Narbutt

STAN WOJENNY 1981

54 **Z ADAMEM BOROWSKIM**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

58 **WOJNA JARUZELSKIEGO**
Piotr Gontarczyk

60 **„GORSI JESTEŚCIE OD HITLEROWCÓW"**
Grzegorz Majchrzak

62 **Z ELŻBIETĄ KRÓLIKOWSKĄ-AVIS**
rozmawia Michał Karnowski

ŚWIAT

66 **USTĘPSTWA MASKOWANE TWARDĄ RETORYKĄ**
Marek Budzisz

69 **CHULIGAN W WALCE O PREZYDENTURĘ**
Jan Rokita

HISTORIA

72 **BARDZO DZIWNA WOJNA**
Wojciech Lada

DODATEK SPECJALNY

77 **GIGANCI NAUKI PL**
prof. Bolesław Orłowski

SIECI KULTURY

87 **MOCNE ROLE WERONIKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

90 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

92 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

100 **Z MARCINEM HORAŁĄ**
rozmawia Maciej Wośko

104 **JAK REGULOWAĆ RYNEK POŻYCZKOWY PO PANDEMII?**
Debata „Gazety Bankowej"

PODRÓŻE

122 **MOJE SZLAKI: KRZYSZTOF JAWORSKI (DŻAWOR)**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

123 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

124 **PSYCHOZA STANU WOJENNEGO**
Hanna Karp

126 **BOŻONARODZENIOWY CZAS**
Alina Czerniakowska

127 **TEMIDA LEMPART**
Wiktor Świetlik

127 **SŁUŻBA**
Lech Makowiecki

128 **ŻYWOT CEZARA**
Tomasz Łysiak

128 **I JAK TU NIE LUBIĆ NIEMCÓW?**
Piotr Cywiński

129 **BALIŃSKI – WPIS Z PRZESZŁOŚCI**
Leszek Długosz

130 **ALKOHOLIZM Z PERSPEKTYWY TABORETU**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 53/1121/F

eprasa.pl 209ccf7e7a

ORLEN

RAZEM

DBAMY O ZDROWIE



Twoje musy wspierają polskich rolników

Bo wybierasz zdrowe i naturalne produkty,
pochodzące z polskich upraw.
Dla dobra nas wszystkich.

#zDbałościąoNaturę

z dbałością o naturę • z dbałością o naturę •

eprasa.pl 209ccf7e7a



Sygnalista nadaje

„Nasza niepodległość rozgrywa się także na Ukrainie. Każdy, kto naraża niepodległość Ukrainy na szwank, jest zdrajcą polskiego interesu narodowego” – ocenił Donald Tusk, zaliczając do tego grona także Jarosława Kaczyńskiego, ponieważ lider PiS zaprosił do Warszawy „polityków jawnie antyukraińskich i prorosyjskich dosłownie w przeddzień wydarzeń, które mogą zdecydować o losach Ukrainy”. W sumie jasny komunikat: Tusk będzie zwalczał z wszystkich sił próbę zablokowania niemieckich planów imperialnych.

Tuskowi – któremu nie podobało się zaproszenie do Warszawy Marine Le Pen – odpowiedział prof. Andrzej Zybertowicz: „Mniejszym złem są politycy, którzy punktowo, dla celów taktyk politycznych, mogli Putina popierać, od polityków, którzy w powiązaniu z grupami biznesowymi swoich krajów strukturalnie rozbijają zdolność Unii do bezpiecznego rozwoju swojej energetyki”. A poza tym: „Jarosław Kaczyński nie jest i nie będzie zakładnikiem pani Le Pen, a Donald Tusk był i jest zakładnikiem elit niemieckich”. Celne. Tusk samodzielnej polityki prowadzić już nie może.

Rzekomo antyrosyjski Tusk jest szczególnie ciepło traktowany przez wschodnich satrapów. Był kiedyś „człowiekiem Moskwy w Warszawie”, teraz komplementuje go Łukaszenka. Władca Białorusi w rozmowie z rosyjską agencją informacyjną mówił m.in.: „Polska jest pod zewnętrzną kontrolą jeszcze gorzej niż Ukraina, tylko oni nie kurzą, robią to cicho, spokojnie”. Dostrzegł jednak nadzieję: „Tam opozycja przybiera na wadze, zresztą wraz z przybyciem Tuska, a to jest silny polityk [...]. Będzie z kim rozmawiać [...]”. Co oni w nim widzą? W każdym razie czują miętę. Albo się bawią.

Dlaczego to Messi, a nie Lewandowski zdobył w tym roku Złotą Piłkę? Prof. Radosław Markowski ma teorię: „Przyznam, że bardzo żal mi Lewandowskiego, ale dziś Polacy w międzynarodowych konkursach nie wygrywają – »reprezentant« kraju rządzonego przez PiS ma pod górkę, chyba że byłby o cztery długości lepszy od kontrkandydatów”. Cóż, bywają światowe mody lub antymody na jakieś kraje, ale twierdzenie, że dziennikarze sportowi z całego świata śledzą „Wyborczą” lub wsłuchują się w antypisowskie tyrady prof. Markowskiego, to już przesada. Tym razem zdecydowała źle pojęta solidarność Ameryki Południowej z „ich” Messim.

Redaktor naczelny Onetu Bartosz Węglarczyk także walczy o nowe imperium, stawiając ultimatum: „Albo zbudujemy stany zjednoczone Europy, albo Europy nie będzie”. W tle zgrany argument: „Europa będzie potęgą, gdy będzie jedną Europą, a nie zlepkiem krajów ciągnących każdy w swoją stronę”. I także teza: „Im więcej władzy będzie miała Bruksela, tym więcej mamy jako Europa kart do zagrania w tej nowej wielkiej grze”. Jeśli o nas chodzi, to sądzimy, że w Europie z wszechwładzą Brukseli nie będziemy mieli żadnych kart.

Ten front jest bardzo szeroki. Historyk i publicysta Piotr Zychowicz w rozmowie z Onetem mówił, że „federacja europejska miałaby kolosalny potencjał”: „Jest jednak pewien problem: w każdej spółce najważniejszy głos ma właściciel największego pakietu akcji. A więc – w przypadku Europy – są to Niemcy”. A ponieważ sukces ekonomiczny III RP” to efekt współpracy z Berlinem, to „jakieś spektakularne zerwanie z Niemcami nie wchodzi w grę, bo oznaczałoby to katastrofę”. Cóż, mądre imperium nigdy nie gra jedną kartą.

Ale wróćmy jeszcze do Tuska. Jego zdaniem media publiczne „prześladują opozycję”: „Czy w ogóle dzisiaj ktoś jeszcze pamięta, czy w ogóle można sobie wyobrazić sytuację, w któ-

eprasa.pl 209ccf7e7a

rej za mojego premierostwa Orlen kupuje wszystkie prywatne gazety lokalne i regionalne, żeby zrobić z nich kolejną tubę do promowania PiS-u i do prześladowania opozycji? To nie są różnice między tamtymi epokami. To przepaść". Tusk ani III RP nie musieli niczego kupować. To były ich tuby niejako „z urodzenia".



À propos III RP, to coraz więcej wiemy o jej początkach. „Magazyn śledczy Anity Gargas" ujawnił cenne nagrania. Widzimy na nich, jak ***Adam Michnik*** czule wita się z Jaruzelskim. Mężczyźni trzymają się za ręce, a naczelny „Wyborczej" mówi tak: „Ja go kocham, ja go kocham, ja go kocham", po czym dodaje: „Dla mnie generał to jest polski patriota i zawsze nim był". Dla nas to gorzkie, ale co muszą czuć ludzie, którzy lata 80. spędzili na walce z komuną, zapłacili za to bardzo wysoką cenę, a potem zostali „oszołomami", bo nie chcieli obściskiwać się z Jaruzelem?



Minister Anna Moskwa została zapytana, czy Polska może zawetować pakiet Fit for *55*. Jej zdaniem nie. „Nie ma czegoś takiego jak jeden Fit. To 14 dokumentów i każdy z nich procedowany jest odrębnie – czasami to nowelizacja, czasami nowa regulacja. Każdy z tych dokumentów zawsze jest głosowany, na zgromadzeniach poszczególnych rad. [...] Polska będzie mieć prawo głosu przy każdym z tych dokumentów, ale nie weta" – odpowiedziała minister klimatu i środowiska. Chyba żaden kraj nie ma tak szczerych i prawdomównych ministrów jak Polska. Tylko czy to aby na pewno dobrze?

Na słowa minister Moskwy zareagował Jacek Saryusz-Wolski. „BŁĄD! Polska MA PRAWO WETA względem tych spośród 14 aktów legislacyjnych składających się na pakiet klimatyczny Fit for *55*, które są oparte o podstawę prawną, jaką jest art. 192 ust 2 TFUE w zw. z art. 194 ust. 2, które przewidują JEDNOMYŚLNOŚĆ" – przekonuje. W sumie takie deklaracje to nie tylko błąd merytoryczny, ale i taktyczny. Bo jeśli nie chcemy się bić o nasze podstawowe interesy, jeśli nie chcemy zbierać kart, to nie zawracajmy ludziom głowy.



Na granicy (nieco) spokojniej, ale lewica wciąż dzieli się swoimi przemyśleniami. ***Jerzy Owsiak***: „Tak naprawdę nie ma takiego muru, który by wszystko zatrzymał. Amerykanie już budowali mur. Niemcy również. A na koniec te mury nie zdają egzaminu, ktoś go obchodzi, skręca w inną stronę, w innym miejscu. I mur staje się bezużyteczny. Tak więc lepiej budować mosty niż mury i robić to wspólnie". Mistrz banału. I głupoty. Są mury, które zdają egzamin. Mur berliński, niestety, podtrzymał trwanie NRD o całe ćwierć wieku. Mur przy granicy palestyńsko-izraelskiej wyeliminował zamachy. Warto znać historię, jeśli chce się zabierać głos.

Owsiak sięgnął też po groteskowe porównanie migrantów z armią Andersa: „Tak samo my, Polacy, z armią Andersa pojawialiśmy się w innych dla siebie kulturowo miejscach. Musieliśmy iść »z buta« np. do Iranu, który przyjął nas bardzo gościnnie. Oczywiście było to kilkadziesiąt lat temu, może była inna sytuacja geopolityczna". Każdy, kto sięga po tę analogię, powinien wrócić do szkoły. Podstawowej. To wyjątkowo kompromitujące.

Lans na śmierci kobiety w Pszczynie i awantura z panią sprzątającą przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie zaczynają się odbijać czkawką liderce Strajku Kobiet. W trakcie wizyty w Sztumie miejscowy rolnik przyniósł Marcie Lempart mopa i wiadro z napisem „Będziesz sprzątać sama". „Niech ta pani posprząta swój bałagan. To jest prezent od kobiet z ziemi sztumskiej. Nie ma ich tutaj, bo są w pracy" – mówił mężczyzna. „Będziesz sprzątać sama" – niech to hasło zostanie z nami na dłużej, nie tylko w odniesieniu do pani Lempart, ale i całej nowej klasy próżniaczej.

Publicysta Piotr Gursztyn: „Refleksja po każdej codziennej prasówce: zasadniczymi cechami ludzi pracujących w mediach w PL jest szczera nienawiść, wzajemna pogarda i wysoka samoocena. Nikt tak bardzo nawzajem się nie lubi między sobą jak dziennikarze w Polsce. PS Są też wyjątki". Co ważne, nie chodzi tu o podziały polityczne, ale o emocje mediów lewicy. Cóż, tak to jest, gdy zawali się świat, który – wraz ze swoimi hierarchiami – miał trwać wiecznie.

Warszawski plakat świąteczny, na którym nie zmieściło się jakiekolwiek odwołanie do Bożego Narodzenia, wywołał falę komentarzy. Internauci zwrócili uwagę nie tylko na brak chrześcijańskiej czy choćby świątecznej symboliki, ale i na obłe życzenia: „Każdemu, bez wyjątków, wszystkiego dobrego". A także na to, że na plakacie widocznych jest osiem gwiazdek – pięć jasnych i trzy ciemne (nawiązanie do wulgarnego hasła wymierzonego w PiS?). Co więcej, z nazwy „Warszawa" wyodrębniono „War", czyli po angielsku „wojna". Czyli wszystkiego dobrego jednak nie każdemu, a jedynie tym, co myślą tak jak ***Rafał Trzaskowski***.

Fot. Andrzej Wiktor x3

eprasa.pl 209ccf7e7a

Powrót do federajchu



KRZYSZTOF FEUSETTE

Halo? Ja! To ja! Czekałem na wasz telefon. Hasło? Zapomniałem. Nie, zaraz... Fiurpoland? Fiurdonald? Ja. Federacjonen! Słucham? Można prosić jeszcze raz, bo coś mi przerywa? No, właśnie miałem o to zapytać. Ja, bo muszę sobie nowe pieczątki wyrobić. Jak? „Poland"? Tak po angielsku? Aha, „POland"? Ja wiem, że „land" musi być, jawohl. To może „Tuskmenistan"? Ja, nie ma „land", ale jest „stan", a to się kojarzy ze „Stanami Zjednoczonymi Europy". Rozumiem. Federacjonen. Czwarta, tak jest. Federajch pod flagą z dwunastoma gwiazdkami. Zaraz, a nie ośmioma? A nie, pardon. Mam też pytanie od Gdańska i Warszawy, to znaczy Danzig und Warschau, choć nawet nie wiem, jak jest „powiat" po federacyjnu. Federacyjnemu. Pytają, jaki będzie język urzędowy. Rozumiem. Najlepiej znać oba. A stolica to gdzie będzie, bo Rafał pytał. No, Trzaskowski, ten prawie prezydent, co prawie kongresmenem został. Nie, no, wiadomo, że nie w Warschau. Za bardzo zniszczona. Ja, ja wiem, że reparacje zamknięte. Ja nawet nie wypowiadam tego słowa. A Rafał pytał, czy jest szansa, że ten polski Berlin, z drugiej strony po co w Polsce Berlin, jak już jest w Berlinie, ale jakby miało być w miarę blisko, to on może wykończeniówkę w urzędach zrobić. Wszystko wykończy, i to taśmą klejącą. On już i w rurach robił, to znaczy nie on konkretnie, tylko mieszkańcy, a on to później musiał łatać, żeby mu się ekolodzy nie potruli. Słucham? Ja też jestem ekologiczny, ja. Przecież nawet auto na hulajnogę zamieniłem. Ja, zabrali. Policyjna prowokacja. Znak postawili z ograniczeniem do 50 w terenie zabudowanym. Tak jest ciągle. Kilka dni temu idę sobie Sopotem, patrzę, hulajnoga stoi. To ją, bach, wypożyczyłem. Nagle widzę, że po pasach jadę, chociaż kilka metrów wcześniej jakoś ich nie było. I już mnie tabloidy dopadły. O, właśnie, a ile będzie można po Federacji jeździć? Jak w Niemczech. No, tak, naturalnie. Słucham? Ależ oczywiście! Oj, w Polsce to jest wielkie poparcie dla tego projektu. My za Niemcami w ogień byśmy wskoczyli. A pewnie, że manipulują. Publiczne przede wszystkim. Ja osobiście jestem przekonany, że gdyby zapytać każdego Polaka z osobna, ale takiego, który w wojnie nikogo nie stracił... Jak to? A ja gwarantuję, że są, tylko trzeba poszukać. Zresztą nie muszą być tacy, co nikogo nie stracili, wystarczy, żeby zapomnieli. Znajdą się, znajdą. Jak po Smoleńsku się znaleźli tacy, co biegli na sowieckie cmentarze znicze palić na zgodę, to i teraz się znajdą. Muszą zrozumieć, że Federacja to jest najlepszy dowód na niemieckie samoograniczenie. Co było kiedyś? Ja, nie przypominajmy, ale co było? A dziś? Dyplomacja. Może i jakiś rurociąg, dobrze, niech będzie, że można było za niego chociaż więźniów politycznych na Białorusi uwolnić. Ale z drugiej strony, niby taki straszny ten Łukaszenka – chociaż w TVN24 pewnie by powiedzieli, że nie da się tego zweryfikować bez dziennikarzy na granicy – a jednak on jeden miał odwagę stwierdzić, że wybory w Polsce były sfałszowane! A to nie jest byle kto, bo 80 proc. miał w wyborach u siebie, więc na pewno miałem prawo powiedzieć, że „za moich rządów nikt ze świata nie podważał legalności wyborów". Wiemy, o co walczymy i gdzie jest wróg, panie Aleksandrze. Tak bym powiedział, gdybyśmy, dajmy na to, na molo poszli. Słucham? A kto tak mówi? PSL? A co oni mają do gadania? Kosiniak-Kamysz powiedział, że się ucieszy z mojego powrotu, jeśli powiem, że jak ktoś nie chce głosować na PO, to może na PSL, to tak powiem i z tygrysa powietrze zejdzie. Z lewicą nie gadałem. Millera na nich nasłałem, to ich gryzie, jak kiedyś Solidarność. Czy wy tam sobie, w tym nowym lepszym świecie możecie wyobrazić, że u nas, to znaczy o Polskę mi chodzi, były premier sugeruje na Twitterze obecnemu, że może go spotkać los Nicolae Ceaușescu? On, żywe maulozeum pezetpeerowskiego betonu z najczerwieńszymi krawatami w całym powiecie, a teraz jaki Europejczyk? To jest cudowne, że im się ciągle czerwona młodość przypomina. A najbardziej, jak do Brukseli wyjadą. Oj, bym zapomniał: Radek pytał, czy macie już kandidaten na szef dyplomacji Federacji? Słucham? No, ilu macie Radków, co wam łaskę w Berlinie robili? Tak, ten śmieszny... A nie wiem, czy specjalnie się tak czesze ostatnio. Nie, no, jaki z niego wódz, dajcie spokój. Zależy mi, żeby chłopaka nie zawieść, bo on się na tę federalizację napalił jeszcze bardziej niż na prawybory z Komorowskim. Aha, no, dobrze. Ale nie wiem, czy on jeszcze pięć lat w tym Chobielinie wytrzyma. Zawsze był narwany, jak szparagi pod Hamburgiem. Słucham? Oczywiście, że podeślemy! A kiedy trzeba zbierać, żeby się nie popsuły? To znaczy, stosunki, żeby nam się nie popsuły, nie szparagi, bo to jest tylko pewien symbol europejskiej solidarności. A pewnie, że zdążymy. Całe Miasteczko Wilanów pojedzie, i Zoppot, i Posen, i Danzig... Ja, w czynie społecznym. Praca, naturliś, że praca. Tak jest, i wolność. Wolność jest najważniejsza, jawohl. Ja, ja, już wykułem. Na blachę.

eprasa.pl 209ccf7e7a

Leczenie reglamentowane

Ograniczając dostępność amantadyny, resort zdrowia jednych chce leczyć, innym leczenia odmawia

Ministerstwo Zdrowia, podobnie jak rok temu, postanowiło ograniczyć Polakom dostęp do amantadyny. Wszystko dzieje się w przeddzień ogłoszenia wyników badania klinicznego i po tym, gdy kolejne światowe ośrodki badawcze potwierdzają potencjał amantadyny w leczeniu COVID-19. Odbieranie Polakom szans na leczenie jest kompletnie niezrozumiałe.

„Ograniczamy dostępność amantadyny poza wskazaniami medycznymi do jej stosowania" – poinformował PAP rzecznik resortu zdrowia Wojciech Andrusiewicz. Ministerstwo opublikowało obwieszczenie, z którego wynika, że od 10 grudnia ilość produktu leczniczego Viregyt-K (Amantadini hydrochloridum) wydawanego na jednego pacjenta w aptece ogólnodostępnej lub punkcie aptecznym zostanie ograniczona do trzech opakowań po 50 kapsułek na 30 dni. Zaznaczono także, że lek ten może być ordynowany i wydawany wyłącznie w następujących wskazaniach objętych refundacją: choroba i zespół Parkinsona oraz dyskineza późna u osób dorosłych. Ograniczenie nie dotyczy leku Amantix, także zawierającego amantadynę. Rzecznik resortu zdrowia tak tłumaczył decyzję ministerstwa: „Chcemy w pełni zabezpieczyć produkt dla pacjentów ze wskazaniami, czyli chorobą Parkinsona i dyskinezą późną u osób dorosłych. Niestety w ostatnim czasie zbyt dużo tego produktu było sprzedawane poza wskazaniami medycznymi".

Innymi słowy jednych ministerstwo chce leczyć, innym leczenia odmawia. Podobną decyzję Ministerstwo Zdrowia wydało rok temu, po kilku miesiącach się z niej wycofano i lek znów stał się dostępny. Pewnie dlatego oficjalna sprzedaż amantadyny w 2021 r. już przekroczyła 400 tys. opakowań, podczas gdy w całym roku 2019 w Polsce sprzedano łącznie niecałe 118 tys. Ile opakowań medykamentu sprowadzono z zagranicy – dokładnie nie wiadomo.

Na lek jest duży popyt, choć nie ma jeszcze wyniku badania klinicznego prowadzonego przez prof. Konrada Rejdaka i prof. Adama Barczyka. Badanie jest trudne, musi obejmować odpowiednią grupę pacjentów, by można było uznać je za wiarygodne. Jednak Polacy mają swoje własne badanie kliniczne, prowadzone w rodzinach, wśród znajomych, i wysoki popyt na lek jest wynikiem tego badania.

Decyzja ministerstwa zapadła tuż po kolejnych doniesieniach ze świata o możliwym potencjale amantadyny w leczeniu COVID-19 i w chwilę po tym, gdy prof. Rejdak poinformował, że badania kliniczne nad skutecznością amantadyny w leczeniu COVID-19 zmierzają do finału. „Jak poinformował WP prof. Konrad Rejdak z Lublina, zespół wkrótce wykona wstępne analizy efektów leczenia u setki pacjentów, która wzięła udział w badaniu" – donosiła Wirtualna Polska. „Bardzo się cieszę, że badania nad amantadyną trwają i właśnie nasi partnerzy z międzynarodowego konsorcjum, w którym uczestniczymy, opublikowali wyniki swoich prac. W tym roku jest to już druga publikacja z Danii, która wykazała, że amantadyna i jej analogi hamują mechanizm zakażania komórek przez wirusa SARS-CoV-2. Autorzy cytują naszą – pierwszą na świecie – publikację z opisem serii przypadków, wykazującą, że lek może wywierać działanie ochronne u pacjentów zakażonych wirusem" – powiedział prof. Rejdak w rozmowie z portalem.

Chodzi o publikację czasopisma naukowego „Communications Biology". Naukowcy z Danii, Niemiec i Grecji napisali, że proponują amantadynę „jako nowy, tani, łatwo dostępny i skuteczny sposób leczenia COVID-19". W badaniu laboratoryjnym wykazali, że amantadyna i heksametylenoamiloryd (HMA) „blokują aktywność kanału jonowego białka E z wirusa SARS-CoV-2". Ma to wpływ na ograniczenie tworzenia się nowych komórek wirusa.

Decyzja Ministerstwa Zdrowia dziwi tym bardziej, że już od sierpnia wiemy z pewnością, że amantadyna, wbrew histerii niektórych ekspertów, jest lekiem bezpiecznym. W badaniu klinicznym stwierdzono „bezpieczeństwo procedury". Padł mit o toksyczności leku.

Dorota Łosiewicz



USA

Prezent dla najbogatszych

Na łamach „The Economist" pojawił się artykuł o porażce polityki fiskalnej Joego Bidena. Jego administracja szczyciła się tzw. Build Back Better Act – ustawą, która miała poprawić warunki życia przeciętnych Amerykanów, zarówno od strony socjalnej (szersze ubezpieczenia społeczne, darmowe żłobki, płatne urlopy macierzyńskie), jak i infrastrukturalnej – założono m.in. wzrost nakładów budżetowych na modernizację dróg i sieci kolei pasażerskich. Miał to być pierwszy wielki akt nowej władzy po zmianie w Białym Domu.

Ustawa, której koszt szacowano początkowo na 10 bln dol. rozłożonych na dziesięć lat (dla porównania roczne PKB Stanów Zjednoczonych to ok. 20 bln dol.), została okrojona w Kongresie najpierw do 350 mld dol., a potem do zaledwie 1,75 mld. Okazało się bowiem, że wielkie korporacje, które miały swój udział w wyniesieniu Bidena do władzy, najwyraźniej nie chcą się zrzucać na tak hojne programy nowej administracji. Poza tym kongresmeni, których kampanie są finansowane z kieszeni najbogatszych, nie chcą się narażać swoim darczyńcom.

Ostatecznie zamiast opodatkowania m.in. zysków kapitałowych i korporacyjnych pojawił się pomysł subsydiowania najbogatszych, a zatem idący zupełnie w poprzek założeniom ustawy. W stanowym i lokalnym podatku SALT wprowadzono bowiem możliwość zmniejszenia federalnych obciążeń dla tych podatników, którzy mają najwyższe dochody i największe nieruchomości. Co ciekawe, w czasie rządów Trumpa takie zwolnienie podatkowe było ograniczone jedynie do 10 tys. dol. Demokraci uznali jednak, że była to zemsta Trumpa na najbogatszych stanach głosujących w większości na demokratów. Tuż przed tym, jak ustawą Build Back Better zajęła się Izba Reprezentantów, podnieśli więc limit odliczeń podatkowych do 80 tys. dol. rocznie, co powoduje, że na zmianie władzy w Ameryce najbardziej zyskuje na razie 5 proc. najbogatszych Amerykanów.

Demokraci zrezygnowali też z kilku innych obietnic Bidena, np. darmowego czesnego na państwowych uczelniach. Również niektóre programy mające pomagać najuboższym Amerykanom mają się skończyć już za rok. „The Economist" zauważa, że gdyby nie rozszerzenie ulgi dla najbogatszych, to zyski z wyższego opodatkowania krezusów mogłyby wystarczyć na kontynuowanie tych programów. Lider lewicowego skrzydła demokratów, socjalista Bernie Sanders proponował, by odpisy podatkowe dotyczyły tylko rodzin, które zarabiają mniej niż 400 tys. dol. rocznie, jednak jego pomysł nie znalazł poparcia.

Biden wciąż jednak przekonuje, że Build Back Better Act będzie znaczącą zmianą dla milionów Amerykanów. Czy jednak nie okaże się, że chodzi jedynie o najbogatszych?

Łukasz Adamski

Państwowy narkobiznes

Syria



Śledztwo przeprowadzone przez dziennikarzy „The New York Times" wskazuje, że syryjski reżim Baszara Al-Asada stał się jednym z największych na świecie producentów i eksporterów narkotyków. Jego sztandarowym produktem jest captagon, środek psychotropowy o działaniu podobnym do amfetaminy, którego produkcję i dystrybucję ochrania 4. Dywizja syryjskiej armii dowodzona przez młodszego brata dyktatora Mahira.

W lipcu ub.r. w porcie w Neapolu odkryto ładunek 84 mln tabletek captagonu, a w marcu br. władze Malezji przechwyciły aż 94 mln tabletek tego specyfiku. Transporty captagonu były również przejmowane w Rumunii, Grecji, we Francji i Niemczech, a narkotyk jest powszechnie dostępny w wielu państwach Bliskiego Wschodu. W skali całego świata mamy więc do czynienia z ujawnieniem, i to tylko w ostatnim czasie, przeszło 250 mln dawek tego wyprodukowanego w Syrii specyfiku, co oznacza, że rynek został nim wręcz zalany. Zdaniem ekspertów w ciągu czterech lat handel captagonem wzrósł aż 18-krotnie. Joel Rayburn, specjalny wysłannik USA w Syrii za administracji Trumpa, powiedział dziennikarzom, że „rząd syryjski dosłownie eksportuje narkotyki. To nie jest tak, że oni odwracają wzrok, podczas gdy kartele narkotykowe robią swoje. To sam rząd jest tutaj kartelem narkotykowym".

Według dziennikarzy „The New York Times", w produkcję captagonu zaangażowany jest również blisko współpracujący z rządem Asada i kontrolowany przez Iran, libański Hezbollah. Ten ekstremistyczny ruch islamski już w latach 80. ubiegłego stulecia czerpał zyski z produkcji haszyszu w dolinie Bekaa. Obecnie fabryki produkujące captagon zlokalizowane są na pograniczu syryjsko-libańskim, w okolicach Damaszku i rejonie Latakii, gdzie znajduje się rosyjska baza lotnicza. Ochronę fabryk, ale również tras przerzutowych narkotyków wiodących przez Jordanię i Libię, zapewniają syryjscy żołnierze z 4. Dywizji, a precyzyjnie rzecz ujmując, służby bezpieczeństwa generała Ghassana Bilala, bezpośrednio podległego młodszemu bratu syryjskiego prezydenta. Jak szacują eksperci, rynkowa wartość „eksportowanego" co roku przez syryjski reżim narkotyku wynosi 2,9 mld dol. i jest trzykrotnie większa niż wartość oficjalnie sprzedawanych za granicę syryjskich towarów.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl 209ccf7e7a



Francja

Burza wokół Zemmoura

„Emmanuel Macron reprezentuje wielką pustkę. To nastolatek, który szuka samego siebie, człowiek niedokończony. Ktoś, kto nie ma pomysłów na nic" – tak świeżo upieczony, niezależny kandydat na prezydenta Francji Éric Zemmour (na zdj.) określił swojego rywala podczas pierwszego wiecu w podparyskim Villepinte, na którym tydzień temu zebrało się ok. 20 tys. jego zwolenników.

Start kampanii Zemmoura został zakłócony bójkami z działaczami antyrasistowskimi, którzy wdarli się na wiec. Gdy kandydat przedzierał się przez tłum, jakiś mężczyzna rzucił się na niego. Wprawdzie napastnika obezwładniła ochrona, ale Zemmour doznał „lekkich obrażeń". Jak później stwierdził, lewicowe bojówki chciały go wyprowadzić z równowagi. „Żaden inny kandydat nie jest traktowany w taki sposób jak ja. Nazywają mnie faszystą, nazistą, rasistą" – dodał i zapewnił, że „jeśli wygra te wybory, to nie będzie to kolejna zmiana władzy, ale rekonkwista najwspanialszego kraju świata". Zapowiedział też powołanie nowego ruchu pod taką nazwą. To by się przydało, ponieważ jak na razie Zemmour nie ma partii politycznej, która w przypadku jego ewentualnego zwycięstwa mogłaby stanowić dla niego wsparcie w parlamencie.

Ale co właściwie proponuje Zemmour Francuzom? Po pierwsze, zero imigracji. Po drugie, że Francja pozostanie Francją. A po trzecie, że islam dostosuje się do republiki, a nie na odwrót. Unia Europejska ma ponadto służyć Francji, prawo narodowe górować nad prawem unijnym, a stosunki z Rosją być „znormalizowane". W tym celu Paryż powinien opuścić struktury militarne NATO.

Nie jest to program aż tak radykalny, Zemmour jest bowiem przeciwny wyjściu Francji z Unii i ze strefy euro. Jego zdaniem „wspólny rynek to jedyna zaleta Unii Europejskiej". Podobne propozycje ma także Marine Le Pen. Tyle że Zemmour mówi rzeczy, które są przykre dla rządzących nad Sekwaną elit. O upadku Francji, jej kulturowej, politycznej i gospodarczej degrengoladzie. Odrzuca wielokulturowość, która jest uważana we Francji za „nieunikniona". Czy to pozwoli mu odnieść zwycięstwo? To bardziej niż wątpliwe. Sondaże dają mu 13–15 proc. głosów w pierwszej turze, połowę mniej niż Le Pen czy kandydatce centroprawicowych Les Républicains Valérie Pécresse. Ponadto niektóre tezy Zemmoura są ryzykowne. Oświadczył m.in., że reżim w Vichy pozwolił „uratować wielu francuskich Żydów". Wywołało to oburzenie, a Macron zarzucił mu „fałszowanie historii".

Jak wynika z badania instytutu Elabe, Francuzi nie widzą w nim kogoś, kto potrafi rozwiązywać problemy kraju. Nie wierzą, że z polemisty zamieni się nagle w męża stanu. 77 proc. uważa, że jest „arogancki", jednocześnie tylko 2 na 10 jest zdania, że „ma dobre pomysły". Kampania Zemmoura może się okazać burzliwa, ale jak dotąd nie przekłada się to na wysokie poparcie.

Aleksandra Rybińska

Fot. Obatala-photography/Shutterstock.com

„Demokratyczna kontrola"

Trzy tygodnie po zakończeniu VI Plenum Komunistycznej Partii Chin prezydent Xi Jinping zapowiedział nową ofensywę ideologiczną. Jej celem – jak zapowiedział przywódca Państwa Środka – jest poprawa „demokratycznej kontroli" nad religiami. Komentatorzy uważają, że pod tym terminem kryje się dalsze nasilenie represji wobec wspólnot wyznaniowych przez reżim w Pekinie.

Xi Jinping dodał, że władze będą kontynuować zapoczątkowany kilka lat temu proces „sinizacji" wszystkich religii, czyli dostosowania ich do chińskiej tradycji kulturowej. Uściślił przy tym, że owo dostosowanie obejmować będzie także uznanie ideologii komunistycznej. Masy wierzących muszą się zjednoczyć wokół partii i rządu, odrzucając wszelkie wpływy zagraniczne. Prezydent nie powiedział tego wprost, ale wiadomo, że w pierwszym rzędzie chodzi o odrzucenie przez chińskich katolików zwierzchności Rzymu.

Według Xi Jinpinga wspólnoty wyznaniowe nie mogą się wtrącać w życie społeczne kraju, personel religijny może zaś wykonywać swoje funkcje tylko wtedy, gdy przystąpi do oficjalnych organów państwowych i podporządkuje się partii. Ponieważ niepokój kierownictwa kraju budzi niekontrolowana działalność religijna w internecie, zostanie ona poddana znacznie uważniejszej „demokratycznej kontroli".

Obecna polityka Pekinu pokazuje naiwność Watykanu, który w 2018 r. zawarł tajne porozumienie z rządem Chin, idąc na dalekie ustępstwa wobec komunistów w nadziei, że uchroni w ten sposób tamtejszych katolików przed prześladowaniami. Stało się odwrotnie: uległość ośmieliła reżim do kolejnych represji.

Warto dodać, że wystąpienie Xi Jinpinga miało miejsce kilka dni po zaliczeniu Chin przez rząd USA do krajów, w których naruszana jest wolność religijna. W odpowiedzi Pekin opublikował raport, w którym zarzucił Amerykanom łamanie podstawowych zasad demokracji i skupienie całej władzy w rękach kilku osób. Akurat w tych sprawach Jankesi mogliby brać korepetycje u Chińczyków.

Grzegorz Górny

Chiny



Fot. humphery/Shutterstock.com

eprasa.pl 209ccf7e7a

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Funkcjonariusze nienawiści



Jan Pietrzak

Znowu oberwałem cios w miękkie podbrzusze za niewinny żarcik. Ironizowałem, czyim dzieckiem jest manifestantka wrzeszcząca na ulicach. Rzuciłem coś w stylu 68 roku, kiedy o paryskich buntownikach mówiono, że są dziećmi Marksa i Coca-Coli. Zadziałało porzekadło: „Uderz w stół, nożyce się odezwą".

Odezwało się stare pudło rezonansowe, zarzucając mi antysemityzm. Dowodem na to ma być piosenka z lat 60. „Do Anglii". Musieli się tropiciele antysemitów nieźle natrudzić, żeby w mojej twórczości wyszperać zapomniany kawałek. Do głowy mi nie przyszło, kiedy to pisałem, że ktoś może w ten sposób sfałszować wymowę tekstu. Otóż utwór powstał w 67 roku, ponieważ w kabarecie Pod Egidą zaczął występować aktor Wojciech Siemion. Ze względu na „warunki", jak mówią aktorzy, potrzebował repertuaru przystającego do osobowości. Dobrze się czuł w rolach rozgniewanego proleta. Mówił opowiadanie Himilsbacha o grabarzu, który został poetą, śpiewał piosenkę Kreczmara „Dokąd dążysz drogą do Łomży", zabawny protest song Kofty „Ja wciąż nie mam samochodu!", świetnie grał w skeczu terrorystę, który dokonuje „porwania" publiczności, analogicznie do porywanych samolotów. Nie wiem, czy żyje jeszcze ktoś pamiętający tamte kabaretowe wieczory, sprzed Marca '68. To ważna cezura, ponieważ kłótnia sowietów z semitami w łonie władzy celowo popsuła międzyludzkie relacje. Potrzebowali towarzysze konfliktu, by poprzestawiać pionki na szachownicy, co w którymś z następnych sezonów przedstawialiśmy z Jonaszem jako „szachy personalne", który to tekst napisał Daniel Passent.

Pod Egidą nigdy nie mieliśmy etnicznych problemów. Kiedy śpiewaliśmy „Żeby Polska była Polską", jednakowy błysk pojawiał się w oczach wykonawców i publiczności. Jedynie donosiciele trudzili się nad raportami. Cytuję: „Oceniając program, mamy do czynienia z satyrą złośliwą i wrogą [...] Ponadto było wiele osób o wyraźnie semickich rysach" – napisał czujny ubek. O kabarecie żartowano, że jest „Pod Eżydą". Teraz funkcjonariusze od siania nienawiści robią ze mnie antysemitę. Faszystą okrzyknęli mnie już w Sierpniu '80 z powodu hymnu Solidarności. Czego ja jeszcze dożyję?!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Żyć z wirusem



Dominik Zdort

„Po zakończeniu epidemii zapotrzebowanie na biura wzrośnie" – piszą na biznesowych stronach gazet. „Uniwersytet buduje nowe akademiki, bo po ustąpieniu pandemii miejsc dla studentów będzie za mało" – komentują na stronach z wiadomościami lokalnymi.

A co, jeśli COVID-19 nigdy nie ustąpi? Jeśli będziemy musieli nauczyć się z nim żyć, tak jak z grypą? Pandemia tej ostatniej choroby w Meksyku tylko w jednym 2009 r., a więc całkiem niedawno, przyniosła niemal 600 tys. ofiar; w ciągu dwóch lat z powodu koronawirusa w tym samym kraju umarło 300 tys. ludzi. W czasie swojej zbrodniczej działalności covid zabił pod 5 mln mieszkańców naszej planety – różnego rodzaju nowotwory zamordowały w tym okresie ok. 20 mln.

Nie piszę tego, żeby bagatelizować obecną epidemię. Jestem po trzeciej dawce szczepionki, zgłosiłem się natychmiast, kiedy pojawiła się szansa. A równocześnie, gdybym zapadł na COVID-19, to szukałbym wszelkich dostępnych leków – z amantadyną włącznie. Może pomoże, może nie zaszkodzi. Nie wiem, czy jest skuteczna, ale tak długo, dopóki nie zostanie przebadana i eksperci nie potwierdzą, że nie pomaga w leczeniu koronawirusa, daje nadzieję. I może zadziałać – jak placebo. Od setek lat wiadomo, że ludzki organizm potrafi się silniej zmobilizować do obrony przed chorobą, kiedy człowiek wierzy w terapię.

Nie możemy jednak wykluczać, że pandemia koronawirusa nie skończy się nigdy. Po prostu będziemy musieli przestać nazywać ją pandemią i uważać za jedną ze współczesnych – może z czasem coraz bardziej uleczalnych – chorób. Szczepić już dzieci, tak jak szczepimy – obowiązkowo – przeciw gruźlicy, odrze czy śwince. Nie oczekiwać kolejnych obostrzeń, ale częściej zakładać maseczki.

Dotychczasowe dane wskazują, że ludzkość raczej nie wymrze z powodu COVID-19 (zakładając, że ten diabeł nie zmutuje tak, aby nas przechytrzyć). Tak, śmiertelność się zwiększy, ale wystarczy raz jeszcze zerknąć w przytoczone przeze mnie powyżej statystyki, aby zdać sobie sprawę, że obecna epidemia nie zabija więcej ludzi niż wiele znanych od setek lat chorób, z którymi ludzkość nigdy się nie uporała i może nigdy się nie upora. Może to banał, ale człowiek stanął na Księżycu, wybiera się na Marsa, a choroby wciąż zabijają miliony mieszkańców Ziemi. W tej dziedzinie ludzkość wciąż nie potrafiła postawić wystarczająco wielkiego kroku.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 209ccf7e7a

BRONISŁAW WILDSTEIN

Czterdzieści lat wcześniej



Czterdzieści lat temu wracałem z żoną do Polski. Jechaliśmy autostopem, siłą rzeczy wolno, korzystając z gościny czasami świeżo poznanych ludzi. W Bloemendaal pod Haarlemem obudził nas projektant ogrodów, u którego zatrzymaliśmy się na tę noc, wiadomością, że w Polsce ogłoszono „stan wyjątkowy". Dopiero kiedy dotarliśmy do Kolonii w Niemczech, zorientowaliśmy się, co to znaczy.

Z Polski wyjechaliśmy trochę przypadkowo. Jesienią 1980 r. zaoferowano nam paszporty, których wcześniej odmawiano. Wcześniej proponowano wyjazd w jedną stronę, ale tego odmawialiśmy my. Z pewną satysfakcją czytałem w papierach IPN zapis rozważań w krakowskiej SB, której funkcjonariusze zastanawiali się, czy dać mi paszport. Argumentem przeciw był wzgląd pedagogiczny, za – przemawiała chęć pozbycia się mnie z kraju choćby na czas jakiś. Po sierpniu ten drugi wzgląd przeważył.

Wraz z przyjaciółmi ze Studenckiego Komitetu Solidarności, najważniejszego ośrodka przedsierpniowej opozycji w Krakowie, który powstał po zamordowaniu Stanisława Pyjasa przez SB, współtworzyliśmy w Małopolsce Solidarność i NZS. Kiedy jednak ta pierwsza przybrała już instytucjonalny kształt, jako niezatrudniony w żadnym zakładzie, nie miałem mandatu do uczestnictwa w niej, co wykorzystał, aby się mnie pozbyć, ówczesny jej kontrowersyjny szef Stanisław Zawada. Studia skończyłem, a więc po stworzeniu NZS, w czym intensywnie uczestniczyłem, powinienem był zwolnić miejsce dla następców. Jako posiadacz rzadkiego dobra, którym był paszport, przez swoich opozycyjnych przyjaciół namawiany byłem do reprezentowania za granicą Solidarności. Gdy zbieg okoliczności spowodował, że pozostanie w kraju wiązałoby się dla mnie ze sporym ryzykiem, dość niespodziewanie po raz pierwszy znaleźliśmy się na Zachodzie.

Zachłystywaliśmy się tym nieznanym nam barwnym światem, próbując jednocześnie robić, co mogliśmy w sprawie polskiej, ale jednocześnie czuliśmy coraz intensywniej, że powinniśmy wrócić do kraju, gdyż to tam dzieją się najważniejsze dla nas sprawy.

Strajki sierpniowe, a potem powstanie Solidarności wyjątkowo mocno dawały odczuć nam wspólnotową kondycję, o której tak łatwo, zwłaszcza dziś, zapominamy. Nasze życie wpisane jest w dzieje narodu, a wywołane tym poczucie jedności po sierpniu stało się nagle czymś wyjątkowo oczywistym i wyrazistym. Wszystkie odmienności i różnice okazywały się drugorzędne i mało znaczące. Było jasne, że to czas wyjątkowy, przełomowy, który rozstrzygnie o naszych przyszłych losach i chociaż takiego napięcia nie sposób długo utrzymać, ale fakt, że tak ogromna rzesza ludzi potrafiła podjąć wspólne ryzyko i poświęcić swoje partykularne interesy na rzecz dobra wspólnego, pozwalał zrozumieć to, co ważne w naszej egzystencji i docenić niezwykły potencjał drzemiący w narodzie polskim.

Nieco paradoksalnie podobną jedność mogliśmy odczuć w stanie wojennym. Był on wymierzony w nasze wspólne nadzieje. Odbierał wolność i przywrócić usiłował totalitaryzm. Z powrotem starał się wtłoczyć nas do komunistycznego więzienia. Komuś, kto w nim nie żył, trudno opisać i wyobrazić jego ponurą martwotę. Stan wojenny jednoczył nas w rozpaczy i oporze.

Gdyż mówiąc o fenomenie Solidarności, nie można zapomnieć o tych, którzy swoje kariery wiązali z utrzymywaniem w Polsce sowieckiego totalitaryzmu i podległości Moskwie. Sami nadzorowani, tym gorliwiej nadzorowali nasze krajowe zniewolenie. Im bardziej sprzeniewierzali się swojej wspólnocie – tym bardziej jej nienawidzili.

Stan wojenny zademonstrował znaczenie przemocy. Nie zmiażdżył jednak narodu. Opór trwał. Zjawisko alternatywnych struktur społecznych, jakkolwiek nie mogło osiągnąć wymiaru jawnej Solidarności, która zadziwiła świat, nadal zdumiewało skalą. Niecałe osiem lat po stanie wojennym PRL zmuszony był ogłosić upadłość. Niemniej jednak – i to jest sukces stanu wojennego – transformację komuniści przeprowadzili w dużej mierze na własnych warunkach. Nie mogłoby się to powieść bez współpracy części solidarnościowych elit, co jest już osobną opowieścią. W każdym razie bez stanu wojennego III RP wyglądałaby inaczej. Ta, którą znamy, zbudowana została na zwłokach Solidarności. W ten sposób powstanie Solidarności i stan wojenny stanowią o naszej teraźniejszości.

Naturalnie, zdeterminowały także moje losy. Z aresztu, w którym przebywać miałem do procesu, wyszedłem na mocy sierpniowego porozumienia, toteż powrót do Polski w stanie wojennym oznaczałby dla mnie dosłowny powrót do więzienia. Okazało się zresztą, że zarówno ja, jak i moja żona mieliśmy być internowani. Zostaliśmy na Zachodzie, bez reszty zajmując się sprawami polskimi. Do kraju wróciliśmy z początkiem 1990 r.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 209ccf7e7a



Walizka Krzysztofa Ziemca

dziennikarza telewizyjnego i radiowego

Od kiedy pracuję w redakcji „Teleexpressu", liczba podróży służbowych spadła na moim liczniku do poziomu stanów niskich. A od czasu pandemii do niemal minimum. Bardzo mi tego brakuje, bo praca dziennikarza, który jest ciekawy świata i ludzi, który jest otwarty na każdą inność, to właśnie podróże, które kształcą, uczą, uwrażliwiają i budują naszą osobowość. To też ten towarzyszący dziennikarstwu – i tak istotny – dreszczyk emocji i niepewności. Konieczności poradzenia sobie w każdej, a szczególnie w nagłej i nieprzewidywalnej sytuacji. Na szczęście w ostatnim półroczu coś się ruszyło i znów raz na jakiś czas mogę – jak śpiewała Halina Frąckowiak – być gotowy dziś do drogi!



PŁASZCZ

Ponieważ jestem urodzony w poprzedniej epoce, jestem nauczony, że muszę liczyć tylko na siebie. Zawsze zabieram więc z sobą ortalionowy płaszcz przeciwdeszczowy, zamiast parasola, który zwykle gubię.



KLAPECZKI

Nocują w mojej walizce małe i lekkie klapeczki, bez których nie wszedłbym pod prysznic. Ponieważ pochodzę z rodziny o długiej lekarskiej tradycji, jestem nauczony, że lepiej zapobiegać, niż leczyć.



KOMPLET PŁYWACKI

Oprócz japonek zawsze zabieram z sobą kąpielówki, czepek i okularki do pływania, bo od dziecka uwielbiam wodę, a zdarza się, że raz na jakiś czas trafi się hotel z mikrobasenem. A jeśli tak, to daję tam nura nawet na 10 minut! Uwielbiam to!

eprasa.pl 209ccf7e7a





PRASA

Zawsze dużo czytam. Ale w podróży nie jest to książka, ale tylko i wyłącznie prasa, którą wciąż kupuję! Uwielbiam i szelest przewracanych stron, i zapach druku. To daje mi spokój i przekonanie, że obcuję z prawdziwym, a nie wirtualnym światem.

SŁODYCZE



Na wypadek, gdyby spadł mi poziom cukru:-) A tak naprawdę uwielbiam krówki i czekoladowe cukierki. To nieodzowny element dnia. Dropsy – gdyby zaschło mi w gardle i zabrakłoby wody w butelce, a to ważne przed debatą, gdzie dużo się mówi.

TELEFON



Dla dziennikarza nieodłącznym dziś przedmiotem w podróży jest oczywiście telefon, który śmiało zastępuje komputer i aparat. Dla mnie jest także radioodbiornikiem. Uwielbiam słuchanie radia, w którym przecież wciąż jakoś pracuję, więc zawsze mam w walizce zapasowe słuchawki!



APARAT FOTOGRAFICZNY/ PENDRIVE

Jak nie zapomnę, to staram się zabrać z sobą. Zdjęcia robię od dziecka, a dokładniej od Pierwszej Komunii Świętej, kiedy dostałem w prezencie od cioci smienę 8M. Jedyny problem dziś to archiwum. Kiedyś odbitki lądowały w albumach, a dziś w czeluściach komputera. Stąd też obecność pendrive'a.



MAPA

Mimo że dziś wszystko jest w komórce, to jednak nigdy nie rozstaję się z papierową mapą drogową Polski. Uwielbiam przeglądać mapy i na nich planować wzrokowo kolejne wyprawy. Nigdy albo prawie nigdy nie korzystam z GPS. Dla starego harcerza to ujma na honorze!

NARZĘDZIA PRACY

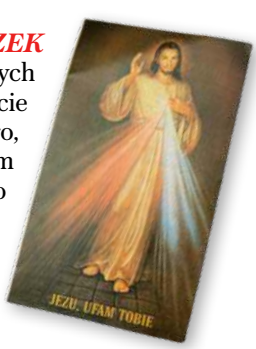
Kiedy jadę gdzieś w Polskę jako prowadzący kongresowe debaty lub koncerty, nigdy nie zapominam, by zabrać z sobą czarną ładnie oprawioną okładkę, w której lądują wszystkie moje teksty. Ważne, żeby nie zapomnieć o spinaczu do kartek, by nic nam nie wypadło na scenę, i o fluorescencyjnych flamastrach, które na scenie nawet w ciemnościach pozwalają na odczytanie wszystkich ważnych zapisków.





ŚWIĘTY OBRAZEK

W portfelu oprócz kart kredytowych rzecz jasna, które dają poczucie bezpieczeństwa egzystencjalnego, noszę z sobą obrazek z Jezusem Miłosiernym i Koronką do miłosierdzia Bożego, co w dzisiejszych zwariowanych czasach, pełnych niepewności i trosk, podnosi na duchu.



ZATYCZKI



Kiedy zapada zmrok i czas na sen, często muszę sięgnąć po zatyczki do uszu, które oddzielają mnie od ulicznego zgiełku i pozwalają na spokojne planowanie kolejnych podróży podczas sennych marzeń:-))))

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock

eprasa.pl 209ccf7e7a

OGNIEM NA WPROST

Operacja „Koszenie”



„Nigdy w ciągu całego mojego życia nie widziałem bardziej niepokojącego krajobrazu strategicznego niż obecnie” – diagnozuje w swym tekście „Koszmar Zachodu” brytyjski ekspert Ambrose Evans-Pritchard na łamach „The Daily Telegraph”. I dodaje: „To najbardziej niebezpieczny punkt zwrotny od czasów kryzysu kubańskiego w 1962 r.”. Ale to nie koniec. „Putin może nie mieć drugiej takiej szansy odtworzenia Wielkiej Rosji. Wszystkie gwiazdy ułożyły się w sposób dla niego korzystny. Europa jest rozbrojona” – tak po spotkaniu Putin–Biden uważa jeden z najbardziej doświadczonych wyspiarskich analityków. Jednocześnie przypomina politykę appeasementu (ustępstw) angielskiego premiera Neville’a Chamberlaina i francuskiego Édouarda Daladiera, które przed II wojną światową doprowadziły do zgubnego dla wolnego świata układu w Monachium z 1938 r. Zauważa też, iż „rozwój zielonej energii jest na zbyt wczesnym etapie, by mógł złamać zależność od Rosji”, a sam prezydent USA obawia się symultanicznego ataku Rosji na Ukrainę i Chin na Tajwan. Stąd zdaniem Evansa-Pritcharda takie postępowanie szefa jak na razie największej potęgi świata. Większego pierdoły na stołku w Białym Domu nie sposób sobie wyobrazić. A tak pluto na Trumpa.

Pierwszą linię obrony naszego wschodniego sąsiada – Ukrainy – stanowią, oprócz sił specjalnych, wojska desantowo-szturmowe. W pierwszych latach XXI w. wojska lądowe Ukrainy dysponowały czterema jednostkami aeromobilnymi. Według portalu Defence24.pl jedna miała charakter powietrznodesantowy i była przystosowana do desantowania na spadochronach, łącznie z ciężkim sprzętem. Pozostałe trzy jednostki aeromobilne bardziej przypominały formacje zmechanizowane. Choć żołnierze mogli być desantowani ze śmigłowców, to już ich ciężki sprzęt nie. Dziś ogólną liczbę żołnierzy wojsk desantowo-szturmowych można oceniać na grubo ponad 16 tys. Liczebność poszczególnych brygad może wynosić od 2,5 tys. do 3,1 tys. żołnierzy i są to raczej wojska zmechanizowane o wysokim poziomie wyszkolenia. Praktycznie ich mobilność można zwiększyć tylko za pomocą śmigłowców, których nadal na Ukrainie jest stosunkowo dużo. Łącznie ukraińskie wojska desantowo-szturmowe dysponują sporą siłą ogniową. Składa się na nią około 20 czołgów, 300 bojowych wozów piechoty i desantowych, 150 transporterów opancerzonych, 20 wozów przeciwpancernych, 220 haubic i moździerzy i 60 wieloprowadnicowych wyrzutni rakietowych.

Jeśli chodzi o ukraińskie siły specjalne, to je również zmodernizowano. Choć ich ogólna liczebność nie jest znana, to można jednak szacować, iż nie przekracza 2 tys. żołnierzy. Ukraińskie jednostki specjalne są obecnie bardzo dobrze wyposażone i uzbrojone. Odbywa się to dzięki wsparciu krajów NATO oraz przywiązywaniu dużej wagi do działań specjalnych przez władze ukraińskie. Ukraińskie jednostki specjalne szkolą się z jednostkami amerykańskimi, brytyjskimi i polskimi. Kilka miesięcy temu w czasie manewrów Sea Breeze-2021 polska grupa żołnierzy z Jednostki Wojskowej Formoza wraz ze sprzętem została przerzucona z Polski na lotnisko Mikołajów na Ukrainie. Na pokładzie samolotu An-124 została przewieziona z Polski nawet łódź bojowa Formozy.

Wojna wojną, a u nas, w Lipnie niedaleko Leszna, spadło po kolana śniegu. Także przy drodze wojewódzkiej 309. To dawna krajowa „piątka” łącząca Leszno ze Śmiglem i dalej z Kościanem. Akurat przejeżdżał tamtędy radny z Leszna Przemysław Górzny. Zobaczył w rowie trzech mężczyzn z kosami spalinowymi, którzy zacięcie, brodząc w śniegu, usiłowali ścinać wystającą gdzieniegdzie trawę. Na szczęście miał z sobą aparat i zrobił zdjęcia, które umieścił w internecie. Jak wyjaśnił dyrektor Wielkopolskiego Zarządu Dróg Wojewódzkich w Poznaniu, prace wykonywała firma z Rawicza. „Ostatnie zlecenie zostało wystawione 4 października br. i zgodnie z umową powinno zostać wykonane do 3 listopada. Wykonawca zgłosił natomiast koniec prac w czwartek 2 grudnia, czyli niezgodnie z warunkami umowy, za co poniesie karę finansową. Cokolwiek by powiedział dyrektor WZDW, post bije rekordy popularności, a tytuł operacji „Koszenie” aż sam ciśnie się na usta. Znów zima zaskoczyła drogowców.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 209ccf7e7a

„Postępowa” poprawność i ponure skojarzenia



Marta Kaczyńska-Zielińska

Komisja Europejska opublikowała wewnętrzny przewodnik „komunikacji inkluzywnej” zawierający sformułowania, których należy unikać: „Boże Narodzenie”, „imię nadane na chrzcie”, „imiona typowe dla religii, takie jak Maria i Jan” oraz „pan”, „pani” czy „homoseksualista”. Jak „postępowy” instruktarz ma się np. do treści art. 18 Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, przyjętej w 1948 r. przez Organizację Narodów Zjednoczonych, stanowiącej o prawie każdego człowieka do wolności myśli, sumienia i wyznania, obejmującego swobodę głoszenia swego wyznania lub wiary indywidualnie bądź wespół z innymi ludźmi, publicznie i prywatnie, poprzez nauczanie, praktykowanie, uprawianie kultu i przestrzeganie obyczajów i do art. 19 stanowiącego o wolności poglądów i wypowiedzi?

Po głosach oburzenia europejska komisarz ds. równości Helena Dalli poinformowała, że przewodnik zostanie skorygowany. Symbolika słów, których wedle unijnego przewodnika należy unikać, jest spójna z odniesieniem wpisanym we wzór flagi Wspólnoty. Warto przypomnieć, że autor flagi Arsène Heitz deklarował, iż czerpał inspirację opisanej symboliki z Pisma Świętego oraz cudownego medalika z objawień św. Katarzyny Labouré. Flaga europejska według projektu maryjnego została zatwierdzona jednogłośnie przez Komitet Ministrów Rady Europy 8 grudnia 1955 r., w uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP. Unijny symbol jednoznacznie przypomina o tym, że najgłębiej wpisanym w idee, które legły u podstaw procesu integracji europejskiej, jest chrześcijaństwo. Twórcy Wspólnoty Konrad Adenauer, Alcide de Gasperi, Robert Schuman mieli chrześcijański światopogląd i konserwatywne poglądy.

Aktualne dążenia urzędników unijnych w wielu sferach, a w szczególności w tej semantycznej, pozostają w sprzeczności z pierwotną koncepcją integracji europejskiej i budzą najgorsze skojarzenia. Jedną z cech totalitaryzmów było bezwzględne podporządkowanie wszystkich sfer życia jedynej ideologii, oderwanej od sfery duchowej i kreowanie antropologii zredukowanej do wymiaru materialnego. Totalitaryzm wykluczał odniesienie do prawa Bożego, a chrześcijańska religijność postrzegana była za szkodliwą „dla postępu” i próbowano ją wyeliminować.

Adolf Hitler w 1937 r. ogłosił, że „chrześcijaństwo dojrzało do zniszczenia”. Jednym z zadań Centralnego Urzędu Rzeszy ds. Kościoła było zwalczanie Kościoła jako najbardziej niebezpiecznego ze wszystkich przeciwników. W czasie II wojny światowej w sposób szczególny represjonowano Kościół katolicki w Polsce. Świątynie były zamykane, a większość duchowieństwa zamordowano, więziono lub deportowano. W Rosji sowieckiej z powodów religijnych zabito ok. pół miliona chrześcijan. W październiku 1917 r. komuniści rozpoczęli mordowanie prawosławnych duchownych, niszczenie i grabienie cerkwi. Trzy lata później Związek Radziecki jako pierwszy kraj na świecie zalegalizował prawo do aborcji. W 1922 r. Lenin zarządził przeprowadzenie wielkiej kampanii przeciwko religii i obchodzeniu świąt Bożego Narodzenia. W 1948 r. w prasie zaprzestano używania określenia „Boże Narodzenie”, zniknęły choinki, a tradycyjny wizerunek św. Mikołaja został pozbawiony biskupich atrybutów. Podobnie było w innych państwach bloku komunistycznego. W latach 50. XX w. w NRD Boże Narodzenie zostało zastąpione Świętem Pokoju, a następnie Świętem Zakończenia Roku. Zamiast sakramentu chrztu wprowadzono „socjalistyczne nadanie imienia”. W powojennej PRL celem komunistów było zepchnięcie katolicyzmu na margines życia publicznego. Od początku lat 60. UB tworzyła struktury mające na celu zwalczanie Kościoła, mordowano księży, aresztowano biskupów, rozwiązano stowarzyszenia katolickie, Kościół pozbawiono osobowości prawnej. Utrudniano nauczanie religii dzieci i młodzieży, które były poddane ateizacji. Nie było mowy o Bożym Narodzeniu, tylko o bliżej nieokreślonych świętach, a zamiast św. Mikołaja do wielu drzwi stukał radziecki Gwiazdor lub Dziadek Mróz. Jakimi ideami kierują się współcześni unijni urzędnicy?



Markowi Pyzie

wyrazy szczerego współczucia

z powodu śmierci

MAMY

składają koleżanki i koledzy z tygodnika „Sieci”,

„Gazety Bankowej” i portali wPolityce.pl

oraz wGospodarce.pl

eprasa.pl 209ccf7e7a

GAFAM buduje nam nowy wspaniały faszyzm



Samuel Pereira

Gdy na początku stycznia tego roku profile Donalda Trumpa (urzędującego wówczas prezydenta Stanów Zjednoczonych) na Instagramie, Facebooku oraz Twitterze zostały zablokowane, napisałem, że będzie to rok cenzury, która zastąpi uczciwy dialog. Pal sześć żenujące uzasadnienie, czyli związanie polityka z zamieszkami na terenie Kapitolu, w których wzięli udział jego zwolennicy, a do których on sam nie zachęcał. W końcu nigdy dotąd żaden światowy przywódca nie został zbanowany za coś, co zrobili jego zwolennicy. Szczególnie że w przypadku Trumpa mowa była o co najmniej 74 mln Amerykanów (tyle według oficjalnych wyników zdobył głosów powszechnych). W tej decyzji nie chodziło o merytoryczne podstawy podjętej decyzji ani o samego Trumpa, czy np. poglądy szefa Twittera, którym dziś Jack Dorsey już nie jest.

W grę wchodziło coś więcej: sprawdzenie granic, jakie GAFAM (grupa zwana też „Wielką czwórką", „Bandą czterech" lub po prostu Big Tech) może przekroczyć. Decyzję podjęto w momencie, gdy wynik wyborów prezydenckich był już znany, a więc ryzyko przykrych, politycznych konsekwencji wobec GAFAM za tak drastyczne łamanie konstytucyjnych praw zarówno Trumpa, jak i obywateli USA (niezależnie o tego, czy Joe Biden rzeczywiście maczał w tym palce) było praktycznie zerowe. Dziś z perspektywy blisko roku widzimy, że opłaciło się. Przynajmniej na krótko, bo niewykluczone, że ta decyzja zbliżyła do Trumpa jego elektorat i zaprocentuje w następnych wyborach. W końcu głosowali na polityka, który prezentował się i bardzo często podejmował decyzje w kontrze do mainstreamu, a zastosowany wobec niego ideologiczno-polityczny ban tylko ten wizerunek wzmocnił.

Wracając do teraźniejszości, musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy i rok 2022 będzie rokiem cenzury, bo niestety coraz więcej wskazuje na to, że będzie jeszcze gorzej. „Poprawność polityczna" jest dziś już de facto narzędziem opresji, za którym idą bardzo surowe konsekwencje (za poglądy!) osobiste i zawodowe. Ten „nowy wspaniały faszyzm" staje się coraz bardziej nieznośnym ciężarem dla nas wszystkich i to od nas zależy, czy tę walkę o wolność wygramy, czy nie.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Śpiewająco w jasną stronę

Z Martą Burdynowicz, zwyciężczynią 12. edycji „The Voice of Poland", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Fot. TVP

Jaką wagę ma tytuł „The Voice of Poland"?

Marta Burdynowicz: Statuetka jest ciężka fizycznie, ale trzyma się ją bardzo lekko. Jestem przeszczęśliwa, że trafiła właśnie do mnie, choć było to zaskoczenie.

Które miasto najmocniej pani kibicowało?

Myślę, że mój rodzinny Elbląg, ale też przyjaciele z Gdyni, Poznania, Warszawy... Było trochę tych miejsc.

Jakim trenerem okazała się Justyna Steczkowska?

Wymarzonym. Jestem zaszczycona, że mogłam z nią pracować. I ją poznać. Cieszę się, że odwróciła swój fotel. Dosłownie w ostatniej chwili. Jeszcze moment i byłoby za późno. Naprawdę jestem jej wdzięczna.

Komunikowałyście się jak profesjonalistka z profesjonalistką? Pani – absolwentce Wydziału Wokalno-Aktorskiego gdańskiej Akademii Muzycznej – nieobce są sceny stołecznej Syreny, a także teatrów muzycznych w Warszawie (Roma), Poznaniu, Gdyni i Łodzi.

To są zupełnie różne światy. Teatr rządzi się swoimi prawami, a estrada jest czymś całkiem innym. W musicalu łączymy aktorstwo, śpiew i taniec, budujemy rolę, możemy się troszeczkę schować za postacią, kostiumem, a tu wychodzimy przed widzów jako my. Justyna Steczkowska była dla mnie wspaniałym przewodnikiem. Wiele się od niej nauczyłam.

„To żaden wstyd mylić się czasem..." śpiewa pani na swoim singlu. Zgadza się z tym pani prywatnie?

Jak najbardziej. Tylko ważne, żeby umieć się przyznać do pomyłki, wstać, otrzepać kolana i pójść dalej. W jasną stronę.

eprasa.pl 209ccf7e7a



5,2 mln

dotychczas tyle osób na świecie zmarło na COVID-19



395

tylu posłów Bundestagu głosowało za powołaniem rządu Olafa Scholza (303 było przeciw)

90

tyle minut rozmawiał Joe Biden z Wołodymyrem Zełeńskim na temat amerykańskiego wsparcia dla Ukrainy przeciw Rosji

Fot. katatonia82/Shutterstock.com, Shaun Jeffers/Shutterstock.com, Andrzej Wiktor



Borys Budka jak przemawia, to dokładnie przypomina Wiesława Gomułkę. Takich głupot jak on, to nikt nie opowiada z tej mównicy – minister Przemysław Czarnek



Czy mógłbyś powiedzieć prezydentowi, że jest późno i ja chcę iść spać?

– królowa Elżbieta II o Baracku Obamie, według wspomnienia George'a Osborne'a, byłego kanclerza skarbu

Kocham go. Generał to polski patriota

– Adam Michnik do Wojciecha Jaruzelskiego według niedawno ujawnionych nagrań

Zebrał Jakub Maciejewski

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32 PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

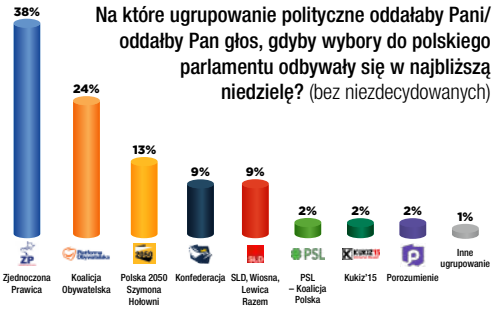
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, RONALD WITTEK / POOL/PAP. CURIA.EUROPE.EU, PHILIP LANGE, TTSTUDIO, HEROMEN3D, MAXIM ERMOLENKO (2X) /SHUTTERSTOCK, TWITTER.COM/MAGAZYNSLEDCZY

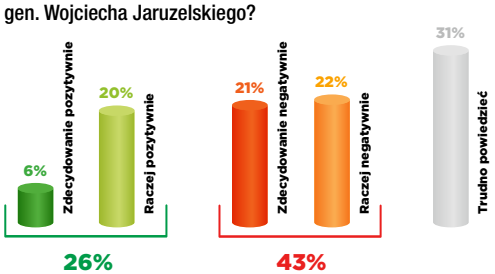
nasz sondaż

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

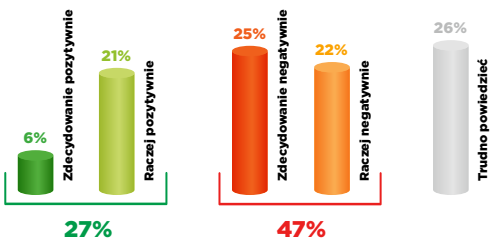
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



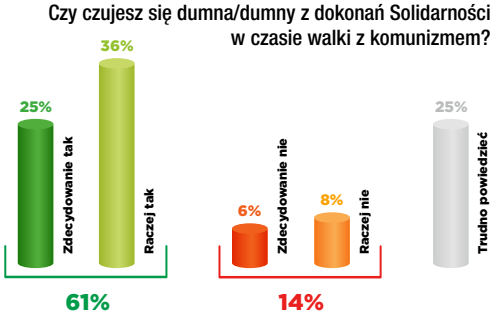
W jaki sposób ocenia Pani/Pan postać gen. Wojciecha Jaruzelskiego?



Jak ocenia Pani/Pan decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce w grudniu 1981 r. przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego?



Czy czujesz się dumna/dumny z dokonań Solidarności w czasie walki z komunizmem?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1073.

Zakres czasowy badania 3–6 grudnia 2021 r.

eprasa.pl 209ccf7e7a



Skandal na szczytach Unii Europejskiej

Francuski dziennik „Libération" po przeprowadzeniu dziennikarskiego śledztwa ujawnił malwersacje, korupcję, handel wpływami i inne nieuczciwe praktyki, do których miało dochodzić w instytucjach unijnych. Bohaterami serii artykułów gazety są: Europejski Trybunał Obrachunkowy, Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, Komisja Europejska i Europejska Partia Ludowa. Bruksela, a także część europejskiej prasy postanowiły aferę zamilczeć



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Karel Pinxten otrzymywał 17 tys. euro miesięcznej pensji (22 430 euro brutto), gdy przez 12 lat pracował w Europejskim Trybunale Obrachunkowym (ETO). Zadaniem trybunału, zwanego potocznie „sumieniem UE", jest kontrolowanie wykonania budżetu oraz wpływów i wydatków Wspólnot Europejskich. Tymczasem Pinxten podczas swoich dwóch kadencji jako przewodniczący III Izby ETO miał wyłudzić z instytucji, która go zatrudniała, nieskromną sumę 472 689 euro. Lista przewinień byłego ministra (obrony oraz rolnictwa) Belgii, polityka Flamandzkich Liberałów i Demokratów (OpenVLD) jest długa: polowania, wakacje na Kubie i w Szwajcarii, paliwo do samochodu syna i zakup winnicy w Burgundii. 332 zawodowe misje wykonane przez Karela Pinxtena i zatwierdzone przez ETO miały charakter czysto prywatny. Jedna z nich polegała na wspólnym polowaniu we Francji z lobbystami z Europejskiej Organizacji Właścicieli Ziemi

eprasa.pl 209ccf7e7a



(ELO). W skrócie – Pinxten wykorzystał swoje stanowisko do tego, by się osobiście wzbogacić.

Nie gardził przy tym nawet małymi sumami. Zgłosił się m.in. do firmy ubezpieczeniowej z roszczeniami w sprawie incydentu, podczas którego jego szofer miał niechcący samochodem służbowym przejechać jego walizkę, w której była butelka wina. Butelka pękła i miała zniszczyć ubrania Pinxtena. Tyle że incydent nigdy nie miał miejsca.

Także konflikty interesów nie były mu obce – jak pisze brytyjski dziennik „The Guardian". Usiłował m.in. wynająć mieszkanie ówczesnej szefowej unijnej dyplomacji Federice Mogherini. Ponadto, choć jest to zakazane, nadal jeździł do Belgii i aktywnie uczestniczył w życiu politycznym kraju. W 2016 r. anonimowy informator zgłosił Pinxtena do Europejskiego urzędu ds. Zwalczania nadużyć finansowych (OLAF), który rozpoczął śledztwo, a następnie skierował sprawę do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE). We wrześniu br. TSUE zdecydował, że Pinxten straci dwie trzecie przysługujących mu świadczeń emerytalnych. Apelacja złożona przez belgijskiego polityka została odrzucona. Przeciwko niemu toczy się w Luksemburgu także sprawa karna.

> Prawie pół miliona euro miał wyłudzić z Europejskiego Trybunału Obrachunkowego pracujący tam na wysokim stanowisku były minister obrony Belgii. Na co je przeznaczył? M.in. na polowania we Francji, wakacje na Kubie i w Szwajcarii, paliwo do samochodu syna i zakup winnicy w Burgundii

Pinxten, który uważa, że jest niewinny i potraktowano go „niesprawiedliwie", o mało nie został zresztą powołany na kolejną, trzecią kadencję do ETO. W 2017 r. gdy był objęty śledztwem OLAF, ówczesny premier Belgii, a dzisiejszy szef Rady Europejskiej Charles Michel proponował, by przedłużono mu mandat, choć wiedział, jakie ciążą na nim zarzuty. Ostatecznie nie pozwolił na to Parlament Europejski.

SAME CZARNE OWCE?

Teraz Pinxten robi za czarną owcę unijnych instytucji. Jak twierdzi francuski dziennik „Libération", sprawa belgijskiego polityka to jednak tylko wierzchołek góry lodowej. Sam Pinxten, jak pisze brukselski korespondent

Fot. Jacek Dominski/Reporter; RONALD WITTEK / POOL/Pap, curia.europe.eu, Shutterstock

eprasa.pl 209ccf7e7a

gazety Jean Quatremer, mówił podczas przesłuchań, że zrobiono z niego kozła ofiarnego, by przykryć „systemowe nadużycia" w Europejskim Trybunale Obrachunkowym. „Wszyscy tak robią" – mówił. Według „Libération" w tej kwestii akurat mógł powiedzieć prawdę.

Gazeta przeprowadziła kilkumiesięczne dziennikarskie śledztwo, z którego wyłania się smutny obraz etyki zawodowej unijnych rewizorów. „Jedna trzecia z 27 członków Europejskiego Trybunału Obrachunkowego nigdy nie pojawia się w Luksemburgu, gdzie trybunał ma swoją siedzibę. Mimo tego inkasuje dodatek mieszkaniowy (15 proc. pensji brutto, czyli 3,3–3,6 tys. euro miesięcznie), rozlicza prywatne podróże jako służbowe i używa samochodów służbowych do celów prywatnych" – pisze Jean Quatremer. Wszyscy członkowie Europejskiego Trybunału Obrachunkowego mają obowiązek na stałe mieszkać w Luksemburgu, tak jak członkowie Komisji Europejskiej muszą mieć swoje pierwsze miejsce zamieszkania w Brukseli. Za to otrzymują ww. dodatek plus 40 tys. euro na pokrycie kosztów przeprowadzki.

Tymczasem mieszkanie, które przewodniczący Europejskiego Trybunału Obrachunkowego, polityk niemieckiej CDU Klaus-Heiner Lehne, wynajmuje w Luksemburgu wspólnie z członkami swojego gabinetu, jak twierdzi „Libération", przez większość czasu stoi puste. Bo Lehne woli spędzać czas w swoim rodzimym Düsseldorfie, gdzie jest honorowym przewodniczącym chadecji. „Lehne przyjeżdża do Luksemburga tylko na posiedzenia Trybunału, na których jego obecność jest obowiązkowa, czyli posiedzenia plenarne (jeden lub dwa czwartki w miesiącu). Tak więc nocuje w tym mieszkaniu tylko w środę wieczorem. To zdumiewające, że prezes ETO łamie w ten sposób wszystkie zasady" – oburza się Quatremer. Już wcześniej, jak relacjonuje korespondent „Libération", Lehne, zaufany człowiek byłej kanclerz Angeli Merkel, cieszył się złą sławą. Gdy był europosłem w latach 1994–2014, zajmował się jednocześnie lobbingiem na rzecz europejskich firm. Lehne i Pinxten to jednak tylko dwa małe trybiki w dogłębnie zepsutym systemie, sięgającym aż do samego Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

KOLIGACJE RODZINNE I PARTYJNE

Francuska gazeta, kreśląc wątek afery Pinxtena i Europejskiego Trybunału Obrachunkowego, donosi o wielkim skandalu finansowym w unijnych instytucjach. Jego bohaterami mają być politycy Europejskiej Partii Ludowej, sędziowie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) oraz unijni komisarze.

„To bardzo poważna sprawa" – wskazuje „Libération", podkreślając, że EPL zbudowała w UE państwo w państwie. Jak pisze Quatremer, wystarczy jedno spojrzenie na podpisy widniejące na wyroku TSUE skazującym Pinxtena na utratę części emerytury za malwersacje, by się zorientować, że ośmiu sędziów Trybunału było nieobecnych podczas rozprawy, w tym przewodniczący TSUE, Belg Koen Lenaerts. A ta nieobecność da się wytłumaczyć ich bliskimi związkami z Pinxtenem. Lenaerts się nawet oficjalnie wycofał ze sprawy, co zdarza się niesłychanie rzadko. Przewodniczącego TSUE i Pinxtena łączą bowiem nie tylko więzi polityczne (obaj byli członkami flamandzkiej chadecji CD&V), ale także prywatne. Pinxten jest ojcem chrzestnym jednej z córek Lenaertsa.

> W latach 2010–2018 sędziowie TSUE uczestniczyli według francuskiej gazety w spotkaniach z przedstawicielami europejskich firm, organizowanych w celach lobbingowych i finansowanych z funduszy publicznych

W latach 2010–2018 sędziowie TSUE uczestniczyli według francuskiej gazety w spotkaniach z przedstawicielami europejskich firm, organizowanych w celach lobbingowych i finansowanych z funduszy publicznych. Na liście gości wspomnianych spotkań znaleźli się m.in. były szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker, były wiceprzewodniczący KE Jyrki Katainen, a także obecny komisarz ds. budżetu, Austriak Johannes Hahn, który uważany jest za prawą rękę Ursuli von der Leyen. Jeden z sędziów TSUE, Szwed Nils Wahl, także brał udział w polowaniach urządzanych przez Pinxtena we współpracy z Europejską Organizacją Właścicieli Ziemi (ELO), m.in. we francuskim zamku Chambord. Podobnie jak Katainen i Hahn. Były unijny negocjator ds. brexitu i niedoszły kandydat na prezydenta Francji Michel Barnier też był zapraszany na polowania, ale „nie skorzystał z oferty". „Dyskretne kolacje", polowania. Wszystko wskazuje na handel wpływami" – zaznacza Quatremer. OLAF wszczął nawet śledztwo w sprawie udziału Hahna w tych, jak sam zainteresowany twierdzi, „prywatnych spotkaniach", ale śledztwo zostało szybko umorzone. Według „Libération" miało dochodzić do nacisków KE i rządów kilku krajów. Ponadto nowy dyrektor Europejskiego urzędu ds. Zwalczania nadużyć finansowych, nominowany w lutym 2018 r. Fin Ville Itälä, to były członek Europejskiego Trybunału Obrachunkowego i prywatnie przyjaciel Klausa-Heinera Lehnego.

Jak wskazuje Quatremer, wszyscy wyżej wymienieni, z kilkoma wyjątkami, należą do Europejskiej Partii Ludowej (w tym Itälä), rodziny partyjnej, do której należy także Platforma Obywatelska. „Ci urzędnicy są albo członkami, albo mocno związani z rodziną EPL i utrzymują między sobą bliskie więzi – na poziomie politycznym, przyjacielskim,

eprasa.pl 209ccf7e7a

a nawet rodzinnym, jak sędzia Alexandra Sacha Prechal, przewodnicząca drugiej izby TSUE, która również wycofała się ze sprawy Pinxtena, ponieważ jest żoną Alexa Brenninkmeijera, holenderskiego członka Europejskiego Trybunału Obrachunkowego" – czytamy w „Libération". W tym gąszczu powiązań, partyjnych i nierzadko rodzinnych, sugeruje gazeta, kwitnie korupcja. A Europejska Partia Ludowa stała się państwem w państwie.

W tym gąszczu powiązań, partyjnych i nierzadko rodzinnych, jak pisze „Libération", kwitnie korupcja. A Europejska Partia Ludowa stała się państwem w państwie

OMERTA

Tyle że – w każdym razie w Brukseli – nikt nie chce o tym słyszeć. W końcu oskarżani przez „Libération" urzędnicy należą do największej grupy politycznej w Parlamencie Europejskim, jeden jest ulubieńcem odchodzącej Angeli Merkel, a bez drugiego obyć nie może się obecna przewodnicząca Komisji Europejskiej. Ursula von der Leyen, będąc szefową ministerstwa obrony, sama zaliczyła aferę z pogranicza korupcji, zatrudniając swoje koleżanki jako doradców.

Rewelacje „Libération" wywołały także dość słabą reakcję europejskiej prasy. Największą uwagę mediów przyciągnęły oskarżenia wobec przewodniczącego ETO Klausa-Heinera Lehnego. Austriacki dziennik „Der Standard" nazwał sprawę „skandalem wymagającym wyjaśnienia". A dziennik „Le Monde" zastanawiał się, „kto kontroluje kontrolerów?". Lehne bronił siebie oraz swoich kolegów w miniony wtorek przed komisją budżetową Parlamentu Europejskiego. Według niego działał on legalnie, a „Libération" nie przedstawiła żadnych dowodów na jego winę. Nie wykluczył podania gazety do sądu. Jego partyjna koleżanka, Martina Hohlmeier, córka słynnego polityka CSU Franza Josefa Straußa, uznała wręcz, że problemem nie jest zachowanie Lehnego, tylko „europejska prasa". „Znam ten problem, sama przez to przechodziłam. To jest problem wolności prasy" – oświadczyła.

W marcu 2021 r. Hohlmeier, europosłanka chadeków, była zamieszana w tzw. skandal maskowy w Niemczech. Wraz z grupą partyjnych towarzyszy miała załatwić jednemu z producentów masek w Szwajcarii dojście do niemieckiego ministerstwa zdrowia. Maski zostały następnie zakupione po zawyżonej cenie i bez certyfikatów. W skrócie: były bezużyteczne. Hohlemeier zarzeka się do dziś, że nie wzięła za swoją rolę pośrednika „ani grosza".

Co ciekawe, Lehne sam pisał w 2016 r. na łamach europejskiego portalu Politico, że Europejczycy „tracą zaufanie do Unii Europejskiej, widząc, jak źle są wydawane unijne fundusze". „Ludzie nie mogą nawet zacząć ufać instytucjom Unii Europejskiej, jeśli nie wierzą, że właściwie dbamy o ich pieniądze" – powiedział Lehne. Najwyraźniej miał przy tym na myśli bliżej nieokreślone państwa członkowskie, bo zapewne nie samego siebie. Jak na razie i tak niewiele mu grozi. Według Parlamentu Europejskiego jego zachowanie było wprawdzie nieetyczne, ale mieściło się w ramach wewnętrznych regulacji. Podobnie jak zachowanie komisarza Hahna, odpowiedzialnego za unijny budżet. Jak pisze austriacki dziennik „Der Standard", biznesowe kolacje „są na porządku dziennym w Unii". Nie jest to powodem do dymisji. Ale Hahn powinien się przyznać do błędów. Najlepiej byłoby, gdyby zarówno komisarze unijni, jak i przewodniczący innych europejskich instytucji płacili za swoje posiłki z własnej kieszeni. Zarabiają wystarczająco. A Komisja Europejska powinna przestać atakować media, które wykryły nieprawidłowości" – czytamy na łamach gazety.

Jean Quatremer przyczynił się w 1999 r. do upadku tzw. Komisji Santera, po tym jak ujawnił na łamach „Libération", że komisarz Edith Cresson zatrudniała swojego dentystę w roli doradcy. W tym przypadku tak nie będzie. Dziennikarz ujawnił bowiem to, co i tak wszyscy wiedzą i widzą, i na co od lat przymykają oczy.

REKLAMA



72/1121/F

eprasa.pl 209ccf7e7a



Dlaczego Donald Tusk milczy?

Artykuł w „Libération" obnaża mechanizm funkcjonowania instytucji unijnych na najwyższym szczeblu

Z Sebastianem Kaletą, wiceministrem sprawiedliwości, rozmawia Wojciech Biedroń

Ujawniona przez francuskie media afera korupcyjno-polityczna w Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu potwierdza wielokrotnie podnoszoną tezę, że TSUE to organ skrajnie upolityczniony i stanowi narzędzie w rękach polityków.

Sebastian Kaleta: Artykuł w „Libération" obnaża pewien mechanizm funkcjonowania instytucji unijnych na najwyższym szczeblu. Tymczasem zasiadają w nich ludzie, którzy decydują o kształcie prawa unijnego, o naszych zobowiązaniach względem Wspólnoty i o wielu innych ważnych kwestiach. Ten hermetyczny świat sędziów, urzędników i polityków w rzeczywistości jest światem wzajemnie przenikających się układów towarzyskich, finansowych i lobbingowych. Dziś już widzimy, że procedury decyzyjne w Unii są nietransparentne i istnieje bardzo duże ryzyko, że są one podejmowane w sposób polityczny i stronniczy.

Korupcja?

Być może. Trzeba to przeanalizować także pod tym kątem.

A może dzieje się tak dlatego, że sędziami TSUE bardzo często zostają byli urzędnicy i politycy z krajów członkowskich? Tak stało się w przypadku m.in. sędzi Rosarii Silvy de Lapuerty, która jednoosobowo nakazała zamknięcie kopalni Turów.

To nie jest tak, że sędziowie TSUE to najwybitniejsi unijni przedstawiciele środowiska sędziowskiego czy szerzej prawniczego. Nie zostali wyselekcjonowani przez gremia naukowe Europy. To często nominaci polityczni. Pani sędzia de Lapuerta wywodzi się z bardzo wpływowej rodziny polityków z hiszpańskiej Partii Ludowej. Jej wujek był bohaterem afery finansowej. Kiedy pełnił funkcję skarbnika Partii Ludowej, to ona trafiła do TSUE. Wcześniej nie była sędzią, a jedynie wysokim urzędnikiem w hiszpańskim ministerstwie sprawiedliwości.

Podobnie jak w przypadku sędziego Larsa Baya Larsena, który nałożył na Polskę karę za istnienie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. On także był wcześniej urzędnikiem państwowym w Danii.

Ten pan przez kilkanaście lat był urzędnikiem tamtejszego ministerstwa sprawiedliwości. Przez trzy lata orzekał w Sądzie Najwyższym Danii i wprost z niego trafił do TSUE. Tylko te przykłady pokazują, że mamy do czynienia z osobami, które z nominacji politycznej piastują funkcje w organie, który uzurpuje sobie prawo wyższe niż konstytucje krajów członkowskich.

Polsce szkodzili też rzecznicy generalni TSUE wydający opinie, które znajdowały się w wyrokach tego Trybunału.

Tacy jak pan Ewgeni Tanczew, który był związany z postkomunistyczną partią

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 209ccf7e7a

w Bułgarii i którego ojciec był wieloletnim członkiem komunistycznej Rady Państwa. Kto wskazał pana Tanczewa do tych opinii? Wieloletni wiceminister w rządzie Donalda Tuska – Maciej Szpunar. W kontekście afery opisanej przez „Libération" widzimy, że wiele spraw załatwia się więc dzięki układom i układzikom między urzędnikami, politykami i lobbystami. Artykuł wskazuje też na polityków EPL. Rodzi się podstawowe pytanie, czy takie fundamentalne precedensowe orzeczenia TSUE, które naruszają suwerenność państw członkowskich, niszczą konstytucje, naruszają traktaty, zapadają na podstawie rzetelnej oceny prawnej czy na podstawie planów politycznych.

Te układy konserwuje unijna doktryna „drzwi obrotowych". Polega ona na tym, że ważni urzędnicy unijni, komisarze, po zakończeniu urzędniczej kariery przechodzą do firm lobbingowych, banków i instytucji finansowych.

Wielu byłych członków Komisji Europejskiej przeszło do tzw. biznesu. Choćby przykład Neelie Kroes, byłej komisarz ds. agendy cyfrowej, która została zatrudniona w Bank of America Merrill Lynch. Tak wygląda ten przepływ i być może, tak jak opisał to „Libération", załatwiają dziś swoje interesy.

Ma się jednak wrażenie, że tę aferę opisaną we francuskim dzienniku europejskie elity chcą przemilczeć.

Tę sprawę należy wyjaśnić priorytetowo. Pytanie, kto ma ją wyjaśnić, skoro kilka kluczowych nazwisk znalazło się w samym artykule. To jest największa afera w historii UE, która odkryła sposób funkcjonowania całej Wspólnoty. Widzimy dziś, co było ukryte za kotarą i za sceną. Rodzi to poważne wątpliwości, czy ta antypolska agenda, z którą mamy do czynienia, nie jest elementem afery opisanej przez „Libération". W sferze prawa łatwo wykazać pozorność zarzutów wobec Polski. Tak jest choćby z kwestią powołań sędziowskich. Być może znajdujemy dziś poszlaki wskazujące, jak tworzono mechanizm szantażu wymierzonego w Polskę.

Ten szalenie niebezpieczny mechanizm może mieć wpływ na bieżącą sytuację w Polsce?

Oczywiście, że tak. Jesteśmy u progu katastrofalnego dla Polski projektu Fit for *55*. Ewidentnie widać, że firmy lobbingowe prowadzą już swoją działalność. Projekt zrujnuje Polskę. Ma on zahamować polski bieg, marsz, który zrównałby naszą gospodarkę z gospodarkami Zachodu. Próbuje się nam narzucić rozwiązania, przez które staniemy się krajem peryferyjnym, ubogim. Jak to więc jest? Czy te propozycje nie są tylko dla interesów i interesików? W artykule „Libération" czytamy o prezesie TSUE! Miał on uczestniczyć w nietransparentnych spotkaniach. Ta sprawa może obniżyć zaufanie do instytucji unijnych. Tymczasem elity europejskie nic sobie z tego nie robią. Nie powołuje się żadnej komisji do wyjaśnienia tej sprawy.

Nie słyszę też głosu Donalda Tuska, a to przecież on stoi dziś na czele Europejskiej Partii Ludowej.

Sprawa dotyczy przecież opisanych wpływów EPL w instytucjach unijnych. Ta partia ma w strukturach unijnych swoich przedstawicieli, którzy powinni być niezależni. To rodzi pole do nadużyć. To EPL wypłaca dziś pensję Donaldowi Tuskowi, a wiele spraw opisanych przez „Libération" miało miejsce w czasie jego szefostwa w tej partii.

Jaką mamy więc gwarancję, że TSUE jest niezawisłym trybunałem, skoro widać, że wykonuje agendę Komisji Europejskiej i Europejskiej Partii Ludowej?

Trzeba spytać panów Donalda Tuska i sędziego Marka Safjana, czy uczestniczyli w tych nieformalnych spotkaniach. Czy może pani Elżbieta Bieńkowska uczestniczyła? Pan Lewandowski? Oboje byli komisarzami unijnymi. Już wcześniej były wątpliwości, jeśli chodzi o TSUE, a teraz widzimy to na własne oczy.

Europa milczy o aferach w krajach członkowskich, o aferze TSUE. Z kolei Polska znajduje się pod pręgierzem.

Dziś Unia nie rozwiązuje żadnych problemów. Dla niej ważniejsza jest wojna z konserwatywnym rządem w Polsce. Tu ma być ulokowany namiestnik, który zawsze będzie słuchał poleceń z Brukseli. Z kolei Parlament Europejski zajmuje się uchwałami polskich samorządów, ale o wielkiej aferze TSUE i EPL milczy. To pokazuje, że UE jest przeżarta układami i nie realizuje agendy integracyjnej czy zgodnej z traktatami, ale pilnuje twardych interesów największych państw członkowskich i partii, którą te państwa współtworzą.

Sprawa tej afery rodzi jeszcze jedną wątpliwość. Jak to jest, że przedstawiciele kasty sędziowskiej w Polsce i wspierający ją politycy Koalicji Obywatelskiej zawsze są pewni orzeczeń TSUE lub opinii rzeczników generalnych tego Trybunału? Wygląda to tak, jakby już wcześniej znali treść orzeczeń.

Od początku rozpatrywania spraw polskich w instytucjach unijnych, czy przed TSUE, sędziowie z Iustitii byli pewni swego. Tymczasem krok po kroku realizowana jest agenda, która ma na celu zablokowanie na zawsze możliwości jakiejkolwiek reformy sądownictwa. Polacy mają nie mieć wpływu na to, kto zostanie sędzią w Polsce. W świetle rewelacji ujawnionych przez „Libération" patrzy się na tę sprawę zupełnie inaczej. Znamy przypadki wycieczek sędziów i prokuratorów do Brukseli, gdzie byli przyjmowani z honorami i wszystko toczyło się w przyjacielskiej atmosferze. Rodzi się pytanie, czy podczas tych spotkań nie zapadały decyzje w sprawie Polski.

Czy my tę bitwę możemy wygrać? Komisja Europejska ze swoją prawną bronią TSUE, skorumpowani urzędnicy i politycy. Może to za dużo?

Mamy swoje wewnętrzne procedury, a polski Trybunał Konstytucyjny położył tamę dla uzurpacji TSUE. Powinniśmy konsekwentnie korzystać z kart, które nam zostały. Niestety, nie mamy już prawa weta w zakresie funduszu obudowy. Pamiętajmy, że sytuacja jest bardzo trudna.

Tymczasem Niemcy zdają się mówić: „Przyłączcie się do naszego federalistycznego państwa europejskiego".

W tej konstrukcji jest dla Polski napisana rola. Mamy być podlegli, tworzyć rezerwuar zasobów i taniej siły roboczej. Mamy być rynkiem dla niemieckich firm. Tymczasem decyzje dotyczące naszego ustroju i życia społecznego zostałyby przekazane na zewnątrz, do Berlina. Nie po to kilka pokoleń Polaków walczyło o wolność, byśmy dziś tę suwerenność, ot tak, oddali.

eprasa.pl 209ccf7e7a



Skryty przyjaciel generała



Fot. Justyna ROJEK/East News

W „Magazynie śledczym Anity Gargas" na antenie TVP1 wyemitowano nowe, sensacyjne nagrania z udziałem Wojciecha Jaruzelskiego i Adama Michnika. Na nagraniu obaj panowie wymieniają czułe uściski, a naczelny „Gazety Wyborczej" mówi o architekcie stanu wojennego: „Ja go kocham" oraz „Dla mnie generał jest polskim patriotą i zawsze nim był"

*Z **Anitą Gargas** rozmawia Weronika Tomaszewska*

Jaka jest historia nagrania spotkania Adama Michnika z Wojciechem Jaruzelskim, które ujawniła pani w swoim programie?

Anita Gargas: Nagranie powstało z 12 na 13 grudnia 2000 r. To szczególna, rocznicowa noc – w tym czasie zawsze upamiętniamy ofiary stanu wojennego. Właśnie wtedy do domu gen. Jaruzelskiego wpuszczona zostaje ekipa telewizyjna, która realizuje film dokumentalny pod tytułem „Noc z generałem". W tę szczególną noc, w obecności kamer, w domu Jaruzelskiego pojawia się Adam Michnik. Pojawienie się gościa nie byłoby niczym bulwersującym, gdyby nie to, że Adam Michnik jest postacią związaną z opozycją. I należałoby oczekiwać, że właśnie tego rocznicowego dnia nie powinien być gościem autora stanu wojennego, który jednocześnie jest odpowiedzialny za wiele innych nieszczęść i zbrodni z okresu PRL. Tego dnia Michnik powinien był stać po stronie ludzi, którzy demonstrowali pod domem generała. Szokujące jest również to, że nagranie, mimo iż ma bardzo ważny walor dokumentacyjny, nie znalazło się w ostatecznie zrealizowanym filmie. Wręcz przeciwnie, do momentu emisji „Magazynu śledczego" nie ujrzało światła dziennego.

Dlaczego nagranie było ukrywane przed opinią publiczną?

Nie wiem, kto podjął taką decyzję, natomiast po emisji programu wszyscy wiemy, że nagrania zawierają bardzo niewygodne sceny. Pokazują nieprawdopodobny stopień zażyłości pomiędzy krwawym generałem a redaktorem naczelnym największej wówczas gazety codziennej – gazety, która miała chyba najbardziej istotny wpływ

31/1221/F

eprasa.pl 209ccf7e7a



na kształtowanie opinii publicznej spośród wszystkich ówczesnych mediów w Polsce. Zażyłość między Michnikiem a Jaruzelskim powinna była być znana opinii publicznej. Powinna była być znana czytelnikom „Gazety Wyborczej" oraz tym, którzy głosowali na Michnika w wyborach do Sejmu kontraktowego. Poseł Michnik zabierał głos z mównicy sejmowej, ale robił to jako były opozycjonista, który spędził wiele lat w peerelowskim więzieniu, a nie jako przyjaciel Jaruzelskiego. Wtedy opinia publiczna nie wiedziała, że Michnik jest już zaprzyjaźniony z gen. Jaruzelskim. Przypomnę, że Wojciech Jaruzelski w 1989 r. został prezydentem Polski. To właśnie w tym okresie Michnik zawarł tę zażyłą znajomość.

Jakie myśli towarzyszyły pani i zespołowi „Magazynu śledczego", kiedy pierwszy raz obejrzeliście to nagranie?

Badacze najnowszej historii Polski, dziennikarze, zdają sobie sprawę z tego, że zawarto pewien układ, którego kulis opinia publiczna do końca nie zna. Wiedzieliśmy, że Adam Michnik jest w bliskich relacjach z ludźmi dawnej władzy komunistycznej. Znamienne słowa: „Odpieprz się od generała", wypowiedziane na początku lat 90., świadczyły o tym, że Michnik może zrobić bardzo wiele dla swoich dawnych politycznych wrogów – nawet to, by publicznie obrazić dziennikarza, który w kulturalny sposób próbuje zadać generałowi pytania. Zdawaliśmy sobie sprawę także z tego, że te relacje zadzierzgnięte przez Michnika i jego środowisko z komunistami – z tymi, którzy dawniej ciemiężyli Polskę, z tymi, którzy byli na usługach Moskwy – musiały być silne, co pokazała afera Rywina. Przecież

REKLAMA



GRAMY Z GESTEM



Miasta
Miasto Chełm
KATOWICE Miasto Ogrodów
ZAMOŚĆ Twierdza otwarta

Patronat Medialny

Sponsorzy i Partnerzy Wydarzenia
BOGDANKA
PZU
LOTTO
PKO Bank Polski
ORLEN
Polski Cukier
TAURON POLSKA ENERGIA

eprasa.pl 209ccf7e7a

wtedy się okazało, że te stosunki wykraczają poza normalne relacje dziennikarsko-polityczne, biznesowe. To było coś więcej. Włączały się wszelkie możliwe światła alarmowe. Tym niemniej nagranie, które ujawniliśmy, pokazuje, że te stosunki są znacznie dalej posunięte, przekroczyły pewne bariery, mieszały relacje pomiędzy dawnymi katami i ofiarami oraz wpływały na kształtowanie opinii publicznej, jeśli chodzi o stosunek do III RP i relatywizowanie całego okresu PRL.

To nagranie pokazuje kulisy III RP, jej prawdziwe fundamenty.

Chciałabym to podkreślić: w sytuacji gdy trwa debata publiczna, że Jaruzelski powinien być sprawiedliwie osądzony, inny wymiar mają słowa, które odbiorcy postrzegają jako słowa wypowiadane w obronie generała przez dawnego opozycjonistę, a inny wymiar miałyby słowa, które wypowiadałby on jako jego przyjaciel. Michnik ukrywał tę zażyłość. Słowa wypowiadane przez skrytego przyjaciela kogoś, kto niewątpliwie ponosi odpowiedzialność za śmierć wielu ludzi, wpłynęły na to, jaki jest ostateczny efekt prób osądzenia tego człowieka. Trzeba niestety powiedzieć, że ukrywanie tej zażyłości wpłynęło na to, jaka w ogóle jest III RP. Wpłynęło na to, że nie zamknęliśmy rozdziału związanego z PRL, z rozliczeniem komunizmu. Rola Michnika w tej sprawie jest nie do przecenienia i powinna być opisana ponownie, biorąc pod uwagę nowe fakty, które poznajemy dzięki nagraniu.

To w mniemaniu Michnika i Jaruzelskiego miała być wolna Polska?

I Adam Michnik, i Wojciech Jaruzelski byli zainteresowani, aby oddawanie władzy przez komunistów nastąpiło tylko w nikłym stopniu, w tym najbardziej powierzchownym. Zależało im na tym, aby cały ten proces przebiegał w sposób, który nie zaburzy interesów środowiska komunistów – Jaruzelskiego, Kiszczaka i innych – oraz nie zaburzy interesów środowiska Michnika. Aby zrealizować taki zamysł, musieli wyeliminować osoby – zdaniem tych dwóch środowisk – niebezpieczne. A za takie uważali wtedy tych, którzy myśleli o pełnej, natychmiastowej niepodległości, o odsunięciu komunistów nie tylko od wybranych stanowisk na najwyższych szczeblach władzy, ale odsunięciu ich od źródeł finansowania, od tego, co powoduje, że mogli nadal pociągać za sznurki. Architekci III RP wyeliminowali tych, którzy myśleli w sposób konserwatywny, antykomunistyczny, którzy przemiany widzieli przede wszystkim jako proces związany z dekomunizacją, z lustracją. Jeśli spojrzeć na te procesy pod tym kątem, to trzeba powiedzieć, że to, co zgotowali nam Michnik i jego środowisko oraz decydenci po stronie PZPR – to niestety nie była wolna Polska.

> Nagranie, które ujawniliśmy, pokazuje, że mieszały się relacje pomiędzy dawnymi katami i ofiarami oraz wpływały na kształtowanie opinii publicznej, jeśli chodzi o stosunek do III RP i relatywizowanie całego okresu PRL

Co to nagranie mówi nam o generale? Czego dowiadujemy się o redaktorze naczelnym „Gazety Wyborczej" i jego środowisku?

Nie jest bez znaczenia, że nocna wizyta Michnika nie wywołuje żadnego zdziwienia u Jaruzelskiego. Wygląda na to, że tego rodzaju odwiedziny były częstsze. Nagranie nie było sporządzone ukrytym sprzętem, kamery były rozstawione w pomieszczeniu, w którym siedzieli obaj panowie. Oni wręcz do obiektywu mówią pewne kwestie, co każe się zastanawiać, co się dzieje, kiedy kamery nie było, kiedy obaj nie musieli hamować słów i nie musieli ukrywać pewnych faktów. Nagrania pokazują, jak Michnik wyznaje, że ma Jaruzelskiego za patriotę, wręcz kadzi generałowi, co ten przyjmuje jako coś naturalnego, z czym spotyka się na co dzień. Jaruzelski sprawia wrażenie, że w żaden sposób nie czuje się zagrożony, bo wie, że nie musi się obawiać, że ze strony „Gazety Wyborczej" będzie np. rozliczany za swoje czyny z okresu PRL. To wszystko pokazuje, w jakim fałszu żyliśmy, jeśli chodzi o odbiór „Wyborczej". Przypomnę, że w latach 90. była to największa gazeta, w dodatku uchodząca za najbardziej wiarygodną, ponieważ – przynajmniej w początkowym okresie – miała legendę gazety całej opozycji, nie tylko Solidarności. W jakim fałszu żyli wszyscy odbiorcy „Wyborczej", de facto cała opinia publiczna, która nie znała tego, co dzieje się za kulisami powstawania poszczególnych tekstów i za kulisami tworzenia podwalin pod III RP.

Jakie wnioski współcześnie płyną z tego nagrania?

Przede wszystkim trzeba raz jeszcze zweryfikować postawę Adama Michnika i środowiska „Gazety Wyborczej": przyjrzeć się temu, jakie idee próbowali zaszczepić na polskim gruncie, jaką ideologię narzucali w przestrzeni publicznej. Trzeba ponownie spojrzeć na to, jaka była ich narracja, jeśli chodzi o rozliczenie PRL, którą – de facto – narzucili skutecznie. Pod tym kątem spojrzeć również na to, co obecnie robi Michnik i jego środowisko. Kulisy powstawania III RP wciąż nie są w pełni znane, w szczególności więzi łączące najważniejszych wówczas graczy na scenie politycznej. Mam nadzieję, że ujawnione przez „Magazyn śledczy" nagranie będzie dużym krokiem do przodu w kwestii wyjaśniania tych kulis i rzuci nowe światło np. na proces wybielania tzw. architektów „okrągłego stołu", poszczególnych prominentów z okresu PRL.

Reklama | 1/0321/F

eprasa.pl 209ccf7e7a

Nawet dziecko wie...

#DobryKierowca nigdy nie jeździ po alkoholu







Miko Marczyk
kierowca rajdowy

Miko Marczyk

Dowiedz się więcej na www.orlen.pl

eprasa.pl 209cc7e7a

Zawracanie PSL

Polskie Stronnictwo Ludowe walczy o odzyskanie piwotalności. Nawet wbrew swojemu prezesowi Kosiniakowi-Kamyszowi



STANISŁAW JANECKI



Fot. Andrzej Iwańczuk/Reporter

Z jednej strony deklaracje o budowie chadeckiego, konserwatywnego centrum, a z drugiej przystąpienie do Porozumienia dla Praworządności. Nie tyle z innymi partiami opozycyjnymi, bo one też się tam znalazły, ile z Ogólnopolskim Strajkiem Kobiet, Komitetem Obrony Demokracji, Akcją Demokracja czy Obywatelami RP. Czyli konserwatyzm w słowach, a w czynach sojusz z najbardziej radykalnymi organizacjami lewicy, z zadymiarzami i awanturnikami. Praworządność jest tu przecież tylko parasolem, skoro lewicowi zadymiarze są często z prawem mocno na bakier. To w skrócie strategia Polskiego Stronnictwa Ludowego za rządów w nim Władysława Kosiniaka-Kamysza. Charakterystyczne zresztą jest to, że do PdP przystąpiło PSL, a nie Koalicja Polska, która ma być tą konserwatywną czapką dla partii Kosiniaka-Kamysza. Czyli pozory przede wszystkim.

Z działań PSL w ostatnich miesiącach wyłania się obraz partii, która nie wie, czego chce, poza tym, że chce udziału we władzy. A jakim sposobem, to już wszystko jedno. Pozostawanie w opozycji szósty rok nawet bardziej ciąży PSL niż PO. Dlatego pojawiają się tam coraz częściej głosy, że dogmatyczne trwanie w opozycyjnym układzie może trzymać PSL z dala od władzy przez kolejne lata i partia może tego nie wytrzymać. Władysław Kosiniak-Kamysz wydaje się na to głuchy, bo akurat on właściwie całą swoją karierę związał z Donaldem Tuskiem. I to w rządzie Tuska firmował najbardziej niepopularne posunięcia, czyli podniesienie wieku emerytalnego i przejęcie oraz przejedzenie środków z OFE, choć faktycznie przejadali je Jan Vincent-Rostowski z Donaldem Tuskiem. Różni politycy PSL chcieli coś zrobić z niewygodnym położeniem własnej partii, ale wybrali to, co zwykle, czyli czekanie na korzystną okazję albo, jak mawiał Marek Belka, piwotalność. Dlatego na szefa Rady Naczelnej wybrali byłego wieloletniego prezesa Waldemara Pawlaka, a nie wicemarszałka Sejmu Piotra Zgorzelskiego. Bo Pawlak jest obrotowy, a Zgorzelski jednoznacznie nastawiony negatywnie do Prawa i Sprawiedliwości. A zaraz potem PSL przystąpiło do Porozumienia dla Praworządności. To odpowiednik tego, jakby z Warszawy do Krakowa jechać przez Szczecin. Już wcześniej PSL przejechało się na znacznie mniej rewolucyjnej konstrukcji (m.in. z Inicjatywą Feministyczną oraz partią Wolność i Równość), czyli Koalicji Europejskiej na wybory do Parlamentu Europejskiego w 2019 r. Jednak najwidoczniej to było za mało, choć trauma po tamtej koalicji jest wciąż w PSL duża.

KOSINIAK-KAMYSZ KONTRA PAWLAK?

Kongres partii zdecydował, że prezesem PSL pozostał Kosiniak-Kamysz, Pawlak zaś, po latach wracający do czynnej polityki, „tylko" szefem Rady Naczelnej, choć namawiano go, by rzucił prezesowi rękawicę. Pawlak woli jednak działać z za-

eprasa.pl 209ccf7e7a

skoczenia. Zwłaszcza po tym jak w 2012 r. ograł go i wysłał na polityczną emeryturę Janusz Piechociński. Rada Naczelna to rodzaj rady nadzorczej w partii, a w obecnej kadencji władz PSL ma ona pilnować, żeby prezes nie podejmował kroków utrudniających udział we władzy. Na razie wychodzi to średnio, skoro zaraz po wyborach władz mieliśmy przystąpienie do PdP, czyli bardzo szerokiej koalicji, choć nie wyborczej, ale oczywiście z wyborczym podtekstem. Gdy więc sam Kosiniak-Kamysz deklaruje, że nie chce żadnej wielkiej koalicji na wybory parlamentarne w 2023 r. i jednocześnie odmawia możliwości jakiejkolwiek koalicji z PiS, to opowiada się za rozwiązaniem w stylu PdP, czyli opozycyjnej koalicji mniej formalnej, ale szerokiej.

Jednoznaczna deklaracja Kosiniaka-Kamysza, że nigdy nie pójdzie z PiS, została w partii uznana za odbieranie szans wyborczych i zaniżanie poparcia w sondażach. Wyborcy, zwłaszcza działacze niższych szczebli i członkowie, przewidują jednak, w jakiej konfiguracji PSL może rządzić. I sporo z nich większe szanse daje partii w ewentualnej koalicji z PiS niż z PO. Część znanych polityków PSL, m.in. Marek Sawicki i Waldemar Pawlak, uważa wykluczające deklaracje za szkodliwe i przestrzega, że PSL kolejnej kadencji poza władzą (z wyjątkiem samorządów, ale i tam koalicja z PO ograniczyła wpływy partii) może nie wytrzymać. Ci politycy, nieprzypadkowo z długim stażem na rządowych stanowiskach, wolą nie zamykać partii drogi do żadnych koalicji. Sawicki nawet złożył w listopadzie br. ofertę, że PSL mogłoby współrządzić z PiS zamiast Solidarnej Polski, i to jeszcze w obecnej kadencji.

Kosiniak-Kamysz deklaratywnie popiera start PSL tylko w ramach Koalicji Polskiej, ale jego przeciwnicy wiedzą, że po wyborach będzie to argument przetargowy. Tyle tylko, że Koalicja Polska może nie przekroczyć progu, jeśli z góry zadeklaruje, że po wyborach pójdzie wyłącznie z opozycją. Tzw. doły partyjne obwiniają obecnego prezesa, że już w 2019 r. odebrał im możliwość współrządzenia razem z PiS w wielu samorządach, a to są główne aktywa PSL. Pawlak wraca do władz partii, żeby kontrolować Kosiniaka-Kamysza, gdyż na razie uznał, że nie miałby szans odsunięcia go od władzy. Ale Rada Naczelna może prezesowi narzucić swoją linię, a z czasem nawet pozbawić funkcji. Tyle tylko, że sam Pawlak, mimo swego cynicznego pragmatyzmu, nie byłby dla PiS wymarzonym partnerem, choćby ze względu na rolę, jaką odegrał w uzależnieniu Polski od rosyjskiego gazu. Sam Pawlak zapewne sądzi, że koalicja to nie małżeństwo i wiele można, a nawet trzeba wybaczyć. Obserwując własną partię i politykę z dystansu (udzielał się w biznesie oraz straży pożarnej), Pawlak dostrzegł, że niskie notowania PSL sprawiają, iż partyjne doły się buntują. Tym bardziej że PSL funkcjonowało w III RP głównie jako obrotowa partia władzy, a obecnie ma na władzę mały wpływ. Opozycyjni wobec Kosiniaka-Kamysza działacze uważają, że po wspólnych rządach z PO ma on kompleks Tuska i boi się licytować wysoko, przez co PSL dostanie w wielkiej opozycyjnej koalicji ochłapy, zamiast się lewarować.

> Jednoznaczna deklaracja Kosiniaka-Kamysza, że nigdy nie pójdzie z PiS, została w partii uznana za odbieranie szans wyborczych i zaniżanie poparcia w sondażach

NADCHODZI KOŁODZIEJCZAK

Jeśli PSL będzie trwało w niemocy i oglądało się tylko na PO oraz generalnie opozycyjne towarzystwo, może stracić wieś na rzecz Agrounii Michała Kołodziejczaka. Agrounia jest od PSL dużo bardziej radykalna, a Kołodziejczak staje się coraz zręczniejszym demagogiem. Nie ma wprawdzie jeszcze charyzmy Andrzeja Leppera, ale chciałby powtórzyć jego polityczną drogę. I tak jak Lepper na początku politycznej drogi właściwie występuje przeciw wszystkim, którzy już rządzili. Jego głównym przesłaniem jest walka z wielkim kapitałem w handlu, który narzuca takie warunki, że dyskryminuje rolników, zwłaszcza tych drobnotowarowych, decyduje o nieopłacalnych dla tej grupy cenach na rynku rolnym, czyli generalnie zagraża całemu rolnictwu. Wybranie akurat takiego wroga jest pod wieloma względami nośne i może wywindować Agrounię do takiej pozycji, jaką miała Samoobrona. PSL i Kosiniak-Kamysz są na argumenty Kołodziejczaka bezradni, bo nic w tej sprawie nie zrobili, gdy rządzili, a były to czasy wielkiej ekspansji hipermarketów. Poza niedawnymi kłopotami z Agrounią PSL miało w ostatnich latach problem wypierania z politycznych wpływów na wsi przez PiS. A jakaś forma współpracy mogłaby ten proces przynajmniej zatrzymać. Zakusy na wiejski elektorat ma też Szymon Hołownia, a współpraca z Polską 2050 w wielkiej koalicji opozycyjnej tej konkurencji nie byłaby raczej w stanie zatrzymać.

Powrót Pawlaka do władz PSL ma zahamować negatywne procesy i zapobiec decyzjom, które na kolejną kadencję (po wyborach w 2023 r.) odsuwałyby partię od władzy, czego jej działacze w tzw. terenie nie zniosą. Pawlak wprawdzie deklaruje ścisłą współpracę z Kosiniakiem-Kamyszem, ale to tylko zasłona dymna. Pod rządami obecnego prezesa partia przestała być piwotalna, czyli ograniczyła swoje możliwości powrotu do władzy. A przecież w III RP to była właściwie istota programu PSL: rządzić choćby z diabłem, byleby mieć wpływy i dysponować różnymi zasobami, w tym posadami. Bez tego trudno w partii utrzymać mobilizację i motywację do działania. Problemem jest to, czy PSL samo się nie zakiwa, czekając do ostatniej chwili na przyłączenie się do silniejszego. Na razie zrobiono pierwszy krok, by nie być skazanym tylko na jeden wybór. Ale przystąpienie do PdP pokazuje, że partia chciałaby i boi się. Tym bardziej z takim liderem jak Kosiniak-Kamysz. Niewykluczone więc, że może się pojawić plan pozbycia się obecnego prezesa partii, żeby była ona znowu piwotalna. A wtedy dobrze mieć kontrolę nad Radą Naczelną i mieć na jej czele tak doświadczonego i cynicznego gracza jak Pawlak.

eprasa.pl 209ccf7e7a



Na półmetku kadencji

Trudna sytuacja wywołana pandemią budzi nadzieję opozycji na wyczekiwany od lat przełom, na spadek poparcia, który będzie na tyle wysoki, że zagrozi dalszej egzystencji obozu rządowego i – w przyszłości – doprowadzi do jego porażki wyborczej. Na razie tego nie widać, co nie oznacza jednak, że Zjednoczona Prawica powinna spać spokojnie



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Znaleźliśmy się na półmetku obecnej kadencji Sejmu. W ciągu dwóch lat, jakie minęły od ostatnich wyborów, wydarzenia gwałtownie przyspieszyły – doszło do potężnych ruchów tektonicznych wywołanych pandemią, dodatkowo spotęgowanych zbyt ambitną polityką klimatyczną Unii zaostrzającą inflację i drożyznę, wreszcie – znacząco się pogorszyła sytuacja międzynarodowa Polski, czego przejawem jest hybrydowy atak na granicy z Białorusią. W tych warunkach każdy rząd miałby pod górkę.

Trudna sytuacja budzi, co oczywiste, nadzieję opozycji na wyczekiwany od lat przełom, na spadek poparcia, który będzie na tyle wysoki, że zagrozi dalszej egzystencji obozu rządowego i – w przyszłości – doprowadzi do jego porażki wyborczej. Na razie tego nie widać, co nie oznacza jednak, że Zjednoczona Prawica (ZP) może spać spokojnie.

BEZ NIESPODZIANEK

W ostatnich sondażach z listopada nie widać żadnych niespodzianek, chyba żeby za taką niespodziankę uznać to, że rządząca prawica – pomimo naprawdę trudnych warunków, w jakiej przyszło jej dziś sprawować władzę – utrzymuje dość stabilny poziom poparcia. PiS może bowiem liczyć na 35–37 proc. głosów, co wprawdzie odbiega od czterdziestu kilku procent, jakie partia rządząca uzyskiwała w poprzedniej kadencji, ale nie jest też jakimś spektakularnym spadkiem mogącym budzić wielki niepokój.

Opozycja, od lat zafiksowana w swojej antypisowskiej histerii, nadal nie jest w stanie przebić szklanego sufitu. PO, występująca obecnie pod marką Koalicji Obywatelskiej, może liczyć najwyżej na 25–26 proc. poparcia, co pokazuje, że tak wyczekiwany powrót Donalda Tuska nie spowodował żadnego przełomu, a jedyne, co Tuskowi na razie się udało, to powstrzymanie rozkładu jego partii i zagrożenia, jakim była rosnąca w siłę Polska 2050 Szymona Hołowni.

Formacja Hołowni, która jeszcze w połowie tego roku znalazła się na chwilę na drugim miejscu podium, ma dzisiaj znacznie niższe poparcie niż KO i wynosi ono – według listopadowych sondaży – 13–16 proc. Nie oznacza to jednak, że należy Hołownię lekceważyć, wciąż ma on bowiem pewien potencjał, tym bardziej że może on pozyskiwać nie tylko rozcza-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 209ccf7e7a

rowanych wyborców PO, lecz również część spośród tych, którzy w poprzednich wyborach zagłosowali – z innych przyczyn niż ideowe – na PiS.

Jest wreszcie Lewica i Konfederacja, dwie flanki obecnej sceny politycznej. Obie mogą w przyszłości liczyć na młody elektorat, dziś dopiero wchodzący w dorosłe życie i odrzucający – z powodów generacyjnych – podział PiS-PO. Teraz ich notowania są zbliżone: 9 proc. w przypadku Lewicy i 7–10 proc. dla Konfederacji.

Inne formacje nie odgrywają większej roli. PSL ciągle balansuje na granicy wejścia do Sejmu, a pozostali wegetują na marginesie polityki i bez podczepienia się pod większe formacje nie mogą liczyć na przetrwanie.

Sondaże nie są, rzecz jasna, najlepszym miernikiem nastrojów, bo ich metodologia bywa różna i zdarzało się już niejednokrotnie, że ich wyniki rozmijały się z rzeczywistymi decyzjami wyborców, ale pokazują przynajmniej pewne tendencje społeczne. A te – jak wynika z przytoczonych notowań – zdają się raczej zamrożone i stają w miejscu. Inaczej mówiąc, słupki poparcia dla poszczególnych ugrupowań ustabilizowały się i nie widać na razie żadnych spektakularnych skoków w górę ani spadków.

Może to oznaczać dwie rzeczy. Po pierwsze, okopywanie się żelaznych elektoratów wokół swoich partii. A po drugie, poczucie zagubienia wśród tych, którzy nie czują się związani z żadnym ugrupowaniem. Oni jakby wyczekują na rozwój wydarzeń.

WYZWANIA DLA RZĄDU

Głównym problemem jest oczywiście pandemia i związane z nią zawirowania gospodarcze. Przetaczające się od dwóch lat kolejne fale zarazy i nawracające ograniczenia w codziennym życiu mają fatalny wpływ na psychikę całego społeczeństwa. Nic więc dziwnego, że wraz z pandemią mocno skurczył się wcześniejszy optymizm, który wbrew zaklęciom opozycji był dość powszechnie podzielany przez dużą część Polaków.

Dziś nastroje są znacznie bardziej minorowe i chociaż obecna sytuacja jest w dużej mierze spowodowana przez czynniki obiektywne, to i tak najbardziej uderza ona w rządzących. Taka jest bowiem ludzka psychika, że gdy czasy stają się gorsze, to dawne zasługi odchodzą w niepamięć, a ich miejsce zajmują bieżące trudności. Kłopot rządzących polega jednak nie tylko na tym, że mają ograniczone pole manewru (pandemii nie da się przecież ominąć), lecz również na tym, że sytuacja jest w dużym stopniu nieprzewidywalna, a zatem niemal każdy ruch niesie z sobą ryzyko porażki. Trzeba być więc z jednej strony ostrożnym, ale z drugiej zdecydowanym i konsekwentnym, aby nie sprawiać wrażenia, że straciło się kontrolę nad tym, co się dzieje.

W tym kontekście problemem mogą stać się ostatnie decyzje związane ze szczepieniami. Do tej pory – i słusznie – promowano strategię zachęcania ludzi do zastrzyków. Teraz jednak zdecydowano o obowiązku szczepień dla służb mundurowych, medycznych i nauczycieli.

Pomijając już kwestię zasadności tych decyzji, zwłaszcza wobec doniesień o mniejszej zjadliwości najnowszej mutacji koronawirusa, mogą one wywołać pewien ferment wśród części głównie prawicowego elektoratu obawiającego się, że to jedynie wstęp do powszechnego obowiązku szczepień przeciwko COVID-19 i do tzw. segregacji sanitarnej odbierającej niektóre prawa niezaszczepionym. Nie ma tu sensu rozważać, czy są jakieś racjonalne przesłanki ku takiemu rozumowaniu, wystarczy bowiem, że wielu ludzi po prostu będzie tak uważać.

To scenariusz wymarzony dla sporej części opozycji, która liczy na to – jak pisałem w jednym ze swoich ostatnich artykułów na tych łamach – że uda się obalić rząd rękami antyszczepionkowców. Już teraz w antypisowskich mediach pojawiają się lamenty, że „rząd wydał wojnę osobom niezaszczepionym", podczas gdy kilka dni wcześniej gorąco namawiano do takich działań.

Rząd obrywa też za drożyznę i inflację, choć prawdą jest, że oba te zjawiska są zaimportowane. Drożyzna jest przede wszystkim skutkiem szaleńczej polityki klimatycznej Unii, a inflacja to jeden z rezultatów pandemii. Rząd walczy więc z inflacją, choć zamiast zaostrzać politykę monetarną, powinien raczej nadal pobudzać konsumpcję, bo to generalnie lepiej wpływa na gospodarkę i na nastroje społeczne niż balcerowiczowski fiskalizm, który chroni głównie portfele krezusów. A tych, jak wiadomo, w Polsce nie jest zbyt wielu, a jeśli są, to raczej nie wspierają PiS.

Zrozumiałe jest, że w warunkach pandemii rząd chce się wykazać działaniami, ważne jest jednak, aby była to jasna i czytelna, a przede wszystkim konsekwentna strategia. Nie ma sensu ulegać presji wywieranej przez opozycję i dokonywać nagłych zmian. Mogą się one bowiem okazać zbyt kosztowne politycznie.

Tak samo jak kosztowna wizerunkowo może się okazać powracająca wciąż sprawa wiceministra sportu Łukasza Mejzy, co jest dość skutecznie wykorzystywane przeciwko rządzącej prawicy przedstawiającej się dotąd konsekwentnie jako formacja czysta etycznie. Warto nie marnować tego atutu, bo jest on dla wyborców prawicy niesłychanie ważny.

POZYTYWNY CEL

Można powiedzieć, że na razie nie ma powodów do niepokoju, bo notowania ZP utrzymują się na relatywnie wysokim i stabilnym poziomie. To prawda, ale trzeba też zauważyć, że prawicy bardzo pomogła skuteczna, twarda obrona polskiej granicy przed hybrydową agresją ze strony białoruskiego reżimu. Za taką polityką rządu stanęła murem większość społeczeństwa, co – rzecz jasna – mogło nieco wzmocnić ogólne poczucie bezpieczeństwa i dzięki temu korzystnie wpłynąć na notowania formacji rządzącej. Pokazuje to, że konsekwencja w dążeniu do jakiegoś pozytywnego, oczywistego celu (w tym przypadku obrony państwa) jest czynnikiem wzmacniającym pozycję ZP. Z kolei szukanie doraźnych rozwiązań i odchodzenie od dotychczasowej polityki jest źle przyjmowane i często odrzucane.

Na koniec nie można oczywiście zapomnieć o opozycji, która szczęśliwie dla obozu rządzącego jest zupełnie niezdolna do przedstawienia społeczeństwu jakiejkolwiek pozytywnej wizji kraju i pozostaje ciągle zafiksowana na prowadzeniu wyniszczającej wojny z rządem. Ta wojna osłabia jednak nie tylko rząd, lecz także opozycję, co zresztą widać w sondażach.

Z tych samych sondaży wynika też, że Polacy chcą przewidywalności, stabilizacji i lepszych perspektyw. Niewiele się zatem zmieniło w ostatnich latach, choć pandemia zapewne zaostrzyła te postulaty. Wystarczy więc dalej robić swoje i za dużo nie mieszać.

eprasa.pl 209ccf7e7a

IV Rzesza – ideologia i instrumenty nacisku

Na niektórych warszawskich kamienicach widać jeszcze ślady kul niemieckich, gdy tymczasem nasz zachodni sąsiad znowu staje się problemem. Establishment boi się otwartej debaty na ten temat, bo faktycznie IV Rzesza niemiecka jest już na horyzoncie. I znowu nie ma w jej ideologii miejsca na suwerenną Polskę



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

„Ciężkie terminy przyszły na Europejczyków. Niemcy wyłożyły karty na stół i chcą budowy IV Rzeszy. My na to nie pozwolimy" – miał powiedzieć Jarosław Kaczyński swoim parlamentarzystom. Oburzyły się wszystkie salonowe media, potępiły tę diagnozę „Gazeta Wyborcza" i „Polityka", Adam Leszczyński na łamach „Newsweeka" nazwał tę opinię „teorią spiskową", a Aleksander Kwaśniewski taką opinię nazwał „grubym błędem", który wywołuje u Niemców „złość". Jakoś w tej dyskusji mało kto martwi się Polską – a to nasz kraj będzie ofiarą nowych marzeń Berlina.

RZESZA, CZYLI IMPERIUM

Reakcje salonowych dziennikarzy spowodowane są przerażeniem porównania obecnych Niemiec do III Rzeszy. Tymczasem Rzesza niemiecka jest mającym ponad 1000-letnią tradycję projektem stworzenia imperium, wielkiej struktury z ideą uniwersalną, która pozwoli dominować poza samymi granicami etnicznych Niemiec. Dokładnie takie postulaty można wyczytać w liczącej 177 stron niedawno podpisanej umowie koalicyjnej rządzącej większości w Bundestagu. Jest tam zarówno podkreślenie przebudowy własnego kraju, jak i całego kontynentu, plany federalizacji Unii Europejskiej, a to wszystko uzasadnia się wzniosłą ideologią.

Bo Niemcy są za duże i za silne, by pozostać w swoich granicach, ale zbyt słabe, by zdominować Europę. I Rzeszę powołał w 962 r. cesarz Otton I z dynastii Ludolfingów. Nowy twór miał być odpowiedzią na rozpad imperium Franków i wakat po następcy Cesarstwa Rzymskiego. Nowe imperium nazywało się Świętym Cesarstwem Rzymskim, a szlachetne odwołanie do dawnych czasów miało uprawniać niemieckich władców do interweniowania np. w sprawy papiestwa, o Słowiańszczyźnie nie wspominając. I Rzesza funkcjonowała do 1806 r., kolejno wstrząsana kryzysami i próbami wzmocnienia, aż ten przestarzały twór upadł pod ciosem Napoleona Bonapartego – dziedzictwo Rzymu wróciło na chwilę do Francji. I znowu Niemcy zbyt silne, by pomieścić się między Odrą a Renem, zjednoczyły się w II Rzeszy kanclerza Ottona von Bismarcka. Cesarze z dynastii Hohenzollernów widzieli to jako państwo Niemców, nie święte, ale zjednoczone i zunifikowane, biorące na Francji odwet za klęskę z czasów Napoleona, odebrawszy Paryżowi nie tylko część terytoriów, lecz również obalając cesarstwo młodszego Bonapartego. II Rzesza sięgała gospodarczo po Bałkany, łaknęła zamorskich kolonii. Rozpad Cesarstwa po I wojnie światowej powstrzymał niemieckie apetyty na ledwie półtorej dekady – losy III Rzeszy znamy wszyscy, a czwartej – poznamy na własne oczy.

NARZĘDZIA EKSPANSJI

Dziś już nie ma instytucji cesarza, Führera czy świętości Rzeszy, które by uprawniały do podporządkowywania sobie innych krajów, ale Berlin ma swoje instrumenty do rządzenia.

Dzień po tym, jak Angela Merkel przeprowadza tajemniczą rozmowę z Aleksandrem Łukaszenką na temat kryzysu na polsko-białoruskiej granicy, przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen obiecuje Mińskowi 700 tys. euro na utrzymanie imigrantów, których reżim sobie sam sprowadził. Cóż więc z tego, że instytucje unijne są formalnie niezależne i kształtowane przez wszystkie państwa członkowskie, skoro jeden telefon kanclerz Niemiec stawia na nogi najważniejsze gremia Unii?

Narzędziem nacisku stają się też pieniądze. W październiku mówiła o tym wiceprzewodnicząca europarlamentu Katarina Barley, gdy publicznie zapowiadała „finansowe zagłodzenie" Polski i Węgier. Potwierdza to obecna praktyka – wbrew samej decyzji Komisji Europejskiej, choć termin na podjęcie decyzji minął ponad trzy miesiące temu, nadal nie zatwierdzono polskiego Krajowego Planu Odbudowy.

Kolejnym uległym narzędziem największych państw UE jest TSUE, do którego decyzji Niemcy nie muszą się dostosowywać, a Polska jest do tego obligowania z nadzwyczajną presją. Polska ma jeszcze to szczęście, że nie należy do strefy euro, która także jest środkiem do-

eprasa.pl 209ccf7e7a

minacji Berlina, co tak wydatnie poznała Grecja po kryzysie finansowym sprzed dekady. Niemcy tak pomogły Grekom, że nawet według „Süddeutsche Zeitung", zarobiły na tym ponad 1,3 mld euro (na samym programie pomocowym).

Jakby tego było mało, nowa Rzesza podłączyła się do rosyjskich surowców poprzez Nord Stream 2, co natychmiast ośmieliło Kreml do dalszych nacisków na Europę Wschodnią. Berlin jako europejski dystrybutor rosyjskiego gazu będzie mógł na nowe sposoby dyktować warunki mniejszym partnerom.

Nie powinien więc dziwić następny planowany krok do niemieckiej dominacji – wprowadzenie w Radzie Europejskiej głosowania większościowego w miejsce jednomyślności, które zupełnie pozbawi państwa możliwości sprzeciwu. Czy ktoś wyobraża sobie bowiem, że przeciwko Niemcom uda się kiedykolwiek zorganizować większość głosów w rozdrobnionej Radzie, złożonej z przedstawicieli państw gospodarczo uzależnionych od największej gospodarki UE?

Narzędzia nowego imperium nie są więc tak ostentacyjne, jak w przypadku wcześniejszych rzesz, nie są też oczywiście tak brutalne (mimo ordynarnej retoryki „zagłodzenia"), lecz zarówno unijne instytucje, gospodarka, jak i polityczne naciski są wystarczającym instrumentem pacyfikacji. W imię wyższych spraw, bo jest tutaj także arcyszlachetna ideologia.


Nowy kanclerz Niemiec Olaf Scholz

Fot. Odd Andersen/AFP/East News

PRAWORZĄDNOŚĆ I KLIMAT: ŚWIĘTA KONIECZNOŚĆ

Co prawda nowy niemiecki rząd nie odwołuje się do przeszłości w stylu starożytnego Rzymu ani do dalekiej przyszłości w rodzaju „tysiącletniej Rzeszy", ale i tutaj przebija wzniosła narracja, jaką są przede wszystkim „praworządność" i „klimat". To pierwsze staje się usprawiedliwieniem do wtrącania się w wewnętrzne sprawy państw członkowskich, będąc łagodniejszym odpowiednikiem „doktryny ograniczonej suwerenności" Leonida Breżniewa, która uzasadniła wkroczenie czołgów obozu socjalistycznego do Czechosłowacji w 1968 r. Zatem większość w Bundestagu „wzywa Komisję Europejską do bardziej konsekwentnego i szybkiego korzystania z instrumentów dotyczących praworządności". Rząd niemiecki zatem chce nie tylko nadal wykorzystywać KE do realizacji partykularnych interesów niemieckich, ale też nie wystarcza mu obecna formuła szantażowania Polski wstrzymaniem pieniędzy. Berlin chce „bardziej konsekwentnie i szybciej" wywierać presję. Doskonale współgra to z zapowiedzią nowej niemieckiej minister spraw zagranicznych Annaleny Baerbock, że podczas wizyty w Polsce spotka się ona z polskim rzecznikiem praw obywatelskich. Ta troska o ustrój czy poziom cywilizacyjny (tu: demokratyczny) w Polsce aż nadto pachnie poczuciem wyższości Niemców i szukaniem pretekstów do jeszcze większej interwencji nad Wisłą.

Także troska o klimat będzie świętym prawem wymuszania zmian. Zarówno energetyczna krucjata Fransa Timmermansa, jak i pacyfikowanie „nieprawilnych" źródeł energii (nie tylko węgla, ale i atomu) jest wprost skazywaniem takich krajów jak Polska na zależność od zewnętrznych dostawców.

ZARZĄDZANIE MITTELEUROPĄ

O niemieckiej tendencji do zawłaszczenia Europy Środkowo-Wschodniej na przestrzeni wieków napisano już całe tomy. I nie ma wątpliwości, że tak się stanie i tym razem. Jednak polska suwerenność, czy też szerzej: nasze narodowe aspiracje, nie zostaną tym razem podcięte siłą militarną (Bundeswehra stała się zresztą nie armią, a anegdotą) i nie będą zarządzane bezpośrednio.

Polska w tym nowo niemieckim wydaniu ma się stać atrapą Rzeczypospolitej – państwem bez mających wpływ na swój kraj obywateli, którzy będą mieli fasadowe instytucje z bardzo szczytnymi hasłami na szyldach, ale bez prawa do sprzeciwu wobec ekonomicznych transformacji, zmian ustrojowych, sądowniczych czy nawet politycznych. Przecież już teraz niemieckie media w Polsce zwalczają rząd RP z jakąś historiozoficzną pasją o łamaniu przez niego praw postępu czy konieczności dziejowej, takiej jak federalizacja UE. Przecież to redaktor naczelny Onetu napisał 6 grudnia, że „albo zbudujemy stany zjednoczone Europy, albo Europy nie będzie".

Nie ma tutaj miejsca nie tylko na jakiekolwiek weto, na jakiekolwiek negocjacje – bo zostaniemy okrzyknięci niszczycielami Europy – ale też na wolne i niepodległe państwo. „Stany zjednoczone" będą bowiem projektem głębokiej unifikacji pod przywództwem najsilniejszego gracza.

Jak brzydko zestarzały się słowa Radosława Sikorskiego jako polskiego ministra, gdy dekadę temu mówił w Berlinie: „Mniej zaczynam się obawiać niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności". Tymczasem polski dyskurs polityczny ostatnich trzech stuleci przynosił nam zawsze ten sam wniosek, że silna Rzesza niemiecka może powstać tylko na trupie Polski. Jeśli nie zrozumiemy tego dziś, to będziemy przez to cierpieć jutro.

eprasa.pl 209ccf7e7a

Prawie 25 mln zł wydało państwo polskie na działalność podkomisji smoleńskiej – wynika z ustaleń tygodnika „Sieci”. Co udało się za te pieniądze zrobić dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu tragedii z 10 kwietnia 2010 r.?



Cena badania Smoleńska



MARCIN WIKŁO

Ta informacja do tej pory była bardzo ściśle strzeżona. Być może dlatego, że zbyt wielu osobom, politykom i dziennikarzom zależało na tym, by zdyskredytować i najchętniej ośmieszyć prace podkomisji MON. A finanse, szczególnie te przeznaczone na badania, które trudno wytłumaczyć laikowi, to zawsze temat drażliwy. Podkomisja miała na celu dać nam odpowiedź, w jakich okolicznościach zginął prezydent Lech Kaczyński i 95 osób towarzyszących mu w podróży do Katynia. Wiele aspektów sprawy nie zostało wyjaśnionych przez poprzedników od razu, tym trudniejsza była więc praca, której podjęli się po kilku latach – mimo bezprecedensowych ataków środowiskowych – eksperci zgromadzeni wokół Antoniego Macierewicza. Prace oficjalnie zakończyły się 30 listopada 2021 r. Przez sześć lat kosztowały one polskiego podatnika 24 566 881,94 zł.

CO Z TEGO MAMY?

Jak to wygląda rok po roku? 2016 – 1 408 931,24 zł; 2017 – 3 517 172,39 zł; 2018 – 6 811 957,02 zł; 2019 – 7 684 261,48 zł; 2020 – 3 080 763,60 zł; 2021 (do 30 listopada 2021 r.) – 2 063 778,21 zł.

To dane, które są niepogłębione, niewiele mogą nam powiedzieć. Nie znamy tzw. dokładnej struktury wydatków. Wiadomo, że „koszty Podkomisji związane z ekspertyzami, umowami na zlecenie, w tym z członkami Podkomisji), usługami (w tym z członkami Podkomisji) i tłumaczeniami do 30 listopada 2021 r. wyniosły 14 086 461,56 zł”.

Eksperci podkreślają: badanie takiej katastrofy musi kosztować. I wszędzie na świecie kosztuje dużo.

– Takie prace właśnie tyle powinny kosztować. A może nawet zdecydowanie więcej – mówi nam jedna z osób, która pracowała w przeszłości dla podkomisji. Dodaje jednak: – Ale to też zobowiązanie, by pokazać opinii publicznej, co konkretnie zrobiono. Jeśli tak się ostatecznie stanie, tematu nie będzie.

eprasa.pl 209ccf7e7a



Fot. Jacek Dominski/Reporter

To, co na pewno zwraca uwagę, to największe wydatki w latach 2018 i 2019. Wtedy podkomisja nawiązała i zacieśniła współpracę z amerykańskim Narodowym Instytutem Badań Lotniczych (National Institute for Aviation Research – NIAR) przy uniwersytecie w Wichita w stanie Kansas. Opisywaliśmy w tygodniku „Sieci" wizytę w Polsce i prace w bazie lotniczej w Mińsku Mazowieckim dr. Gerarda Olivaresa, eksperta od symulacji komputerowych, i jego pięcioosobowej ekipy. Skanowano wówczas bliźniaczego tupolewa o numerze 102, by stworzyć wierną kopię cyfrową samolotu do badań.

Współpraca z NIAR kosztowała 7 977 892,24 zł. Dużo? Być może. Łatwiej byłoby o tej kwocie rozmawiać, gdybyśmy wiedzieli, co za nią powstało. Opinii publicznej znana jest tylko drobiazgowa i rzeczywiście przekonująca symulacja wbitych w ziemię lewych bocznych drzwi tupolewa. Wynika z niej, że musiała je z kadłuba wystrzelić potężna siła odśrodkowa, być może wybuch. Tyle że Amerykanie wykonali ją niejako „na zachętę", by pokazać swoje możliwości. Później współpraca nie układała się już tak dobrze, na łamach „Sieci" opisywał to skonfliktowany obecnie z Antonim Macierewiczem i wyrzucony z podkomisji Glenn Jorgensen. Dalsze efekty prac NIAR mogą być, według niego, obarczone błędami wynikającymi z nieprawidłowych danych wysyłanych przez stronę polską. Ale, to chyba najważniejsze, o żadnych innych ustaleniach ich pracy nie wiemy. Być może zawarte są w raporcie końcowym podkomisji. Do niego jeszcze wrócimy.

JAK BYŁO WCZEŚNIEJ?

Podkomisja smoleńska powstała w 2016 r. z inicjatywy ówczesnego ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza. Jej celem było – jak czytamy w pełnej nazwie – „ponowne zbadanie wypadku lotniczego" z dnia 10 kwietnia 2010 r. To rzeczywiście było konieczne. Na stronie podkomisji czytamy m.in., że powołana w kwietniu 2010 r. Komisja Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego kierowana najpierw przez Edmunda Klicha, a potem przez Jerzego Millera dopuściła się przez blisko dwa lata działalności wielu zaniedbań. A przyjęty 29 lipca 2011 r. raport końcowy KBWL LP zawierał „cały szereg udokumentowanych błędów, przekłamań, a nawet celowego ukrywania faktów". Trudno te kwoty porównywać, ale należy dla porządku podać, że „w latach 2010–2011 na badanie przyczyn katastrofy lotniczej z 10 kwietnia 2010 r. wydatkowano 6 110 566,57 zł (Komisja Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego pod przewodnictwem Jerzego Millera)" – to oficjalne dane MON. Ponad 6 mln zł w niespełna dwa lata. Istotny jest też fakt, że wówczas Miller korzystał w zasadzie tylko z ekspertów polskich.

Nasi rozmówcy podkreślają, że Antoni Macierewicz angażował współpracowników z zagranicy nie dla własnego widzimisię. Warto przypomnieć atmosferę, w jakiej powstawała podkomisja. Powszechna nieufność do poprzednich badań zderzała się z medialną nagonką na naukowców, którzy starali się prowadzić prace bez wykluczania jakichkolwiek tez na początku.

eprasa.pl 209ccf7e7a



13 lutego 2018 r. – Mińsk Mazowiecki, eksperci NIAR pracują we wnętrzu Tu-154M nr 102. Współpraca z Amerykanami kosztowała blisko 8 mln zł

Fot. M. Czutko

– Miejmy też świadomość, że naukowcy z Europy Zachodniej czy z Stanów Zjednoczonych pracują według stawek godzinowych, które nigdy by się nam nie przyśniły. Ich wynagrodzenie jest i tak bardzo wysokie jak na warunki polskie, ale pracując dla nas, naprawdę poważnie „schodzą z kosztów" – mówi jedna z osób związanych z badaniem katastrofy smoleńskiej.

„Ministerstwo Obrony Narodowej na podstawie ustawy Prawo Lotnicze zapewnia środki na prowadzenie działalności Komisji Lotnictwa Państwowego, w tym Podkomisji. Chodzi o jej wyposażenie techniczne i obsługę administracyjną, koszty ekspertyz, a także środki na wynagrodzenia ekspertów" – czytamy w wyjaśnieniu przesłanym z MON. Wysokość wynagrodzenia polskich członków podkomisji Macierewicza była liczona na podstawie przepracowanego czasu. Stawki kształtowały się od 33,40 zł do 133,62 zł brutto za godzinę.

AUTONOMICZNY PRZEWODNICZĄCY

„Podkomisja ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego jest instytucją niezależną. Zarówno poszczególne czynności, jak i decyzje podejmowane przez Podkomisję, a także rozstrzygnięcia zapadające w toku prowadzonego przez Podkomisję badania przyczyn katastrofy lotniczej z 10 kwietnia 2010 r., są podejmowane przez to gremium w sposób samodzielny i autonomiczny" – czytamy w odpowiedzi na nasze pytania przesłane do Centrum Operacyjnego MON. Trudno uniknąć wrażenia, że ministerstwo w istocie chce nam powiedzieć, że ma niewielki wpływ na poczynania przewodniczącego Antoniego Macierewicza.

> To, co na pewno zwraca uwagę, to największe wydatki w latach 2018 i 2019. Wtedy podkomisja nawiązała współpracę z amerykańskim Narodowym Instytutem Badań Lotniczych

Z naszych nieoficjalnych informacji wynika, że raport podkomisji, która – przypomnijmy – oficjalnie zakończyła prace i który został ponoć podpisany przez wszystkich członków, wciąż nie został dostarczony do ministerstwa. O tym, że dokument liczący ponad 300 stron został przez podkomisję przyjęty, pierwszy informował portal wPolityce.pl. Działo się to w niejasnych okolicznościach. Nie wiadomo było, jaki w zasadzie jest skład kierowanego przez Antoniego Macierewicza gremium, w dodatku nie wszyscy członkowie zostali powiadomieni o posiedzeniu, na którym miała zapaść kluczowa decyzja. Powstało także zdanie odrębne stworzone przez wyrzuconych z podkomisji członków Zespołu Nawigacyjno-Lotniczego.

„Ustalenia końcowe" podkomisji (w formie wykładu i prezentacji) najpierw poznali uczestnicy Przystanku Niepodległość w Polanicy-Zdroju, choć przewodniczący wielokrotnie zapewniał, że priorytetowo będą potraktowani członkowie rodzin ofiar. Do spotkania z nimi w końcu doszło, ale – jak nam relacjonowano – trudno mówić, by zapoznali się oni z raportem. – To była raczej pogadanka przewodniczącego, kilkusetstronicowa księga leżała na stole przed nim – mówiła jedna z osób uczestniczących w spotkaniu.

Podczas spotkania w Polanicy Antoni Macierewicz, zapewniając, że raport został ukończony, wskazał, że te 300 stron to nie wszystko. Mówił o ponad 5 tys. stron załączników, które „wymagały jeszcze zredagowania", i o tym, że opublikować będzie można tylko całość. Usłyszeliśmy także, że mimo ukończenia raportu komisja nie kończy pracy. Macierewicz zadeklarował, że skupi się teraz na wyjaśnianiu opinii publicznej tego, co zawiera raport. Od tego czasu minęły cztery miesiące. Raportu wciąż nie ma, wyjaśnienia nie są więc konieczne. – Czekamy ponad 11 lat, poczekamy jeszcze trochę – mówią zrezygnowani i rozczarowani członkowie rodzin.

Powtórzmy jeszcze raz, wydana na pracę podkomisji kwota może z pozoru wydawać się duża. Ale można założyć, że pokazany w końcu pełen raport z załącznikami (kiedyś to przecież nastąpi) będzie tych wydatków wart.

Dążenie do prawdy o okolicznościach katastrofy smoleńskiej to kwestia naszej narodowej godności. Zginęli prezydent i jego delegacja. Nie lekceważąc więc publicznych pieniędzy, nie możemy pozwolić, by nie było nas stać na wyjaśnienie tej sprawy.

Reklama | 70/1121/F

eprasa.pl 209ccf7e7a

TANKUJ **TANIEJ!**

Odbierz RABAT
na następne
tankowanie

95
ON
LPG

-6
gr/litr

-12
gr/litr

98 Dynamic
ON Dynamic



Szczegóły, lista stacji biorących udział w promocji oraz regulamin dostępne na stacjach LOTOS oraz na lotos.pl.

LOTOS

eprasa.pl 209ccf7e7a

Joanna ucieka, czyli ciąg dalszy nastąpi

Kiedy w Hiszpanii zatrzymano Joannę S., nazywaną najbardziej poszukiwaną Polką na świecie, wydawało się, że jej sprawa zmierza do finału. Tymczasem Joanna S. znów przepadła bez śladu. Historia Polki ze szwedzkim paszportem, która stworzyła piramidę finansową, przypomina film kryminalny pełen niespodziewanych zwrotów akcji



MAJA NARBUTT

Wszystko miało być takie proste: samolot z Madrytu wylądowałby na lotnisku w Warszawie. Konwojowanych przez hiszpańskich funkcjonariuszy Joannę S. i jej syna Mikaela przekazano by polskiej policji. Przewieziono by do prokuratury w Białymstoku, która prowadzi sprawę. Jednak tak się nie stało.

– Centralny Sąd Śledczy w Madrycie poinformował nas, że wystawił list gończy, bo Joanna S. i Mikael uciekli i nie wiadomo, gdzie się znajdują. Hiszpańscy policjanci nie zastali ich w miejscu, w którym mieli przebywać – mówi mi prokurator Paweł Sawoń z Prokuratury Regionalnej w Białymstoku.

Ta informacja zaszokowała polskich śledczych. Choć prawdę mówiąc, nie spadła jak grom z jasnego nieba. Złe przeczucia mieli od momentu, w którym hiszpański sąd wydał postanowienie o przekazaniu Polsce Joanny i Mikaela S. Wszystko z pozoru poszło gładko – nie żądano od polskiego wymiaru sprawiedliwości zapewnień, że podejrzani będą mieli uczciwy i rzetelny proces, nie kwestionowano naszej praworządności. Nie zwrócono się nawet o uzupełnienie dokumentacji. Oparto się na europejskiej zasadzie zaufania.

Diabeł tkwi jednak w szczegółach – sąd w Madrycie bowiem zdecydował, że do momentu uprawomocnienia postanowienia, podejrzani mogą przebywać na wolności. Mieli tylko na żądanie stawić się w sądzie oraz informować, gdyby chcieli zmienić miejsce pobytu, a także podać numer telefonu kontaktowego.

– Przeczy to wszelkiej logice. Przecież chodziło o podejrzanych, którzy długo i skutecznie się ukrywali. Sędzia, wydając postanowienie, wysłał im sygnał, że zostaną przekazani do Polski. A równocześnie dał możliwość, by znów zniknęli – mówi przygnębiony prokurator Sawoń.

Czy strona polska mogła zrobić coś więcej? Gdy dociskam prokuratora, czy nie należało w takiej sytuacji skontaktować się z sądem w Hiszpanii, słyszę, że i tak nie odniosłoby to skutku. Czas grał na korzyść Joanny S. – nie wiadomo nawet, czy nie rozpłynęła się bez śladu natychmiast po wyjściu z budynku hiszpańskiego sądu.

Uzasadnienie, dlaczego nie zastosowano aresztu tymczasowego, jest równie bulwersujące, co lakoniczne. Hiszpański sędzia uznał, że przemawiają za tym „względy osobiste i okoliczności".

Nic więcej. A przecież Joanna S. i jej syn popełnili przestępstwo zagrożone karą 15 lat więzienia i dysponują olbrzymimi środkami finansowymi, które pozwalają im skutecznie się ukrywać. Poza tym podejrzani byli poszukiwani nie tylko poprzez Europejski Nakaz Aresztowania (ENA), ale także czerwoną notą Interpolu, która wydawana jest wobec szczególnie niebezpiecznych przestępców. Właściwie automatycznie w takich przypadkach stosuje się tymczasowe aresztowanie.

KTO LUBI CISZĘ

Wszyscy słyszeli o Amber Gold, jednak piramida finansowa stworzona przez Joannę S. bardzo długo nie była znana opinii publicznej. Działała w medialnej ciszy, nie było żadnych reklam prasowych ani artykułów, zgodnie z zasadą, że duże pieniądze lubią ciszę.

To był genialny schemat, arcydzieło socjotechniki. Do klientów docierano dyskretnie, oferta inwestowania rozchodziła się pocztą pantoflową. Ci, którzy ją dostali, czuli się wyróżnieni, że trafili do elitarnego grona, obracając się wśród celebrytów i ludzi znanych z telewizji.

Joanna S. nie celowała w drobnych ciułaczy jak Amber Gold. Polowała na dużych graczy, którzy mogli zainwestować co najmniej kilkadziesiąt tysięcy, choć zazwyczaj w grę wchodziły sumy znacznie wyższe. Niektórzy bez wahania powierzali jej kilkanaście milionów.

– Wiara w Joannę była niezachwiana. Przypominało to sektę lub Kościół scjentologiczny. Wątpliwości tłumiono. Wszystko wydawało się wiarygodne. Działały przecież należące do Joanny luksusowe galerie dzieł sztuki w szwedzkim Trelleborgu, hiszpańskiej Marbelli oraz

eprasa.pl 209ccf7e7a



Kiedy Joannę S. zatrzymano w Hiszpanii, wydawało się, że wkrótce trafi do Polski

Fot. Policia National

w Miami – tłumaczył mi jeden z jej agentów, który pozyskiwał klientów wśród celebrytów.

Joanna S. działała na polskim rynku od 2012 r., oficjalnie zaś jej Galleri New Form zarejestrowano rok później.

Teoretycznie klienci inwestowali w dzieła sztuki – mieli nabywać przede wszystkim rzeźby, a Joanna S. zobowiązywała się odkupić je po pewnym czasie – najczęściej po pół roku. Zysk miał się wahać od 18 do aż 30 proc. rocznie, w zależności od zainwestowanej sumy. W rzeczywistości klienci nie tylko nie dostawali rzeźby, ale najczęściej nawet nie widzieli jej na własne oczy. Po prostu wybierali ją z katalogu i dostawali certyfikat, zgodnie z którym stawali się jej właścicielami. Cały schemat miał się opierać na tajemniczym deweloperze z Florydy, który kupował wszystkie rzeźby od Joanny S., by udekorować nimi sprzedawane apartamenty.

Piramida zaczęła się sypać, gdy Komisja Nadzoru Finansowego wpisała Galleri New Form na listę ostrzeżeń. Pieniądze przestały spływać do klientów, Joanna S. zaś przekonywała, że winne są szwedzkie banki. Ale nadal panowała medialna cisza.

Kiedy o Joannie S. napisałam w styczniu 2018 r. artykuł i sprawą zainteresowała się PAP, jej adwokat groził mi podjęciem „stosownych kroków prawnych" za sugestie o piramidzie finansowej. Sama Joanna S. wydawała kolejne oświadczenia o przejściowych trudnościach. W końcu przepadła bez śladu i na prawie trzy lata sprawa znów ucichła.

FUNDUSZ UCIECZKOWY

– W końcu jakiś inwestor, który utopił kilkanaście milionów w biznes Joanny S., naprawdę się zdenerwuje. Zwłaszcza gdy po raz kolejny przeczyta w internecie lub usłyszy w telewizji, że znów wymknęła się wymiarowi sprawiedliwości. Zdecyduje się zainwestować jeszcze pewną sumę, by ją dopaść – mówi mi jeden z moich rozmówców, który na wizytówce ma napisane „windykator długów trudnych".

Nie jest tak, że takich prób nie podejmowano. Szukały jej co najmniej trzy ekipy, rywalizując ze sobą i podrzucając fałszywe tropy. Chyba nie robiły tego bardzo profesjonalnie – grupa detektywów, która bryluje w mediach, punktując błędy prokuratury, przedstawiła mi w swoim czasie propozycję nie do odrzucenia. Miałam się dowiedzieć, gdzie przebywa Joanna S., przekazać im informację, a w zamian dostać na wyłączność film z jej zatrzymania.

Nie jest wykluczone, że jacyś wierzyciele – dość specyficzni, bo prokuratura zarzuca Joannie S. i jej synowi także pranie brudnych pieniędzy – w końcu do niej dotrą. Wątpliwe jednak, by przekazali takie informacje wymiarowi sprawiedliwości, raczej wyegzekwują dług. Jak mówiła mi kiedyś prokurentka Joanny S., Teresa K., właśnie taki wierzyciel przystawił kiedyś Joannie S. rewolwer do głowy. W sprawie Joanny S. jest sporo niejasności i zagadkowych momentów. Zastanawia, że mogła prowadzić działalność parabankową przez tyle lat, od 2012 r., i żadne instytucje długo się tym nie interesowały. I jak to możliwe, że w tak dziwny biznes inwestował Marian Banaś, ówczesny wiceminister finansów, a późniejszy szef NIK, który zresztą jako jeden z nielicznych zdołał w ostatnim momencie wycofać pieniądze i jeszcze zarobić?

Ale historia Joanny S. ma nie tylko kontekst polski. W końcu ukrywała się przed wymiarem sprawiedliwości w Hiszpanii. To bardzo dziwny wybór, z pozoru kompletnie nielogiczny. Można ułożyć długą listę państw, w których chętnie ukrywają się przestępcy i nie będzie na niej Hiszpanii, tak jak i innych krajów unijnych.

W przypadku Joanny S. wybór ten był tym bardziej osobliwy, bo przecież w Hiszpanii miała swoją willę i galerię w Marbelli. Nie była osobą anonimową, mógł ją rozpoznać znajomy lub ktoś, kto widział jej zdjęcia w lokalnej kronice towarzyskiej. Jak jednak pokazują ostatnie wydarzenia, Hiszpania z punktu widzenia Joanny S. okazała się miejscem prawie idealnym. Co prawda doświadczyła drobnej niedogodności – krótkiego zatrzymania – jednak dzięki uprzejmości hiszpańskiego sądu wszystko skończyło się dla niej dobrze.

Nie wiadomo, gdzie jest teraz – czy wybrała już państwo, z którym Polska nie ma umowy o ekstradycji. W każdym razie niewątpliwie ma środki finansowe, by się ukrywać skutecznie. Jak twierdzi bowiem polska prokuratura, Joanna S. sprzeniewierzyła 300 mln zł należące do klientów, a zdaniem wielu w grę mogą wchodzić znacznie większe sumy.

Nie oznacza to oczywiście, że Joanny S. nie można namierzyć. Zależy to przede wszystkim od determinacji.

eprasa.pl 209ccf7e7a



Wolno ratować zdrowie i życie kobiety

Liberalne media chętnie podgrzewają aborcyjną histerię. Jak nie dramatyczna historia z Pszczyny, to z Białegostoku. Jak nie Białystok, to projekt obywatelski. Każdy pretekst jest dobry, by eskalować emocje



DOROTA ŁOSIEWICZ

W jednym z pierwszych grudniowych „Faktów" TVN przygotowano materiał o tym, że Sejm w pierwszym czytaniu odrzucił obywatelski projekt ustawy o całkowitym zakazie aborcji. Znów grano śmiercią pani Izy, nie patrząc na fakty. W materiale szczegółowo i z namaszczeniem omawiano zapisy projektu, który nie był ani poselski, ani rządowy, a pod obrady wszedł tylko dlatego, że zebrał podpisy ponad 100 tys. obywateli. A PiS przed wyborami zapowiadało, że przyjrzy się każdemu projektowi obywatelskiemu. „Bardzo wyraźnie podkreślaliśmy w poprzed-

eprasa.pl 209ccf7e7a



Fot. Paweł Wodzyński/EastNews

niej kadencji, że PO i PSL lekceważyła ludzi, nie chcąc prowadzić debaty np. nad sprawami dotyczącymi wieku emerytalnego" – tak już w 2016 r. Beata Szydło tłumaczyła, dlaczego PiS już wtedy dopuściło pod obrady i odrzuciło jeden z projektów obywatelskich dotyczących aborcji.

Wiele tygodni temu wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki zapowiedział, że nowy obywatelski projekt będzie odrzucony jeszcze w pierwszym czytaniu, mówił o tym także Jarosław Kaczyński. „Faktom" nie przeszkadzało to jednak w straszeniu zapisami obywatelskiego projektu, karami do 25 lat pozbawienia wolności ani w pokazywaniu manifestacji Marty Lempart spod Sejmu. Jednak całkiem kuriozalny był fragment, w którym nawiązano do niedawnej, tragicznej śmierci młodej matki z Pszczyny. „Ta debata odbyła się w cieniu śmierci tej młodej kobiety" – podprowadzał wypowiedź do kamery posłanki Lewicy reporter. „Umarła 30-letnia Iza z Pszczyny" – to posłanka z mównicy sejmowej. I dalej reporter: „Której lekarze, mimo zagrożenia życia, nie usunęli uszkodzonego płodu. Brak decyzji mógł być efektem zaostrzenia prawa aborcyjnego przez Trybunał Julii Przyłębskiej".

JEDNOZNACZNY WYNIK KONTROLI

I niestety w materiale ani słowa o tym, że Trybunał Konstytucyjny nie zmienił przesłanki pozwalającej na aborcję w sytuacji zagrożenia życia matki. Ani słowa o tym, że kontrola Narodowego Funduszu Zdrowia w Szpitalu Powiatowym w Pszczynie potwierdziła rażące nieprawidłowości w organizacji, sposobie realizacji i w jakości świadczeń udzielonych pacjentce, a NFZ nałożył na placówkę karę w wysokości blisko 650 tys. zł. Nic o tym, że zachowanie lekarzy nie spełniało kryterium należytej staranności oraz nie zapewniało standardu bezpieczeństwa zmarłej pacjentki. Nic o tym, że kontrolerzy ustalili, iż podjęcie decyzji o rozwiązaniu ciąży nastąpiło zbyt późno, tym samym personel nie reagował adekwatnie do objawów klinicznych pacjentki wskazujących na rozwijający się wstrząs septyczny. Stwierdzono również brak stałego monitorowania stanu pacjentki oraz zlecenia koniecznych dodatkowych badań kontrolnych. Przecież to m.in. z esemesów zmarłej kobiety, ujawnionych przez TVN 24, i relacji anonimowej pacjentki, która była z nią na sali, wynikało, że lekarze nie ratowali życia kobiety, choć zdawali sobie sprawę z jego zagrożenia.

W materiale nie było ani słowa o tym, że na szpital nie pierwszy raz jest nakładana kara i nie po raz pierwszy jest on przedmiotem zainteresowania mediów. Był już na czołówkach gazet i portali w 2017 r. po miażdżącej kontroli NIK i w 2018 r. po śmierci bezdomnego mężczyzny. W styczniu 2017 r. m.in. „Wyborcza" donosiła, że NFZ nałożył na szpital ponad milion złotych kary. „Kontrole wykazały, że warunki leczenia w Pszczynie są tragiczne. Lista uchybień jest długa. W szpitalu nie ma drogi ewakuacyjnej na wypadek pożaru. Na oddziale intensywnej terapii przyłącza tlenu okazały się atrapą. Pacjenci zostali stłoczeni na niższych piętrach, bo wyższe z oszczędności wyłączono z użytku. Zwłoki zmarłych na jednym z oddziałów zamykano w brudowniku. Windy były wiecznie popsute. W laboratorium używano przeterminowanych odczynników. Na położniczej izbie przyjęć kobiety do porodu zamiast położnej przyjmował ratownik medyczny. Na dyżurach brakowało lekarzy i pielęgniarek, nawet na intensywnej terapii i patologii noworodka. Kary nakładane przez NFZ po kolejnych kontrolach nic nie pomogły. Szpital na ogół nie stosował zaleceń pokontrolnych" – pisała „Wyborcza". W styczniu 2018 r. w szpitalu w Pszczynie zmarł bezdomny mężczyzna. Trafił do placówki wyziębiony, a pracownicy izby przyjęć umieścili go w bocznej w salce. Mężczyzna przez 27 godzin leżał na podłodze bez żadnej opieki. Zajęto się nim dopiero następnego dnia, po interwencji policji. Bezdomny był już w stanie krytycznym i po kilkunastu godzinach zmarł. W kwietniu 2018 r. „Wyborcza" informowała, że szpital w Pszczynie stracił kontrakt z NFZ, bo „panujące tam warunki zagrażały bezpieczeństwu i życiu chorych". Nakładane wcześniej wysokie kary nie pomagały.

Wygląda na to, że na dramatyczny los pani Izy wpłynęło nie tyle prawo, ile interpretacja tego prawa dokonana przez dyrektora i personel szpitala, a wyrok TK stał się idealną zasłoną dymną dla zaniedbań lekarzy. „Zdaniem rodziny i moim przyczyną śmierci pani Izabeli były błędy medyczne: kobiecie w 22. tygodniu ciąży nie udzielono pomocy medycznej w takim czasie, aby zapobiec wstrząsowi septycznemu i uratować życie matki. Wiele jednak wskazuje na to, że obok względów medycznych lekarz, podejmując decyzje lecznicze, kierował się także swoim rozumieniem obowiązujących przesłanek

eprasa.pl 209ccf7e7a

dotyczących dopuszczalności terminacji ciąży" – mówiła dziennikowi „Fakt" pełnomocnik rodziny mec. Jolanta Budzowska. Te wszystkie okoliczności w materiale „Faktów" zamknięto w jednym zdaniu: „Brak decyzji mógł być efektem zaostrzenia prawa aborcyjnego przez Trybunał Julii Przyłębskiej".

KOLEJNY SZPITAL ODMAWIA ABORCJI

Szybko pojawił się też kolejny temat, który nadaje się idealnie do podgrzewania emocji. Na ratunek feministkom i TVN spieszy Uniwersytecki Szpital Kliniczny w Białymstoku, który odmówił 26-latce przeprowadzenia aborcji. Okazało się, że płód nie ma pokrywy czaszki, w związku z tym nie ma absolutnie żadnych szans, żeby przeżył. Jednak po wyroku TK nie byłby to wystarczający powód do przerwania ciąży. Byłoby to możliwe tylko w sytuacji, gdyby doszło do zagrożenia zdrowia i życia kobiety. Że taka sytuacja zachodzi w przypadku 26-latki, potwierdziło niezależnie dwóch psychiatrów, którzy orzekli, że u ciężarnej z powodu załamania doszło do rozstroju jej zdrowia psychicznego. Historię kobiety opisały m.in. „Wysokie Obcasy". Według magazynu lekarze zdiagnozowali u pacjentki zaburzenia reaktywne. Obaj w opinii uznali, że „kontynuacja ciąży naraża pacjentkę na ryzyko pogorszenia stanu psychicznego, dlatego należy rozważyć terminację ciąży". Z zaświadczeniami od dwóch psychiatrów pacjentka udała się do wspomnianego szpitala, a tam odmówiono jej wykonania aborcji.

Dyrektor placówki wydał oświadczenie, z którego wynika, że po wyroku TK lekarze obawiają się nie tylko utraty prawa wykonywania zawodu, ale również odpowiedzialności karnej. „Jeszcze rok temu nasze stanowisko byłoby jednoznaczne" – podkreśla szpital w oświadczeniu. Zdaniem dyrektora placówki dr. hab. n. med. Jana Kochanowskiego brakuje „jednoznacznej interpretacji w sprawie prawnie dozwolonych warunków terminacji ciąży". „W związku z powyższym lekarze obawiają się nie tylko utraty prawa wykonywania zawodu, ale również odpowiedzialności karnej. [...] Lekarze obawiają się, że odpowiedzialność karna uzależniona będzie od subiektywnej oceny prokuratora, biegłych sądowych i sądów. Niejasne prawo i brak wytycznych to olbrzymi problem dla lekarzy, ale także kobiet w ciąży, które stoją przed dramatycznymi wyborami" – czytamy w oświadczeniu.

Szpital wystąpił do konsultanta wojewódzkiego ds. ginekologii i położnictwa z prośbą o określenie, jakie przesłanki medyczne w położnictwie mogą uzasadniać terminację ciąży po wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Stanowisko szpitala i postawę lekarzy skrytykowała na antenie TVN 24 Kamila Ferenc, prawniczka z Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny. Jej zdaniem strach lekarza nie jest powodem, aby odmawiać pacjentkom pomocy. „Był czas, żeby się przygotować na takie sytuacje i się przeszkolić z nowego prawa aborcyjnego. Pacjentki, w przeciwieństwie do lekarzy, nie dysponują zespołami prawnymi szpitali, samorządami lekarskimi, konsultantami wojewódzkimi i krajowymi czy też towarzystwami naukowymi" – mówi prawniczka. „Lekarze stawiają swój komfort i swoje poczucie bezpieczeństwa wyżej niż dobro pacjentki" – dodała. I trudno się z tą opinią nie zgodzić, to kolejny bowiem przypadek, gdy wygląda na to, że decyzja TK jest po prostu zasłoną dymną dla lekarzy.

Szybko pojawił się też kolejny temat, który nadaje się idealnie do podgrzewania emocji. Na ratunek feministkom i TVN spieszy Uniwersytecki Szpital Kliniczny w Białymstoku, który odmówił 26-latce przeprowadzenia aborcji

STANOWISKO MINISTERSTWA ZDROWIA

Oświadczenie dyrekcji szpitala z Białegostoku ma miejsce miesiąc po tym, gdy minister zdrowia Adam Niedzielski, w związku z dramatyczną historią pani Izy z Pszczyny, poprosił prezesa Narodowego Funduszu Zdrowia o bieżące monitorowanie w całym kraju wszelkich sytuacji, w których zagrożone może być zdrowie i życie kobiety w ciąży. Ministerstwo Zdrowia zwróciło też uwagę na obowiązujące obecnie regulacje prawne i rekomendacje medyczne w tym zakresie. Przypomniało, że w sytuacji zagrażającej życiu lub zdrowiu kobiety (np. podejrzenia zakażenia dotyczącego jamy macicy, krwotoku itp.) zgodne z prawem jest niezwłoczne zakończenie ciąży na podstawie obowiązujących przepisów ustawy z dnia 7 stycznia 1993 r. o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży.

Resort podkreśla, że ustawa ta wprost wskazuje na przesłankę zagrożenia życia lub zdrowia matki. „Trzeba podkreślić, że są to przesłanki rozłączne. Wystąpienie tylko jednej z nich jest wystarczającą prawną przesłanką do podjęcia reakcji przez lekarza. Oczywistym jest, że pacjentka na każdym etapie prowadzenia ciąży musi być informowana o aktualnych ryzykach związanych ze zdrowiem i życiem" – przypomina resort zdrowia w informacji opublikowanej 7 listopada. „Trzeba z całą mocą podkreślić, że lekarze nie mogą obawiać się podejmowania oczywistych decyzji, podejmowanych w oparciu o swoje doświadczenie i dostępną wiedzę medyczną" – czytamy w komunikacie.

„Cały czas mamy interpretację, która dopuszcza przerywanie ciąży, szczególnie właśnie w przypadku zagrożenia życia kobiety. I ta polityka powinna być stosowana" – przypomniał ponad miesiąc temu minister zdrowia.

Warto więc, by lekarze, podejmując trudne decyzje, brali pod uwagę obowiązujący stan prawny, a nie własne wyobrażenie o nim.

Reklama | 55/1121/F

eprasa.pl 209ccf7e7a

NASZĄ ROLĄ SILNA POLSKA



POLSKI **ŁAD**
dla polskiej wsi

Rolniczko, Rolniku!

- Polski Ład dla Polskiej Wsi to **dla Ciebie realne korzyści**
- Troszcząc się o **rozwój i innowacje** na wsi – ułatwiamy Ci pracę
- Dbamy o Twoją przyszłość i **wspieramy Twoje inwestycje**
- Wspólnie **pielęgnujemy tradycje**

MINISTERSTWO ROLNICTWA I ROZWOJU WSI

SOLIDARNI ROLNIKAMI

Zawsze aktualnych informacji o programie szukaj na **www.gov.pl/polski-lad**

eprasa.pl 209ccf7e7a



Obrona Polski zależy przede wszystkich od nas samych i od porozumienia z naszymi sojusznikami. Nie oglądajmy się na Unię, bo ona jest strukturą kiepską, skoncentrowaną na sobie i na swoich problemach, które zresztą sama stwarza

Postawić tamę unijnemu szaleństwu

Z prof. Ryszardem Legutką, europarlamentarzystą PiS z Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, rozmawia Edyta Hołdyńska

Czy ma pan poczucie jedności w Unii Europejskiej co do poparcia stanowiska Polski w sprawie obrony granic?

Ryszard Legutko: Oczywiście, że nie mam takiego poczucia. Padły wprawdzie, choć z niejakim opóźnieniem, deklaracje i zapowiedź działań, ale wszystko to jest raczej skromne i nastawione przede wszystkim na unijną autopromocję. W wypowiedzi komisarza Schinasa było wiele słusznych zdań, ale głównie chodziło o to, by chwalić UE, mówić, jak jest wspaniała i jak bez niej nic się nie da zrobić, a zatem powinna mieć coraz więcej władzy. Co do Parlamentu Europejskiego, instytucji wyjątkowo szkodliwej dla Europy, to pojawiły się tam wypowiedzi skandaliczne. Dla większości europarlamentu pilniejszym zadaniem jest grillowanie Polski i obalenie jej rządu niż problem imigracji czy nawet bezpieczeństwa. Sprawa granicy nie jest tam poważnie traktowana.

Dlaczego tak się dzieje? Przecież to także problem innych krajów członkowskich Unii Europejskiej, głównie Niemiec, gdzie chcą się dostać imigranci.

Dla lewicy imigracja jest rzeczą świętą, a i dla innych partii głównego nurtu jest to problem na tyle kontrowersyjny, że wolą unikać śmielszych wypowiedzi. Polski rząd już choćby z tego powodu nie jest im na rękę, że jest prawicowy i że stawia sprawę twardo. Lewica z większą sympatią, oczywiście wyrażaną dyskretnie, traktuje Rosję i chce utrzymywać z nią dobre kontakty. To typowa unijna hipokryzja. Dobrze więc, że działania zostały podjęte, ale obrona Polski zależy przede wszystkich od nas samych i od porozumienia z naszymi sojusznikami. Nie oglądajmy się na Unię, bo ona jest strukturą kiepską, skoncentrowaną na sobie i na swoich problemach, które zresztą sama stwarza.

W związku z tym problematyczna dla UE okazała się czynna pomoc Wielkiej Brytanii, która wysłała do nas swoich wojskowych.

Premier dobrze zrobił, że kontaktował się z rządami poszczególnych krajów członkowskich. To rządy są tutaj najważniejsze. One czują większą odpowiedzialność niż komisarze unijni, a także mają większą realną moc sprawdzą. Odpowiedzialność czują przede wszystkim kraje bałtyckie, które odwiedził premier. Mimo całej dramatyczności sytuacji to dobra okazja, by nasze relacje nabrały nowej i pozytywnej dynamiki.

Unia pokazała brak solidarności wobec krajów członkowskich?

UE ma inne priorytety. Dla niej najważniejsze sprawy to walka z rządami niepokornymi, takimi jak polski i węgierski,

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 209ccf7e7a

zielona gospodarka w formie możliwie najradykalniejszej, aborcja, LGBT, a także wydzieranie kolejnych kompetencji krajom członkowskim. Dla tych celów gotowa jest gwałcić traktaty, co zresztą czyni coraz częściej.

Unia Europejska w konsekwencji osłabi polski rząd?

Trzeba robić wszystko, by tego haniebnego celu nie udało się osiągnąć. Należy sobie uświadomić, że jeżeli Polska i Węgry wypadłyby ze swojego kursu i zostały pokonane, to praktycznie nie będzie już żadnego oporu wobec polityki federalizacyjnej UE. My tutaj reprezentujemy nie tylko znaczną część naszych społeczeństw, polskiego i węgierskiego, ale także w dużym stopniu reprezentujemy te środowiska i siły, które nie mają swojej reprezentacji rządowej w innych krajach, a również patrzą z niepokojem na to, co dzieje się w Unii. Nasza rola tutaj jest kluczowa. Niestety Polska ma ten problem, że jedna trzecia naszego społeczeństwa chętnie widziałaby kraj rządzony przez unijne instytucje zamiast polskiego rządu. I by to Komisja Europejska podejmowała najważniejsze decyzje rządowe, by to Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej rozstrzygał kwestie prawne, a nie Trybunał Konstytucyjny i polskie sądy. To jest współczesna forma targowicy. Wydaje się niemal niezrozumiałe, że w 30 lat po uzyskaniu niepodległości miliony Polaków już chcą z niej zrezygnować i poddać się władzy podmiotów zewnętrznych. Jeśli te zmiany, które zapisała w umowie nowa koalicja rządząca w Niemczech, a pod którymi podpisuje się wiele partii głównego nurtu, miałyby zostać wprowadzone, to Polska znowu straci niepodległość.

Co musiałoby się wydarzyć, by kwestia praworządności zniknęła z agendy priorytetów unijnych?

Praworządność jest maczugą, którą się nas okłada. Instytucje europejskie walczą o zwiększenie swoich kompetencji, co im się udaje głównie poprzez atak na słabsze i konserwatywne rządy wschodniej Europy. W tym dziele wspiera je większość rządów Europy Zachodniej, traktując nas ze wschodu trochę jak uboższych i mniej rozumnych krewnych. Praworządność nie jest zdefiniowana, choćby w przybliżeniu, w traktatach i występuje w art. 2 na liście wartości wspólnych. A nie będąc określona, może przybierać różne kształty w zależności od woli Komisji czy TSUE i nie ma możliwości, by się od ich wykładni odwołać. Skoro nigdzie nie jest napisane, czym jest praworządność, to państwa słabsze są bezradne wobec bezczelnej samowoli Komisji i TSUE. Szczególnie niechlubną rolę odgrywa TSUE. Przechwytując to pojęcie i nadając mu sens ad hoc, stawia się w pozycji trybunału konstytucyjnego wobec krajów słabszych. Z mocniejszymi krajami nawet nie będzie się próbował mierzyć, bo wie, że nie wygra. TSUE więc za pomocą pałki praworządności przydaje sobie władzy, natomiast w ogóle nie korzysta z dobrze zdefiniowanych zasad przyznania, pomocniczości i proporcjonalności zawartych w art. 5, choć tutaj miałby pole do popisu, bo ten artykuł jest systemowo gwałcony. TSUE zatem pogłębia patologizację Unii, zamiast jej przeciwdziałać. Zmienić się to może tylko wtedy, gdyby doszło do reformy UE.

To jak w takich warunkach mogą funkcjonować polscy europarlamentarzyści z frakcji prawicowych? Jak chcą państwo zmienić Unię? Łagodzić skutki oddziaływania na Polskę takich zmian, jak zawarte w pakiecie Fit for 55?

Nie ma co łagodzić, oni się już bardzo rozzuchwalili. By się cokolwiek zmieniło, musi dojść do powstania znaczącej reprezentacji prawicowych sił na poziomie europejskim. Jeśli w ciągu najbliższych lat coś takiego się nie stworzy, agresja Unii będzie postępować i przybierze jeszcze brutalniejsze formy. Są wprawdzie też ruchy oddolne przeciw rosnącej arbitralności i arogancji Unii, ale, jak mówiłem, nie mają wystarczającej reprezentacji politycznej, zwłaszcza na zachodzie Europy, gdzie niezadowolenie z działania Unii wyraża ponad połowa obywateli, a gdzie niemal niepodzielnie rządzą siły federalizacyjne. Jak widać, deficyt demokracji to zjawisko znacznie głębsze. Nie tylko niedemokratyczne są Komisja i Parlament Europejski (działający na podstawie fałszywych założeń, że Unia jest państwem, a Europejczycy jednym narodem), ale także systemy wyborcze w wielu krajach pozostawiają sporo do życzenia. Kluczem do zmiany jest osiągnięcie względnej równowagi, czyli stworzenia przeciwwagi dla głównego nurtu.

Z kim stworzyć tę prawicową przeciwwagę?

To będzie trudne i wymaga czasu. Może się pojawić rząd prawicowy we Włoszech, jest siła prawicowa we Francji. Lewica hiszpańska, która osiąga kolejne poziomy szaleństwa, może przegrać wybory. To wszystko jest na razie jednak bardzo mgliste. Do europejskiej wyborów niewiele da się zrobić. Jesteśmy na półmetku. Lewica, wliczając w to EPL, która programowo przed lewicą skapitulowała, ma prawie 80 proc. w europarlamencie. Tu się niewiele da zrobić. Tym bardziej trzeba kontynuować akcję jednoczenia sił prawicowych w Europie. Europejskie partie dzierżące w Unii władzę zorganizowały konferencję o przyszłości Europy. Moi koledzy z partii konserwatywnych mówią, że to jest farsa, a na czele przedsięwzięcia stoi Guy Verhofstadt, człowiek w zachowaniu raczej klaunowaty, ale gdyby mu dać władzę – dość niebezpieczny. Komisja Europejska też się do tego przyłączyła. Obserwowanie z bliska tej konferencji skłania rzeczywiście do wniosku, że mamy do czynienia z farsą. Ale kiedy czytamy, że nowo powstający rząd niemiecki traktuje to przedsięwzięcie jako wehikuł do zmian w traktatach w kierunku europejskiego superpaństwa, to ta farsa może się okazać tragedią. Trzeba to powstrzymać.

Jakie działania podejmie prawica?

Partie prawicowe przedstawią niedługo własne propozycje zmian traktatowych. Deklaracja warszawska, a ostatnio szczyt warszawski, to pierwsze kroki w tym kierunku. Niedługo zostanie ogłoszona nasza propozycja reformy Unii Europejskiej. Postaramy się, żeby nasz głos był słyszalny. Nie będzie to łatwe, bo główny nurt na zachodzie Europy opanował prawie całą przestrzeń komunikacji społecznej. Polska jest tu wyjątkiem, gdzie istnieje rzeczywisty pluralizm w tej przestrzeni i zapewne dlatego UE się to nie podoba. Ale zrobimy wszystko, by mobilizować środowiska, które unijnemu szaleństwu i zapędom despotycznym chcą przeciwstawić zdrowy rozsądek, umiar, wolność, szacunek dla prawa, akceptację różnorodności narodowej i przywiązanie do dziedzictwa.

eprasa.pl 209ccf7e7a

Hotel pod Skorumpowanym Ordynatorem

Szpitale psychiatryczne funkcjonują niekiedy jak hotele, które zapewniają przestępcom kompleksowe usługi. Pozwalają się ukryć przed policją, wykręcić od więzienia oraz zdobyć zaświadczenie o niepoczytalności



MAJA NARBUTT

Nawet na doświadczonych policjantach zrobiło to wrażenie: grube pliki banknotów, upchnięte w reklamówkach z dyskontu, ukryte były w różnych miejscach mieszkania dr. Mariusza Sz. W sumie 1,2 mln zł. Zatrzymany lekarz, ordynator jednego z oddziałów Wojewódzkiego Szpitala Psychiatrycznego w Gnieźnie, szybko zdecydował się złożyć zeznania. Przyznał, że pomagał przestępcom uniknąć odpowiedzialności w zamian za korzyści materialne.

– Oficjalnie szpital twierdzi, że nikt nie miał pojęcia o tym procederze. Ale prywatnie niektórym lekarzom rozwiązują się języki. Mówią, że trudno było nie zauważyć, że na oddziale dzieją się dziwne rzeczy – mówi mi dziennikarz jednego z lokalnych portali.

Z pewnością trzeba było się starać, by nie widzieć, że na oddziale są puste łóżka. To znaczy oficjalnie były zajęte – mieli na nich leżeć przyjęci przez ordynatora pacjenci. Jednak zdumiewająco szybko wychodzili na przepustkę. Czasem już następnego dnia po przyjęciu do szpitala, co powinno dać do myślenia, bo przecież chory nie mógł tak natychmiast poczuć się dużo lepiej.

Pacjent wracał zresztą niekiedy dopiero w ostatnim dniu wpisanego w dokumentach pobytu i odbierał zaświadczenie, z którego wynikało, że absolutnie nie może odbywać kary pozbawienia wolności w zakładzie karnym. Nieoficjalnie wiadomo, że stawka za położenie na oddziale wynosiła 5 tys. zł, to było jak opłata za zakwaterowanie, bo w grę oczywiście mogły wchodzić kolejne łapówki za kompletowanie dokumentacji medycznej.

– Kiedy zbliżał się termin stawienia się do więzienia w celu odbycia zasądzonej prawomocnym wyrokiem kary, przestępcy trafiali do doktora Mariusza Sz. To trwało od co najmniej kilku lat. Funkcjonariusze przekopują się teraz przez listę jego pacjentów, sprawdzają, ilu z nich należy do tej kategorii – mówi rzecznik wielkopolskiej policji mł. insp. Andrzej Borowiak.

Jednak sprawa ordynatora oddziału psychiatrycznego w Gnieźnie może mieć jeszcze inny wątek. Dr Mariusz Sz. był biegłym sądowym, a to oznacza, że jego opinie przesądzały, czy sąd uzna, że oskarżony może odpowiadać za swoje czyny. Teoretycznie należałoby się więc przyjrzeć również procesom, w których wydawał ekspertyzy.

Prokuratura Krajowa, która przejęła dochodzenie, bardzo oszczędnie udziela informacji. Wiadomo tylko, że oprócz dr. Mariusza Sz. aresztowano dwie inne osoby: przestępcę, który wręczył łapówkę, oraz pośrednika, który skontaktował go z lekarzem.

– Na kozetce psychiatry kładą się teraz najpospolitsi kryminaliści, drobni przestępcy, którzy wiedzą, że należy „zrobić papiery", by unikać odpowiedzialności. A my, policjanci,



eprasa.pl 209ccf7e7a

kiedy nawet zatrzymujemy kogoś, kto dokonał napadu z bronią w ręku, szybko musimy mu zadać sakramentalne pytanie: „Czy leczy się pan psychiatrycznie?" – mówi Borowiak.

Brzmi to absurdalnie i rzeczywiście jest absurdalne. Przeciętny Polak wyobraża sobie, że psychiatrzy wkraczają do akcji, gdy dokonane zostaje morderstwo i należy ustalić, czy sprawca jest poczytalny, czy nie.

Tymczasem specyfika polskiego wymiaru sprawiedliwości jest inna. Niemal na wszystko potrzebna jest psychiatryczna podkładka, a psychiatra otwiera drzwi do wolności nie tylko zabójcom, sprawcom napadów i wymuszeń, lecz także przestępcom gospodarczym.

Pytanie: „Czy leczył się pan psychiatrycznie?", zadają więc przede wszystkim adwokaci. Jak przyznał mi wybitny warszawski mecenas, to jedno z pierwszych pytań, jakie standardowo zadaje się klientowi.

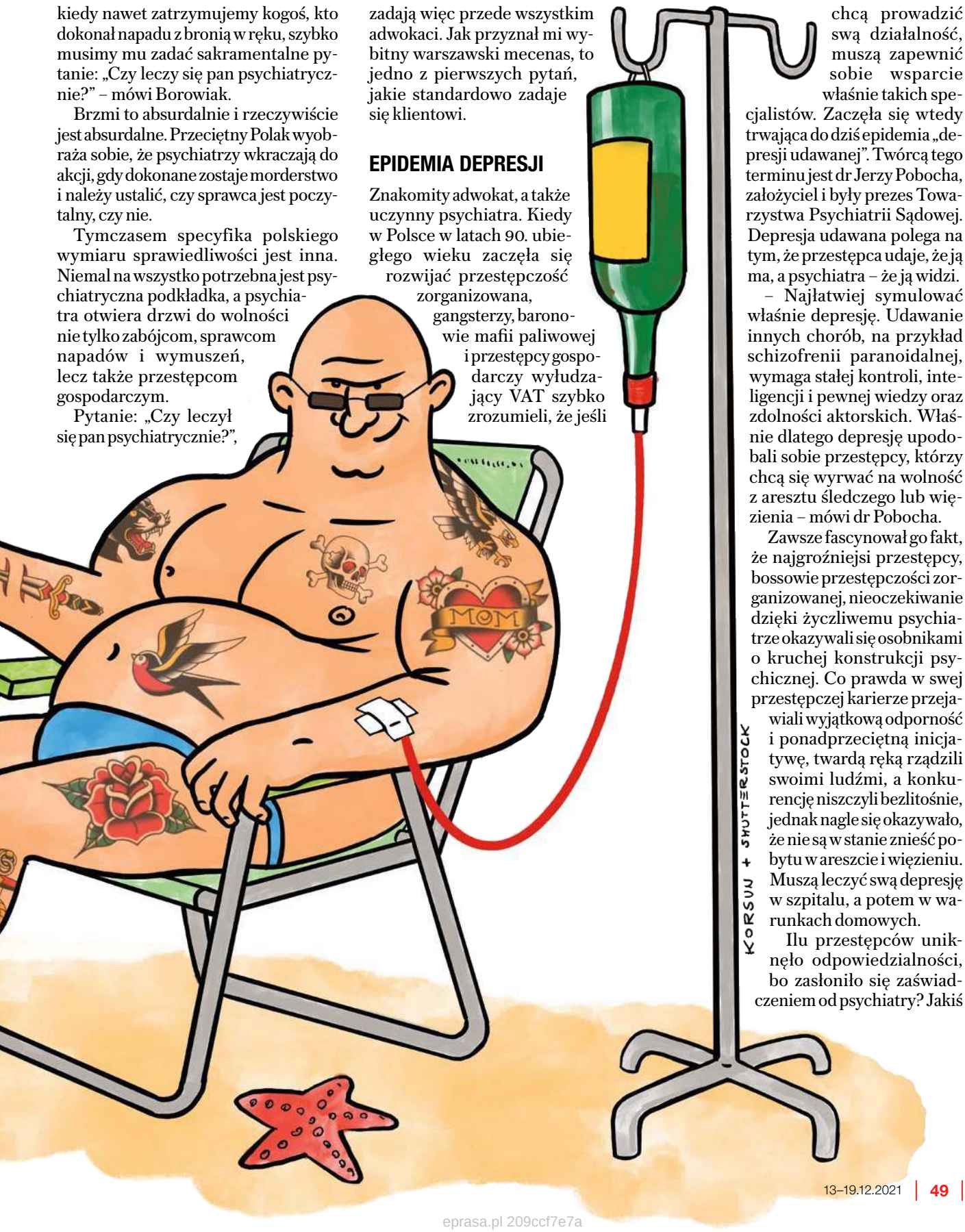
EPIDEMIA DEPRESJI

Znakomity adwokat, a także uczynny psychiatra. Kiedy w Polsce w latach 90. ubiegłego wieku zaczęła się rozwijać przestępczość zorganizowana, gangsterzy, baronowie mafii paliwowej i przestępcy gospodarczy wyłudzający VAT szybko zrozumieli, że jeśli chcą prowadzić swą działalność, muszą zapewnić sobie wsparcie właśnie takich specjalistów. Zaczęła się wtedy trwająca do dziś epidemia „depresji udawanej". Twórcą tego terminu jest dr Jerzy Pobocha, założyciel i były prezes Towarzystwa Psychiatrii Sądowej. Depresja udawana polega na tym, że przestępca udaje, że ją ma, a psychiatra – że ją widzi.

– Najłatwiej symulować właśnie depresję. Udawanie innych chorób, na przykład schizofrenii paranoidalnej, wymaga stałej kontroli, inteligencji i pewnej wiedzy oraz zdolności aktorskich. Właśnie dlatego depresję upodobali sobie przestępcy, którzy chcą się wyrwać na wolność z aresztu śledczego lub więzienia – mówi dr Pobocha.

Zawsze fascynował go fakt, że najgroźniejsi przestępcy, bossowie przestępczości zorganizowanej, nieoczekiwanie dzięki życzliwemu psychiatrze okazywali się osobnikami o kruchej konstrukcji psychicznej. Co prawda w swej przestępczej karierze przejawiali wyjątkową odporność i ponadprzeciętną inicjatywę, twardą ręką rządzili swoimi ludźmi, a konkurencję niszczyli bezlitośnie, jednak nagle się okazywało, że nie są w stanie znieść pobytu w areszcie i więzieniu. Muszą leczyć swą depresję w szpitalu, a potem w warunkach domowych.

Ilu przestępców uniknęło odpowiedzialności, bo zasłoniło się zaświadczeniem od psychiatry? Jakiś



eprasa.pl 209ccf7e7a

czas temu zwróciłam się z tym pytaniem do Ministerstwa Sprawiedliwości i dostałam odpowiedź, że nie wiadomo, bo nie ma takich danych.

RELAKS W TROPIKACH

Kiedy policja i prokuratura poinformowały o zatrzymaniu dr. Mariusza Sz., media uznały to za sensację i niebywały skandal. Ale tak naprawdę podobnych afer było wiele. Zawsze zaczynały się od zapowiedzi prokuratury, że to „sprawa rozwojowa". I zawsze kończyły się w medialnej ciszy, bo wszyscy już zdążyli zapomnieć, że coś takiego w ogóle się zdarzyło.

Historia z Gniezna raczej nie należy do tych najbardziej bulwersujących. Przebija ją chociażby sprawa prowadzona przez Prokuraturę Okręgową w Warszawie. Zaczęła się tak samo – w atmosferze sensacji, bo w końcu chodziło aż o ośmiu renomowanych warszawskich psychiatrów i neurologów. Po dwóch latach nikt się nią nie interesuje. Nie udało mi się nawet dowiedzieć, na jakim jest etapie – niedawno zmienił się prowadzący ją prokurator.

W każdym razie warszawska sprawa jest zupełnie niebywała, jeśli chodzi o poczucie bezkarności zaangażowanych w nią lekarzy. Tutaj nie bawiono się w „miękką" diagnozę depresji czy stanów lękowych. Walnięto z grubej rury – u gangstera Dariusza D. ps. Strychu zdiagnozowano udar pnia mózgu, czyli najcięższy z wszystkich możliwych. Gdyby diagnoza była prawdziwa, siedziałby na wózku i musiał korzystać ze stałej opieki. Tymczasem Dariusz D. nie korzystał z opieki, ale z życia – prowadził samochód, a kiedy stracił prawo jazdy za rajd pod wpływem alkoholu, bez trudu zdał egzamin i je odzyskał. Wyjeżdżał na egzotyczne wakacje, zamieszczał w mediach społecznościowych zdjęcia, na których relaksuje się i pije drinki z parasolką. Fatalny stan zdrowia Dariusza D. nie stanowił też przeszkody w prowadzeniu przez niego działalności przestępczej. Powinien siedzieć w więzieniu, odbywając zasądzoną karę 25 lat więzienia, ale dzięki uczynności skorumpowanych lekarzy i wystawianych przez nich ciągle nowych zaświadczeń korzystał z niekończącej się przerwy w odsiadywaniu kary.

– Fakt, że zdiagnozowano u gangstera udar pnia mózgu, świadczy o tym, że osoby wydające opinię czuły się bezkarne i wierzyły, że nikt tego nie sprawdzi. Psychiatria nie jest nauką ścisłą, teoretycznie można się pomylić, rozpoznając depresję. W przypadku udaru nie jest to możliwe – mówił mi znany psychiatra.

Ale z reguły nikt nie sprawdza, co robią przestępcy, którzy dzięki diagnozom psychiatrycznym znaleźli się na wolności. To wyraźna luka w systemie prawnym.

Bardzo trudno znaleźć też biegłych, którzy wzięliby pod lupę opinię wystawioną przez innego psychiatrę. – Zazwyczaj bronią się przed tym rękami i nogami. Nie zdobywa się popularności w środowisku psychiatrycznym, krytykując kolegów – uważa dr Jerzy Pobocha, który sam wiele razy naraził się, ujawniając psychiatryczno-sądowe patologie.

CZUJE SIĘ ŚLEDZONY

Niektóre sprawy dotyczące psychiatrów i przestępców brzmią, jakby wymyślił je scenarzysta, choć wydarzyły się naprawdę.

Historia o gangsterze, który wzięty do szpitala na obserwację natychmiast dostał przepustkę i wyruszył swoim porsche z pielęgniarką w romantyczną eskapadę do Paryża, wydarzyła się w szpitalu psychiatrycznym w Ciborzu.

Tak samo jak prawdziwe są dość niezwykłe diagnozy, które stawiano przestępcom. „Pacjent czuje się śledzony, czegoś się boi i źle sypia" – w ten sposób ówczesny ordynator szpitala psychiatrycznego w Rybniku uzasadniał przyjęcie do szpitala pewnego mężczyzny. Brzmi to jak opis urojeń prześladowczych, ale było całkiem racjonalnym zachowaniem, biorąc pod uwagę, że nowym pacjentem był Ryszard Niemczyk, ps. Rzeźnik, płatny zabójca, w tamtym czasie intensywnie poszukiwany przez policję.

Niektórzy lekarze potrafią się wykazać większą inwencją – pani psychiatra prowadząca dużą placówkę prywatną we Wrocławiu wyposażyła przestępcę gospodarczego w diagnozę choroby afektywnej dwubiegunowej. Olbrzymie kredyty miał brać w fazie manii, kiedy optymistycznie czuł, że świat stoi przed nim otworem i na pewno sobie poradzi. W fazie depresji rozumiał już, że kredytów nie spłaci. Ale w końcu nie wolno karać chorego człowieka.

Diagnozy psychiatryczne wystawione przestępcom bywają też pełne dziwacznych niespójności. Psychiatra potrafi na przykład stwierdzić, że bandzior, który wywozi swoich dłużników w bagażniku do lasu, ma ograniczoną poczytalność, równocześnie zapewniając, że może przebywać na wolności, bo nie stanowi zagrożenia dla porządku publicznego.

APEL DO PACJENTÓW

– Apelujemy teraz, by zgłaszały się osoby, które wręczyły łapówkę dr. Mariuszowi Sz. Jeśli zgłoszą się same, unikną odpowiedzialności karnej za udział w korupcyjnym procederze – podkreśla rzecznik wielkopolskiej policji mł. insp. Andrzej Borowiak.

Problem polega na tym, że wprawdzie pacjenci, którzy się zgłoszą, nie będą odpowiadać za wręczenie łapówki, ale pośrednio przyznają, że byli zainteresowani zdobyciem fałszywej diagnozy psychiatrycznej.

Co grozi zaś samemu dr. Mariuszowi Sz.? Teoretycznie nawet osiem lat więzienia. Tak wynika z Kodeksu karnego.

Prześledziłam jednak podobne afery z ostatnich 20 lat i nie spotkałam podobnie surowych wyroków. Wręcz przeciwnie, zwykle były zaskakująco łagodne. W wielu wypadkach sprawy umarzano lub kończyły się dobrowolnym poddaniem karze i wyrokami w zawieszeniu.

Szczególnie bulwersujący jest fakt, że nawet nie skreślano skorumpowanych i skazanych prawomocnie psychiatrów z listy biegłych sądowych. Najwyżej zawieszano ich uprawnienia na dwa–trzy lata, tak jakby było oczywiste, że po tym okresie będą już nieskazitelnie uczciwi.

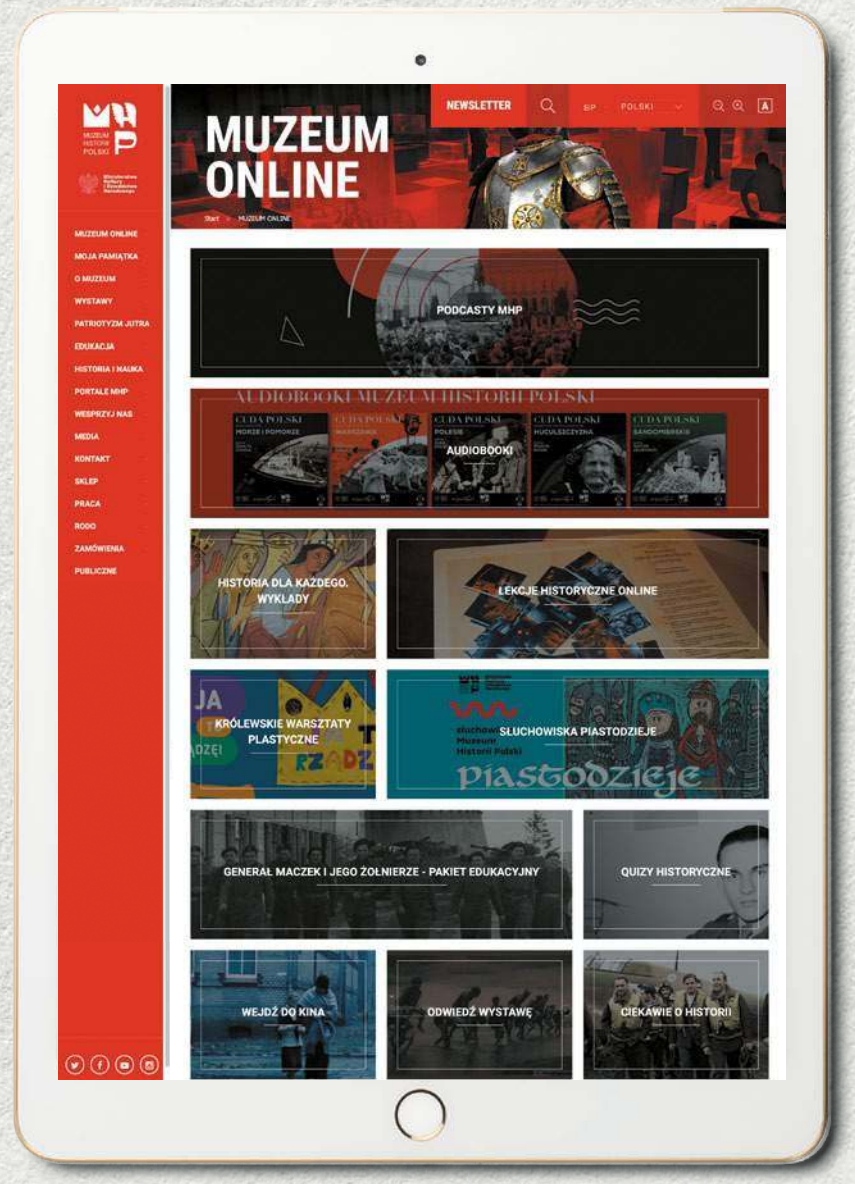
– Afera w szpitalu psychiatrycznym w Gnieźnie pokazuje, że czas na uzdrowienie sytuacji i rozwiązania systemowe. Być może trzeba powołać komisję i wyciągnąć wnioski, co zrobić, by podobne rzeczy już się nie powtarzały – uważa dr Jerzy Pobocha.

Reklama | 28/1221/FI | Autopromocja

eprasa.pl 209ccf7e7a

Muzeum Historii Polski zaprasza do

Muzeum Online



Specjalna zakładka na stronie www.muzhp.pl

- # filmy
- # podcasty
- # audiobooki
- # słuchowiska
- # warsztaty artystyczne
- # e-wystawy
- # pakiety edukacyjne

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MUZEUM HISTORII POLSKI

eprasa.pl 209ccf7e7a



Najlepszy pakiet e-prenumeraty SIECI

3 e-booki w prezencie



TEOLOGIA TOLKIENA

Ukazuje chrześcijańskie prawdy wiary ukryte w losach bohaterów Śródziemia. Miłośnicy Tolkiena poznają go jeszcze lepiej, a wielbiciele teologii – dowiedzą się więcej o Bogu.

OJCIEC WOLNYCH LUDZI

Wciągająca opowieść oparta na faktach z życia Prymasa Tysiąclecia. Książka jest lekturą uzupełniającą dla szkół średnich.

SZUSTA RANO

Książka motywator o. Adama Szustaka z inspirującymi myślami na każdy dzień nadchodzącego 2022 r. Najlepiej ją czytać przy porannej kawie!

Zamów już dziś na **www.siecprzyjaciol.pl**

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 209ccf7e7a

SIECI
dodatek specjalny

40. rocznica wprowadzenia stanu wojennego



BRUTALNE DEPTANIE WOLNOŚCI





Polski ciągle bronić trzeba

O tym, jak Jaruzelski próbował zgnieść nie tylko Solidarność, lecz i polskiego ducha. O tym, jak Polacy garnęli się do podziemia, ale też o spontanicznej pomocy w konspiracji. I wreszcie o wolnej Polsce – opowiada ***Adam Borowski***, opozycjonista niepodległościowy i antykomunistyczny w czasach PRL, w rozmowie z Jakubem Augustynem Maciejewskim

Wiem, że po 40 latach łatwo jest pytać o takie rzeczy, ale to naprawdę zastanawiające. Zakładaliście, że Jaruzelski będzie chciał zmiażdżyć was siłą? Przeczuwałeś coś?

Adam Borowski: Nie tyle przeczuwałem, ile oczekiwałem starcia. Miałem nadzieję, że dojdzie do niego podczas kryzysu bydgoskiego w marcu 1981 r. Byłem przekonany, że dobrze zorganizowany 10-milionowy związek zmusi komunistów do ustępstw. Dla mnie od początku istnienia związku było jasne, że Solidarność nie bije się tylko o prawa pracownicze, dzielenie wczasów czy cebuli, ale o niepodległość Polski. I żeby było jasne – osobiście nie wierzyłem, że pełną niepodległość odzyskamy za mojego życia, ale nie miałem najmniejszej wątpliwości, iż bić się trzeba.

Czy wokoło ciebie też było takie poczucie?

Nie dało się inaczej. W Miejskim Przedsiębiorstwie Robót Elektrycznych, gdzie pracowałem, do Solidarności już we wrześniu 1980 r. przystąpiło 90 proc. załogi, włącznie z jednym z dyrektorów. Stare związki i zakładowa komórka PZPR zostały po prostu zmiecione. Okazało się, że ludzie komunizmu nie znoszą.



Adam Borowski i Janusz Jeżewski w drukarni

W jaki sposób 25-letni robotnik stał się szefem zakładowej Solidarności?

Jeszcze przed strajkami sierpniowymi angażowałem się w działalność opozycyjną. Stworzyłem coś na kształt zakładowej biblioteczki wydawnictw niezależnych. Za własne pieniądze kupowałem książki NOW-ej, a niezależne pisma „Robotnik", „Biuletyn Informacyjny" KOR dostawałem od poetki Ani Kowalskiej za darmo i rozprowadzałem wśród załogi. Przy okazji toczyłem rozmowy polityczne. Pracownicy mieli poczucie, że się nie boję, więc po podpisaniu Porozumień Sierpniowych od razu przyszli do mnie, bym założył grupę inicjatywną. Szybko się zorganizowaliśmy i tylko musieliśmy czekać na rejestra-

cję w sądzie statutu, by przeprowadzić wybory do władz nowego związku.

Ale i tego było ci mało.

Byłem młody, roznosiła mnie energia. Zostałem społecznym konsultantem MKZ Regionu Mazowsze, a potem zostałem przyjęty do Komisji Interwencji i Mediacji kierowanej przez Zosię i Zbyszka Romaszewskich. Byłem więc przewodniczącym Solidarności w swoim zakładzie, a po pracy z ramienia Regionu jeździłem po innych zakładach i pomagałem tam zakładać kolejne struktury. Czasem trzeba było prowadzić interwencje w dyrekcji zakładów, gdzie utrudniano działalność nowego związku. Na ogół wystarczyła rozmowa „ostrzegawcza" z dyrektorem: „Łamie pan porozumienia, łamie pan prawo". Odbyłem dziesiątki takich zebrań i widziałem, jak ta energia, pragnienie zmian wśród Polaków się budzą. Ludzie nagle nabrali odwagi i pokazali komunie gest Kozakiewicza.

I przychodzi 13 grudnia...

Miałem wtedy dyżur w siedzibie Regionu Mazowsze w Komisji Interwencji i Mediacji. Sytuacja w Polsce była bardzo napięta. Z polecenia władz Regionu Solidarności przygotowywaliśmy wielką demonstrację na 17 grudnia na placu Zwycięstwa przeciw planowanemu przez komunistyczne władze wprowadzeniu ustaw ograniczających prawa człowieka. W sobotę 12 grudnia przyszedł do mnie nieżyjący już Marek Nowicki i powiedział, że mnie zmieni, żebym poszedł do domu i odpoczął. Kilka godzin później wprowadzono stan wojenny, ZOMO spacyfikowało siedzibę Regionu, Marka internowali, a ja ocalałem. Gdy rano włączyłem telewizor i zobaczyłem, co się dzieje, natychmiast pobiegłem do Regionu.

Od razu wiedziałeś, że zejdziecie do podziemia?

A skąd! Pierwsze myśli dotyczyły zabezpieczenia tego, co zostało po pacyfikacji, i jak najlepszego przygotowania się do strajku. Książki niezależnych wydawnictw rozdaliśmy ludziom zgromadzonym pod siedzibą Regionu. Wynieśliśmy maszyny do pisania, matryce i papier do przypadkowych mieszkań w pobliskich domach. Potem odebraliśmy je i służyły rodzącemu się podziemiu.

Spontaniczna pomoc...

14 grudnia (poniedziałek) przyszedłem do mojego zakładu pracy, zamknąłem bramy i zwołałem wiec załogi. Stanąłem na stole ślusarskim i przemówiłem do ludzi: „Zgodnie ze statutem w przypadku ataku na związek obowiązuje nas zorganizowanie strajku w jego obronie. Ale sytuacja jest wyjątkowa, wprowadzono stan wojenny, jest ryzyko ofiar. Muszę mieć pewność, że chcecie tego strajku. Ja stanę na jego czele, ale wy wypowiedzcie się za lub przeciw". Każdy z uczestników wiecu na otrzymanej kartce napisał „tak" lub „nie", wrzucił ją do kasku robotniczego i policzyliśmy głosy.

> Mimo że zbrodnie komunistyczne nie zostały rozliczone, mimo że nomenklatura i aferzyści rozkradli majątek narodowy, mimo całego zła, jakie przyniosła zwykłym ludziom III RP, mamy niepodległą Polskę! Dla mnie to największa nagroda

Ludzie chcieli strajku.

Zdecydowana większość załogi. Dyrektor wezwał mnie do siebie i przeprosił, że musi o strajku poinformować władze, oczywiście nie miałem nic przeciwko. Wywiesiliśmy na bramie napis: „Strajk". Problemem był brak możliwości zorganizowania u nas strajku okupacyjnego, bo warunki na to nie pozwalały. Tam były baraki, a nie jeden wielki budynek, w którym można by się postawić ZOMO. Uznaliśmy, że spróbujemy się dołączyć do strajkującej załogi fabryki VIS (Fabryka Wyrobów Precyzyjnych im. gen. Świerczewskiego). Poszedłem do tamtejszego komitetu strajkowego z propozycją dołączenia załogi MPRE do strajku. Usłyszałem: „Jeśli nas w nocy nie spacyfikują, to dołączajcie do nas".

Co się wydarzyło następnego dnia?

Rano 15 grudnia przekonałem się, że fabryka VIS została w nocy spacyfikowana. Trzeba było się rozeznać w sytuacji. Znów zamknąłem bramy i poprosiłem kierowcę zakładowego samochodu marki Nysa z napisem: „Pogotowie sygnalizacyjne", by pojechał ze mną zobaczyć, czy jeszcze są w Warszawie jakieś strajkujące zakłady. Mimo że na ulicach stały skoty i czołgi, że były częste kontrole, to my w naszym pogotowiu sygnalizacyjnym czuliśmy się bezpiecznie. Na co dzień naprawialiśmy sygnalizację świetlną i milicja nas nigdy nie zatrzymywała. Niestety, rzeczywistość strajkowa była przygnębiająca; największy zakład – Huta Warszawa – spacyfikowana, w FSO strajkowała tylko lakiernia, ale była otoczona przez ZOMO, MZK nie strajkowały, Zakłady im. Nowotki też. O Ursusie nic nie wiedzieliśmy, ale był za daleko i byśmy się do niego nie przedostali. Gdy wróciłem do swoich, musiałem powiedzieć gorzką prawdę: „Pozostaliśmy sami".

Czyli plan awaryjny Solidarności na wypadek próby pacyfikacji kraju zawiódł.

Planu awaryjnego nie było. Spontanicznie zaproponowałem załodze, że zawiesimy strajk i zejdziemy do podziemia. Reakcje były natychmiastowe, zgłosiło się wiele osób, deklarując chęci do konspiracji. Jeden z robotników podszedł do mnie i rzekł: „Panie Adamie, mam 20-letniego syna. Wiem, że on będzie konspirował. Proszę, nich pan weźmie go

pod swoje skrzydła". Kilkanaście osób zaproponowało mi swoje mieszkanie, gdzie mógłbym się ukrywać. Któregoś dnia, jadąc tramwajem, podeszła do mnie kobieta z mojego zakładu. Znaliśmy się tylko z widzenia. Napisała na kartce swój adres i mówi: „Gdyby pan kiedykolwiek potrzebował, to może pan do mnie przyjść i skorzystać z mieszkania".

Tak się zaczęło twoje ukrywanie i działalność podziemna.

Z mojego zakładu miałem kilka grup ulotkowych. Zakładowe samochody wykorzystywałem na potrzeby naszego Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „Solidarności", m.in. takim pogotowiem sygnalizacyjnym Mirek Radzikowski przewoził postrzelonego przez milicję, a uwolnionego przez nas, Jana Narożniaka. Grzesiu Gampel był szefem kolportażu, dostał za to potem dwa lata więzienia. Zaprzyjaźnieni lekarze dawali młodym chłopakom lewe zaświadczenia, żeby ich nie brano do wojska, wystawiali zwolnienia, jak było potrzeba. Rąk do pracy nie brakowało. Ja wtedy się ukrywałem i prowadziłem działalność.

Nie kusiło was do bardziej konfrontacyjnych form oporu?

W lutym 1982 r. w mieszkaniu Janka Wojciechowskiego na spotkanie takiej ekipy młodych, zaangażowanych „wilczków" przyszedł dawny, przedwojenny oficer, żołnierz AK z krzyżem Virtuti Militari na piersi. My w niego wpatrzeni, a on mówi: „Ja tu nie przychodzę się chwalić odznaczeniem, ja tu przychodzę do was zaapelować: to nie jest czas walki zbrojnej". Później przyszła sprawa sierżanta Karosa, nieszczęśliwie śmiertelnie postrzelonego przez chłopców z Grodziska Mazowieckiego. Po broń nie sięgaliśmy, ale nie wyrzekliśmy się obrony. Zasmradzaliśmy kapusiom i kolaborantom mieszkania, rozbijaliśmy samochody, uwolniliśmy ze szpitala postrzelonego Jana Narożniaka, malowaliśmy hasła na murach, wieszaliśmy transparenty i zorganizowaliśmy alternatywne obchody 1 maja, biliśmy się na ulicach 3 maja. Wierzyłem, że spełni się hasło: „Zima wasza, wiosna nasza", że uda się zorganizować zwycięski strajk generalny. Nie udało się. Ale historia pokazała, że oficer AK miał rację, nie należało sięgać po broń, należało działać pokojowo. Żyjemy w wolnej Polsce.

W końcu i ciebie bezpieka złapała.

I tutaj mam świadectwo ogromnego zaangażowania zwykłych ludzi po stronie Solidarności. W lipcu 1982 r. namierzyli mnie i przygotowali łapankę. Miałem wtedy przy sobie klucz do mieszkania na 11. piętrze jednego z wieżowców, bo właściciele wyjechali do Ameryki. Kluczyłem między blokami i jak ich na chwilę zgubiłem, to wbiegłem do klatki schodowej. Założyłem, że przeczekam w mieszkaniu kilka dni, aż esbecja odpuści. Wjeżdżam windą na górę, wyciągam klucz i nagle się orientuję – pomyliłem klatki schodowe...

> Spontanicznie zaproponowałem załodze, że zawiesimy strajk i zejdziemy do podziemia. Reakcje były natychmiastowe, zgłosiło się wiele osób, deklarując chęci do konspiracji. Jeden z robotników podszedł do mnie i rzekł: „Panie Adamie, mam 20-letniego syna. Wiem, że on będzie konspirował. Proszę nich pan weźmie go pod swoje skrzydła"

Jak można pomylić klatki?

Widać można. Byłem w tamtym mieszkaniu tylko raz, a wiesz w tych blokach wszystko jest do siebie podobne. I wtedy zaryzykowałem – zapukałem do pierwszych lepszych drzwi. Najpierw otworzyła mi dziewczyna, jak się po chwili okazało 17-letnia Małgosia, a potem przyszła jej mama. Mówię im: „Jestem ukrywającym się działaczem Solidarności, ściga mnie Służba Bezpieczeństwa, czy możecie mi pomóc i wpuścić do mieszkania?". I one mnie wpuściły. Kobieta dała mi koszulkę swojego syna i czekaliśmy. Małgosia wyszła niby to wyrzucić śmieci i mówi, że oni nadal się kręcą wokół bloku. Po 23.00 nastąpił łomot do drzwi, wchodzą funkcjonariusze, jeden z pistoletem w dłoni, a drugi krzyczy na mój widok: „Wyp... lić tego sk...syna za okno", pewnie tylko dla efektu psychologicznego. Ale matka nie straciła zimnej krwi. Zapala papierosa i mówi: „Czego wy chcecie od Adasia, to narzeczony mojej córki, był u nas na obiedzie". Młoda wpadła w histerię, rzuca mi się na szyję, ja ją próbuję uspokoić, odgrywamy naturalną scenę. Co prawda i tak mnie zabrali, ale to ich spontaniczne zaangażowanie, to zaufanie, jakim mnie obdarzyły, do dziś robią na mnie wrażenie. Po wyjściu z więzienia pojechałem do nich z kwiatami.

Na pewno miałeś w swoim otoczeniu kapusiów SB.

Niejednego. Jeden z członków kierowniczej tzw. piątki, przedstawiciel Zakładów im. Nowotki Wojtek Piotrowski był tajnym współpracownikiem SB zwerbowanym jeszcze w marcu 1981 r. Na początku naszej konspiracji nie donosił. Wysłano też do nas poważnych funkcjonariuszy, jak np. Sławomira Miastowskiego czy Mariana Kotarskiego. Nasza struktura MRKS została rozbita, my poszliśmy do więzienia. Ale się odrodziła i do końca PRL funkcjonowała, chociaż z mniejszą dynamiką.

Jak długo siedziałeś?

Dostałem sześć lat, odsiedziałem dwa. Gdy wyszedłem z więzienia, nie miałem jeszcze 30 lat i zastanawiałem się, co mogę z tak pięknie rozpoczętym życiem zrobić. I wtedy wielkie wrażenie

wywarła na mnie książka Władimira Bukowskiego „I powraca wiatr" wydana przez podziemne wydawnictwo CDN. Miałem potem zaszczyt poznać Bukowskiego, wydać – już w wolnej Polsce – jego „Moskiewski proces". Dobrze się rozumieliśmy. Była tu jakaś wspólnota polityczna, porozumienie ludzi wolności.

Związałem się z Solidarnością Kornela Morawieckiego. SW jasno precyzowała, że celem walki jest niepodległa, solidarna Polska. Wierzyłem, że ta walka z komunizmem o niepodległość Polski być może będzie musiała się zakończyć ofiarą. Tak się pisze nasza historia, że walczymy, giniemy, zamykają nas po to, by w końcu polskość odradzała się w kolejnym pokoleniu. Myślałem sobie, że jeśli ta komuna nie padnie i mojego syna czy córki nie zamkną kiedyś w więzieniu za walkę o wolność, to znaczy, że poniosłem porażkę wychowawczą. Kiedyś jedna z przyjaciółek mojej żony Mirosławy, działaczki Solidarności Walczącej, zarzuciła nam, że jesteśmy nieodpowiedzialni, bo narażamy własne dzieci. Pamiętam, że jej odpowiedziałem tymi prostymi słowami, że najważniejsza w życiu jest niepodległa Polska.

Kiedy zauważyłeś, że Jaruzelski zaczyna wygrywać w tym swoim rozkładaniu społeczeństwa.

Gdy wyszedłem z więzienia w lipcu 1984 r. zobaczyłem, że życie toczy się normalnie, a ludzie przestają wierzyć, że strajkami czy działalnością opozycyjną można coś zmienić. Z każdym rokiem pogłębiała się apatia społeczeństwa. Dlatego obrady „okrągłego stołu" były dla mnie na swój sposób oddechem. Byłem po prostu zmęczony i miałem nadzieję, że to krok w stronę niepodległości. I tak się stało. Mimo że zbrodnie komunistyczne nie zostały rozliczone, mimo że nomenklatura i aferzyści rozkradli majątek narodowy, mimo całego zła, jakie przyniosła zwykłym ludziom III RP, mamy niepodległą Polskę! Dla mnie to największa nagroda. I staramy się naszą ojczyznę uczynić sprawiedliwą i dostatnią dla wszystkich.

Minęło 40 lat, a ty nadal aktywny – społecznie, politycznie, wydawniczo...

Bo niepodległość nie jest dana raz na zawsze. Cały czas wymaga naszej pracy. Zagrożenia jej utraty są bardzo poważne. Miliony ludzi tego nie widzą. Ale też wystarczająco dużo jest tych, którzy są gotowi dużo poświęcić dla jej obrony. Jak organizowałem demonstrację poparcia dla Trybunału Konstytucyjnego, to przyjeżdżali na nią ludzie z całej Polski, za własne pieniądze, oddając swój czas, wsiadając do pociągów, autobusów i samochodów przed świtem, by zdążyć do Warszawy. Najaktywniejsi i najbardziej ofiarni są z Klubów Gazety Polskiej. Wielu kolegów z Solidarności jest biernych. Wiek i zdrowie robią swoje. Ale ja z Solidarności wyniosłem i ten etos, że Polski ciągle bronić trzeba.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

Czytelnictwo zaczyna się od kołyski

Długo, długo przed dniem, w którym dziecko zacznie samodzielnie składać litery, możemy otworzyć przed nim niezwykłą przestrzeń dziecięcej literatury. Przy mądrym wsparciu dorosłego stanie się ona pierwszym wspaniałym przewodnikiem pomagającym młodemu czytelnikowi odkrywać otaczający go świat, rozbudzającym jego wyobraźnię i inspirującym do twórczych praktyk

Nawet krótka chwila, jaką spędzamy z maluchem z książką w ręku, ubogaca nie tylko dziecko, lecz również kształtuje nasze wzajemne relacje.

– Czytanie książek, nawet przez 20 minut dziennie, to najlepsza inwestycja w rozwój dziecka. Zaspokajamy w ten sposób jego potrzeby emocjonalne, pokazujemy, że jest dla nas ważne, wytwarzamy bliskość, bo wspólnie wchodzimy w świat z powieści czy wiersza, przeżywamy losy bohaterów – mówi Emilia Komarnicka-Klynstra, ambasadorka kampanii „Mała książka – wielki człowiek", realizowanej przez Instytut Książki ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Dobrze dobrane książki rozwijają dziecięcy umysł i emocje, kształtują kompetencje językowe i zakorzeniają w kulturze, a jako pięknie zaprojektowane przedmioty umożliwiają pierwsze spotkanie ze sztuką.

– My czytamy naszym synom od urodzenia. Dzieci, którym się czyta, lepiej się uczą, kojarzą fakty, przyswajają języki obce, są bardziej pomysłowe i twórcze – bez końca wymienia zalety czytania ambasadorka.

Wybór dobrej literatury dziecięcej nie jest wbrew pozorom taki prosty. Rynek zalewa mnóstwo pozycji: pięknie wydanych i kuszących okładkami. Na półkach księgarni i bibliotek znajdziemy zarówno klasyczną, znaną nam z własnego dzieciństwa literaturę, jak i sporo dzieł współczesnych autorów. Jak wybrać w tym gąszczu wartościowe utwory?

– Jeśli posiada się w domu książki, które się spodobały, warto sprawdzić, z jakiego są wydawnictwa, bo jest prawdopodobne, że kolejne pozycje będą również godne uwagi. Warto śledzić w mediach społecznościowych opinie ekspertów, znawców literatury dziecięcej oraz blogi i strony prowadzone na Instagramie czy Facebooku przez rodziców. Zachęcam też do dołączenia na Facebooku do grupy „Mała książka – wielki człowiek", gdzie można zapytać o książki, poszukać porad i dowiedzieć się o ciekawych inicjatywach czytelniczych – zachęca Emilia Komarnicka-Klynstra.

Nie żałujmy czasu na czytelniczą ucztę z dziećmi. Niech dobra książka stanie się najlepszym towarzyszem naszego codziennego wspólnego życia!

Materiał powstał przy współpracy z Instytutem Książki | 71/1121/F

eprasa.pl 209ccf7e7a



Wojna Jaruzelskiego



PIOTR GONTARCZYK

13 grudnia 1981 r. na całym obszarze PRL wprowadzono stan wojenny. Przygotowywał go od wielu miesięcy minister obrony narodowej gen. Wojciech Jaruzelski, zawsze mogąc działać swobodnie, czy to za wiedzą władz partyjnych, czy bez niej. Nawet wbrew stanowisku I sekretarza PZPR Stanisława Kani, który chciał pokonać i unieszkodliwić Solidarność metodami polityczno-policyjnymi

Jaruzelski – podobnie jak całe ludowe Wojsko Polskie – pozostawał bowiem poza zasięgiem struktur państwowych Polski Ludowej: żadnego wpływu na działalność Ministerstwa Obrony Narodowej oraz jej ministra (a to formalnie było gwarantowane konstytucją) nie mieli ani Sejm PRL, ani premier, ani nawet kierownictwo PZPR. Jaruzelskiego nikt nie mógł w Polsce odwołać ze stanowiska ani próbować poważniej się wtrącać w sprawy wojska, gdyż i on, i jego żołnierze faktycznie podlegali bezpośrednio ZSRS.

Choć Jaruzelski długo się wahał i hamletyzował w rozmowach z „towarzyszami radzieckimi", obawiając się historycznej odpowiedzialności za ewentualną masakrę, to jednak wykonał zadanie, do którego realizacji został wcześniej mianowany premierem (luty 1981 r.) oraz I sekretarzem KC PZPR (październik 1981 r.). Stan wojenny został wprowadzony, a Solidarność spacyfikowana. Opór społeczny okazał się mniejszy niż ten, z którym potencjalnie musieli się liczyć komuniści. Działania przebiegły sprawnie i pierwszego dnia operacji tliły się jedynie nieliczne gniazda oporu. Jaruzelski nabrał pewności siebie. Triumfował.

Fot. Wojciech Strozyk/REPORTER

Wieczorem 13 grudnia 1981 r. odbyło się posiedzenie rządu PRL pod przewodnictwem Jaruzelskiego. Z jego przebiegu wynika, że liczni szefowie resortów mieli podstawowe wątpliwości dotyczące funkcjonowania poszczególnych ministerstw, instytucji państwowych i organów administracji. Przynajmniej część obecnych na sali nie miała wątpliwości, że cała operacja jest całkowitym bezprawiem z punktu widzenia systemu konstytucyjnego PRL. Niski poziom „aktów prawnych" rozwieszanych na ulicznych plakatach (a nie w Dzienniku Ustaw) oraz ich nieczytelność i niedookreśloność mogły wywołać ból głowy każdego ministra PRL. Padły nawet propozycje dyskusji i wprowadzenia poprawek do już rozwieszonych „aktów prawnych". Jedną z poruszanych kwestii Jaruzelski skwitował w końcu: „Praktycznie proszę stosować już od jutra w życiu, a formuła prawna będzie dana w środę po ostatecznym opracowaniu tego tematu".

Najważniejszym fragmentem tego posiedzenia była dalsza polityka władz wobec społeczeństwa. Jaruzelski mówił wprost, że głównymi narzędziami opanowania sytuacji i zdławienia wszelkiego oporu będą represje i strach. Aparat przymusu miał działać bezwzględnie i brutalnie, podstawowym narzędziem miały być represje oraz wynikająca z przepisów stanu wojennego groźba postawienia przed sądem doraźnym mogącym wydać nawet karę śmierci. Spacyfikowane miały zostać nie tylko nastroje opozycyjne na uniwersytetach czy osoby z kierownictwa zawieszonej Solidarności, lecz przede wszystkim te zakłady pracy i placówki, w których 13 grudnia 1981 r. rozpoczęły się strajki.

Jaruzelski obawiał się użycia siły wobec wielotysięcznych zakładów pracy, takich jak Huta im. Lenina w Krakowie. Tu zalecał zastosowanie kombinacji działań: od nacisku propagandowego, poprzez odcinanie prądu i ogrzewania, do użycia specjalistycznego sprzętu nagłaśniającego powodującego rozstrój nerwowy, który dziś w nowocześniejszej wersji nazywa się bronią soniczną. Jaruzelski instruował: „Mamy [...] te elektroakustyczne rozgłośnie typu »burza«, na kilka kilometrów szyby pękają, różne środki, to musi być bombardowanie".

Ale w innych zakładach pracy pacyfikacje miały być pokazowe i brutalne, tak aby wszyscy zaczęli się władzy bać. Pokaz siły i bezwzględności miał służyć zastraszeniu ludzi, którzy dla działaczy formatu Jaruzelskiego czy wicepremiera Mieczysława Rakowskiego nie byli niczym więcej niż zbuntowanym motłochem. Co niezwykle ważne, dyspozycje Jaruzelskiego dla jego ministrów zostały wcześniej ustalone na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR.

Polecenia wydane przez I sekretarza KC PZPR i premiera Jaruzelskiego były wykonywane. 15 grudnia 1981 r. specjalny pluton ZOMO użył broni podczas tłumienia strajku w Kopalni Węgla Kamiennego „Manifest Lipcowy". Dzień później brutalnie spacyfikowano strajkujących w kopalni Wujek. Dziewięciu górników zginęło, a ponad 20 zostało rannych. Już po upadku komunizmu śmierć górników z Wujka Jaruzelski przedstawiał jako „straszną tragedię" milcząc o tym, jaką rzeczywiście rolę w tej sprawie odegrał.

Komunistyczny zbrodniarz chroniony przez system i elity III RP ani za stan wojenny, ani za zbrodnie, za które odpowiadał, takie jak pacyfikacja Wujka, nigdy nie poniósł odpowiedzialności.

Autor jest pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej

Fragmenty tajnego stenogramu posiedzenia rządu z 13 XII 1981 r.

Prezes Rady Ministrów W[ojciech] Jaruzelski:
Dzisiaj na ten temat mówiliśmy [...] na posiedzeniu Biura POLITYCZNEGO. Najbliższe dni zadecydują o tym, jak dalej będą się toczyły wydarzenia, trzeba mieć tego pełną świadomość i pełną odpowiedzialność za naszą pracę w tym właśnie okresie. Jest ten stan szoku społecznego i stan szoku w obozie nam nieprzyjaznym i to trzeba utrzymać, i to trzeba pogłębiać i dlatego nie może być takich sytuacji, że będą powstawały różnego rodzaju naruszenia, do których myśmy się właściwie przyzwyczaili przez tych 15 miesięcy i będzie nam bardzo ciężko bez nich w początkowym okresie obyć i znów tam gdzieś strajkują, tam gdzieś okupują, to jeszcze zaczekamy, jeszcze popatrzymy. Nie, tutaj działanie musi być absolutnie radykalne. Prokurator, milicja i działanie, i zobowiązuję w tym względzie towarzyszy, towarzyszy ministrów, to trzeba by nawet jeszcze i dzisiaj przekazać teleksami odpowiednio czy innymi drogami do wojewodów, do wielkich zakładów, ażeby te reakcje były konsekwentne, żeby utrzymywać ten stan wyegzekwowania wszystkiego tego, co wynika z nadzwyczajnych ustaw. Jeśli tutaj pójdziemy na jakieś złagodzenia, jutro możemy wszystko stracić. Jest to więc bardzo ważna sprawa i chciałbym, żebyście mieli tutaj poczucie, że ten cały układ wojskowy będzie w to włączony, powinien być w to włączony. Proszę generała [Józefa] Urbanowicza, żeby to przekazać niezwłocznie też i pilotować takie działania, które by uwiarygodniły wszystko to, co wynika z pojęciem stanu wojennego. Proszę również zwrócić dużą uwagę nie dlatego, że ja to przemówienie wygłosiłem, ale że ono stało się w jakimś sensie programem i wszystko, co tam jest powiedziane, musi być pod lupą i konsekwentnie egzekwowane. [...] Sprawa strajkujących zakładów. Wielkie zakłady jak Huta im. Lenina itd. mogą być trudności przecież w tym praktycznym rozwiązaniu problemu [uczestniczyć]. Ja oczywiście nie chcę tutaj omawiać technologii, lepiej ją ode mnie towarzysze czują, ale pozbawienie, odcięcie energii, odcięcie wody, odcięcie surowców. Jednym słowem trzeba mieć już od razu z miejsca określone modele działania na każdy z tych przypadków. Nie może być tak, że będziemy tańczyć koło tego zakładu przez tydzień, namawiać, prokurator nie wejdzie [...]

A teraz z tego dekretu trzeba wybrać takie elementy, które ten szok podtrzymają. Dla przykładu, i to musi być mówione w radio, pisane w gazecie dużymi literami, że służba w jednostkach zmilitaryzowanych i w obronie cywilnej równa się służbie żołnierza w czasie wojny. Niewykonanie zadania przekazanego przez kierownika zakładu w jednostkach zmilitaryzowanych równa się niewykonaniu zadania przez żołnierza na polu bitwy. To musi być wypięte. Ja chciałbym tu zwrócić uwagę jeszcze raz, że tu musimy wygrać po prostu psychikę ludzką, tu już nie chodzi o sam goły przepis. Raz napisane, a teraz trzeba dać elementy i teraz im mniej ludzi wie, czy jest zmilitaryzowany, czy nie jest zmilitaryzowany, to lepiej, bo każdy, kto tam zrozumie u nas w Polsce zmilitaryzowany, na wszelki wypadek mówi: ja będę siedział cicho, bo a nóż mi grozi kara śmierci".

Źródło: Archiwum Akt Nowych, zespół Urząd Rady Ministrów, sygn. 135/42.



„Gorsi jesteście od hitlerowców”

Milicjanci pacyfikujący kopalnię Wujek nie ograniczali się do strzelania do górników. Ich bestialskie zachowanie wobec rannych i poszkodowanych oraz osób niosących im pomoc wywołało szok. Tak duży, że pojawiły się opinie, że zachowywali się gorzej niż hitlerowcy...



GRZEGORZ MAJCHRZAK

W reakcji na wprowadzenie w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego robotnicy i studenci organizowali strajki okupacyjne. Peerelowskie władze skoncentrowały się na likwidacji protestów i odblokowaniu dużych zakładów pracy, które miały decydujący wpływ na sytuację w poszczególnych miastach czy regionach. Najpierw do strajkujących udawali się przedstawiciele prokuratury, Milicji Obywatelskiej i Wojska Polskiego w celu przedstawienia konsekwencji prawnych ich protestu. Kiedy argumenty słowne okazywały się nieskuteczne, organizowano demonstracje siły oraz przystępowano do blokady danego zakładu, czemu towarzyszyły zmiękczające opór apele wystosowywane przy użyciu urządzeń nagłaśniających. Kiedy i to zawodziło, pozostawała tylko siłowa pacyfikacja, z udziałem Milicji Obywatelskiej i ludowego Wojska Polskiego (w tym czołgów i transporterów).

Jak wynika z materiałów wojskowych, doszło do tego w co najmniej 62 przypadkach. Najbardziej brutalny, najkrwawszy przebieg miało odblokowanie kopalni Wujek w Katowicach 16 grudnia 1981 r. Od strzałów funkcjonariuszy Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej zginęło dziewięciu górników, a kolejnych 23 trafiło do szpitali – zomowcy strzelali krótkimi seriami przez ok. 40 min. W ten sposób zakończono trwający tam od 13 grudnia strajk.

NIEBEZPIECZNA MISJA

Zarówno w trakcie pacyfikacji kopalni, jak i tuż po jej zakończeniu pomocy poszkodowanym próbowali udzielać pracownicy Pogotowia Ratunkowego w Katowicach. Nie okazało się to jednak zadaniem łatwym ani tym bardziej bezpiecznym. Wielu z nich zostało pobitych przez rozjuszonych milicjantów, nie wspominając o ich lżeniu przez tzw. stróżów porządku. „W trakcie wysiadania [z karetki – GM] zostałem uderzony z tyłu dwa razy pałką w plecy i szyję. W szyję zostałem uderzony przypuszczalnie rękojeścią pałki [...] Po tym uderzeniu straciłem przytomność na około pięć minut [...] Gdy podszedłem do karetki, zauważyłem, że w niej był sanita-

Fot. IPN

riusz, który trzymał się za oko, i powiedział: »patrz co mi zrobili«" – zeznał 29 grudnia 1981 r. Alfred Garbas, kierowca sanitarki. „Funkcjonariusz ten powiedział: »my wam pokażemy, gdzie jest ambulatorium« […] Przed karetką kilku funkcjonariuszy, nie potrafię powiedzieć ilu, zaczęło mnie bić pałkami po plecach i pośladkach. Po kilku uderzeniach zaczęłam uciekać pomiędzy bloki mieszkalne" – relacjonowała z kolei przesłuchiwana tego samego dnia pielęgniarka pogotowia Ilona Łysko.

BICIE RANNYCH

Jeszcze brutalniej traktowani byli ranni górnicy. Jak zeznała 9 stycznia 1982 r. lekarka Maria Poleszczuk: „Od bezpośredniego świadka wiem o fakcie wyrwania przez funkcjonariusza, prawdopodobnie ZOMO, założonego drenażu pacjentowi z przestrzelonym płucem […] ze słowami: »ty skurwysynie w pracy się skaleczyłeś«. Lekarz udzielający pomocy zaprotestował, został uderzony pałką w głowę ze słowami: »jeszcze się skurwysynie w kryminale spotkamy«". Jak z kolei wspominał Stanisław Nadolny, jeden z rannych górników, któremu 16 grudnia 1981 r. udzielono pomocy: „Gdy jechaliśmy do szpitala, milicja zatrzymała karetkę i chcieli nas z niej wyrzucić. Nie zrobili tego, bo lekarz powiedział, że odpowiada za rannego i się nie zgodził. Później od jednego kierowcy z pogotowia dowiedziałem się, że jego też zatrzymali i wybili szybę w karetce. Jechał z rannymi, nie chciał się zatrzymać, to milicja zaczęła w auto walić pałkami. Jak auto się zatrzymało, pobili rannego górnika". Nic zatem dziwnego, że jedna z lekarek (Urszula Wenda) pomagająca poszkodowanym wykrzyczała nawet do przeszkadzających jej w tym funkcjonariuszy MO: „Gorsi jesteście od hitlerowców! Jak po mojego ojca przyszli, to się kulturalniej zachowywali".

BEZPIECZNE NIE BYŁY NAWET DZIECI

Milicjanci bili nie tylko górników czy pracowników Pogotowia Ratunkowego, którzy udzielali im pomocy, ale nawet dzieci. Doszło do tego w trakcie rozpędzania osób zgromadzonych pod kopalnią Wujek przed przystąpieniem do ostatecznego szturmu. „W pewnym momencie od strony kopalni biegł chłopak w wieku może około 10 lat. Grupa zomowców doskoczyła do niego i jak pospolitego przestępcę zaczęli go bić. Po czym zostawili tego chłopca leżącego na śniegu. W końcu przyjechało pogotowie. Kiedy sanitariusze chcieli wsunąć nosze do karetki, zomowcy nie pozwalali na to. Gdy lekarka stanęła w obronie swego małego pacjenta, któryś z zomowców uderzył ją. Lekarkę zaczął bronić sanitariusz i on oberwał" – relacjonowała mieszkanka katowickiego osiedla Brynów Janina Przydatek.

PRAWDY NIE DAŁO SIĘ UKRYĆ

Sprawa bestialskiego zachowania funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej pod Wujkiem została nagłośniona. Stało się tak, gdyż poinformowały o niej zachodnie media – jako pierwszy 21 grudnia 1981 r. mówił o tym – na antenie Radia Wolna Europa – krytyk i teoretyk teatru prof. Jan Kott. Peerelowska propaganda zarzuciła mu kłamstwo, wręcz „pobożne życzenia" niepoparte dowodami. Jednak istniało pisemne potwierdzenie jego słów. Był nim „Protokół dyspozytorni działu pomocy doraźnej Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Katowicach [z] 16 grudnia 1981 r.". Dotarł on na Zachód i był przywoływany na antenie RWE w połowie stycznia 1982 r. Został również opublikowany w raporcie Komitetu Helsińskiego na temat przestrzegania praw człowieka i obywatela w pierwszym roku stanu wojennego. Jak z niego wynika, pobitych zostało pięciu kierowców, dwóch sanitariuszy, a także dwie sanitariuszki [Olga Kabat i Ilona Łysko]. Z tego powodu najciężej pobity – jeden z kierowców [Alfred Garbas] został nawet hospitalizowany „w stanie ciężkim". Zresztą jeden z kierowców [Adam Kopera] został nie tylko pobity, ale też zatrzymany i „odprowadzony w nieznanym kierunku".

CICHY PROTEST

Bez rozgłosu natomiast zaprotestowała trójka odważnych lekarzy z Górniczego Centrum Rehabilitacji „Repty" w Tarnowskich Górach – Józef Kowalczyk, Ignacy Pietruszka i wspomniana wcześniej Maria Poleszczuk. 18 grudnia 1981 r. napisali oni list do I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, premiera i przewodniczącego Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego Wojciecha Jaruzelskiego. Wyrażali w nim „głębokie oburzenie" z powodu potraktowania dwa dni wcześniej swoich kolegów. I stwierdzali: „Bicie osób udzielających pomocy, lżenie ich ordynarnymi słowami, wyciąganie rannych z karetek, zrywanie im opatrunków tamujących krwotoki, wyrywanie drenażu z jamy opłucnowej u rannych z uszkodzeniem płuc jest aktem bestialstwa i podeptaniem ludzkiej godności. Takie traktowanie rannych i osób udzielających pomocy nie może znaleźć usprawiedliwienia w obronie jakiejkolwiek ideologii i nikt nie ma prawa wydawania takiego rozkazu. Panie Generale! Nawet podczas ostatniej wojny zwyrodnialcy hitlerowscy mieli szacunek dla lekarzy i dla patroli wynoszących rannych […] Tym bardziej zaistniałe fakty są godne potępienia, że to Polacy Polakom zgotowali ten los". Adresat, choć list do niego trafił [za pośrednictwem prymasa Polski Józefa Glempa], nigdy na niego nie odpowiedział. Co nie znaczy, że nie zareagowały na niego peerelowskie władze – listem zainteresowała się prokuratura, a jego autorami Służba Bezpieczeństwa.

BEZ SPRAWIEDLIWOŚCI

Na ich szczęście list nie został upubliczniony, więc nie było podstaw do postawienia ich przed sądem. Tak się stało w przypadku Aliny Muchy (dowódcy warty w straży przemysłowej kopalni Wujek), która została oskarżona m.in. o to, że miała rozpowszechniać nieprawdziwe informacje, „twierdząc publicznie, iż funkcjonariusze ZOMO dobili w karetkach pogotowia trzech rannych górników". Był to jeden ze stawianych jej zarzutów. Innym był „udział w strajku w zmilitaryzowanej KWK »Wujek«" oraz kierowanie dostarczeniem żywności dla protestujących górników. Ostatecznie 9 lutego 1982 r. została uniewinniona i po nieco ponad miesiącu opuściła areszt tymczasowy, do którego trafiła 3 stycznia tamtego roku.

W przeciwieństwie do niej nigdy przed sądem – nawet już w wolnej Polsce, po 1989 r. – nie stanęli odpowiedzialni za to, co działo się pod kopalnią Wujek, czyli bicie rannych i poszkodowanych oraz personelu medycznego udzielającego im pomocy.

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

Byłam w szoku, ale się nie bałam



Michał Karnowski rozmawia z ***Elżbietą Królikowską-Avis***, cenioną publicystką, pisarką, tłumaczką i wieloletnią korespondentką polskich mediów w Londynie, w czasach PRL aktywną uczestniczką opozycji antykomunistycznej, odznaczoną za wybitne zasługi na rzecz odzyskania niepodległości i suwerenności Polski Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Wolności i Solidarności oraz medalem Pro Patria

Pani bogatą biografią, wielkim dorobkiem można by obdzielić kilka osób i wciąż byłoby o czym mówić. Czy któryś z tych obszarów jest dla pani ważniejszy? Działalność antykomunistyczna? Krytyka filmowa? Wielka Brytania i sprawy międzynarodowe? Działalność charytatywna i społeczna?

Elżbieta Królikowska-Avis: Nie, bo to są puzzle składające się na pełny obraz. W życiu są różne etapy, dojrzewamy do pewnych spraw, zainteresowań. Na to, co robimy i jak, wpływają też życiowe okoliczności, napotkani ludzie.

To spróbujmy opowiedzieć tę historię po kolei. Krytyka filmowa to naturalna kontynuacja filmoznawstwa na Uniwersytecie Łódzkim?

Przez 30 lat zajmowałam się zawodowo recenzowaniem filmów. Najpierw – zgodnie z dyplomem – krytyka filmowa i telewizyjna, potem specjalizacja: problematyka kina hiszpańskiego i latynoamerykańskiego. Temu ostatniemu tematowi poświęciłam dwie moje pierwsze książki: „Śladami Buñuela" i „Opowieści kina metyskiego", pionierskie na polskim rynku, właściwie dotąd nie mam następców. Potem – ponieważ takiej książki również u nas nie było – napisałam, a wydawnictwo Nasza Księgarnia opublikowało, encyklopedię filmową dla dzieci, która ukazała się w 1989 r.

Jak się zaczęła ta filmowa pasja? Została wyniesiona z domu?

Poniekąd. Tata był handlowcem po WSH, mama – jak to się wtedy mówiło – przy mężu. Ale pochodziła z domu otwartego na sztukę, uczyła się muzyki u znanego przedwojennego kompozytora, a jej brat Tadeusz był malarzem. Tak więc rodzice posyłali mnie na język angielski, na zajęcia plastyczne, z miernym skutkiem do szkoły muzycznej. To był najlepszy kapitał, jaki rodzice mogli nam, dzieciom, przekazać. Plus wartości i nawyk ciężkiej pracy – już w latach 70. pod wpływem fascynacji hiszpańskojęzyczną kulturą nauczyłam się tego języka.

Fot. Andrzej Wiktor

Czy dom przekazał pani jakieś wyraźne, jednoznaczne podejście do historii Polski? Do polskości?

Już jako nastolatka wiedziałam, co to był Katyń, czym była Armia Krajowa. Wzorem odwagi i prawej postawy życiowej był dla mnie ojciec. Już po czterdziestce zaproponowano mu awans do Centrali Handlu Zagranicznego. Ale był warunek: miał się zapisać do PZPR. Odmówił. I mając żonę i trójkę dzieci na utrzymaniu, rzucił posadę, zrobił kursy ogrodnicze i osiągnął sukces w tej nowej branży.

Jaka miałam być, pochodząc z takiego domu? Kiedy więc Witold Sułkowski, mój kolega ze studiów, a potem znany dziennikarz Głosu Ameryki, zapytał, co sądzę o tym, co się dzieje dookoła, powiedziałam mu, co myślę. Potem wspomniał, że zna ludzi, którzy postanowili zawalczyć o Polskę niepodległą i demokratyczną. I tak wstąpiłam do organizacji niepodległościowej Ruch.

Czy interesowała się pani wtedy polityką?

W PRL to polityka interesowała się nami. Otaczała nas ciasno, trudno było się jej wymknąć. Do Ruchu wstąpiłam z powodów moralnych oraz politycznych, w takiej właśnie kolejności. Uważałam, że można i trzeba coś robić. Byłam młoda i chciałam działać na rzecz Polski. Tak jak niegdyś filomaci i filareci, powstańcy listopadowi i styczniowi, legioniści, dziewczyny i chłopcy z AK. Historia, literatura, atmosfera domu – to się przecież musiało jakoś odkładać w głowie i w sercu.

Czym był Ruch?

Podziemną organizacją niepodległościową zrzeszającą głównie ludzi młodych, która powstała w połowie lat 60. i odrzuciła PRL – jako substytut państwa, jako sowiecką kolonię. Naszym manifestem ideowym była deklaracja „Mijają lata", która zakładała odzyskanie niepodległości, a potem zbudowanie Polski wolnej i demokratycznej, czego gwarantem miały być wolne wybory.

Na jakiej platformie ideowej stanęliście?

Wtedy jeszcze sobie nie uświadamialiśmy, że w organizacji widać było kilka nurtów, choć dziś można już to sprecyzować. Była grupa wywodząca się z duszpasterstwa, druga to centryści, do której ja też należałam, i trzecia – powiedzmy „lewica". Ale te różnice zaczynały się dopiero nieśmiało klarować. Na początku wszystko nas jeszcze łączyło, wszyscy chcieliśmy ojczyzny spod znaku „Jeszcze Polska nie zginęła", a nie „Międzynarodówki". U podstaw naszego wymarzonego państwa i prawa miały być wartości chrześcijańskie, a nie te z puli rewolucji francuskiej z 1789 r., tak jak zdefiniowała to kontrkulturowa rebelia 1968 r.

Zaczęło się od działalności wydawniczej?

Tak, ale najpierw musieliśmy zdobyć sprzęt. Organizowaliśmy więc akcje ekspropriacyjne.

Jak Organizacja Bojowa PPS Józefa Piłsudskiego?

Tak, podziwialiśmy słynną akcję zdobywania pieniędzy pod Bezdanami. Choć dobrze, że do czegoś takiego nie doszło. Poprzestaliśmy na pozyskaniu kilku maszyn do pisania oraz powielacza. Wydawaliśmy biuletyn, raz na miesiąc, raz na dwa miesiące. Tam ukazał się wspomniany manifest.

Jak był rozprowadzany?

Kolportaż był oczywiście tajny, z rąk do rąk. Podobnie jak wszystko, co wiązało się z jego wydawaniem. Pamiętam, jak z Łodzi przewoziłam jedną z pozyskanych maszyn do pisania. Była wyjątkowo ciężka, z trudem wysiadłam z nią z pociągu na Dworcu Głównym w Warszawie – dworca Warszawa Centralna jeszcze wtedy nie było. Nagle widzę na peronie dwóch milicjantów. Nie myśląc wiele, poprosiłam ich grzecznie o pomoc, a oni pomogli mi wnieść ekspropriacyjny sprzęt do taksówki.

Gdzie konkretnie tę maszynę pozyskano?

Z instytucji publicznych. Natomiast te akcje były potem oczywiście przez władze wykorzystywane do nazywania nas pospolitymi kryminalistami.

Skąd była gotówka?

Tylko z naszych składek.

Ruch najbardziej pamiętany jest z próby zniszczenia muzeum i pomnika Lenina w Poroninie. Pomysł przedstawił w kwietniu 1970 r. Stefan Niesiołowski, a zyskał akceptację, bo na zebraniu nie było akurat Andrzeja Czumy.

Nie pamiętam szczegółów. Byłam kilka razy na zebraniach w Warszawie, ale o tej decyzji dowiedziałam się później. Nie zostałam nawet do tej akcji wyznaczona, ale ktoś się wycofał, więc zaproponowano mi udział. Zgodziłam się, uznałam to za naturalną kontynuację pracy w organizacji. Trzeba pamiętać o kontekście: 100-lecie urodzin Lenina, niezwykle propagandowo nagłaśniane. To była końcówka rządów Gomułki, pół roku przed buntem na Wybrzeżu. Chcieliśmy dać społeczeństwu sygnał, że jest silny opór, sprzeciw, że jeszcze nie wszystko stracone.

Jaka miała być pani rola w akcji?

Wspólnie z Andrzejem Woźnickim z Łodzi miałam organizować alibi dla ludzi, którzy pojechali bezpośrednio do Poronina z zadaniem uruchomienia pozostawionych w muzeum materiałów wybuchowych.

Do czego nie doszło, bo w przeddzień akcji, 20 czerwca 1970 r., bezpieka dokonała pierwszych 24 aresztowań. Co zresztą pokazuje, jak szeroko zakrojony był to plan.

Ruch był organizacją ogólnopolską. Sześć ośrodków miejskich, ponad 130 osób. A jednak esbecja wpadła na nasz trop późno. Młodzież była tak ideowa, że nie było między nami agentów. Dopiero za Andrzejem Czumą przywlókł się z Gdańska niejaki Sławomir Daszuta – szpicel. Śledził Andrzeja i wpadł na informację, że szykuje się „coś większego". SB długo nie wiedziała, co to ma być. Dziś oczywiście się cieszę, że do akcji ostatecznie nie doszło. Nasze życie – jak w przypadku braci Kowalczyków – zapewne by się skończyło, zanim na dobre się zaczęło.

Kiedy panią aresztowano?

21 czerwca 1970 r. Z Andrzejem Woźnickim, z którym miałam jechać do Szczyrku, dowiedzieliśmy się, że są aresztowania. W tej sytuacji zdecydowaliśmy się wyruszyć z Łodzi do Warszawy, do Andrzeja Czumy, by zapytać, co się dzieje. Oczywiście wpadliśmy prosto w „kocioł". Próbowaliśmy tłumaczyć esbekom, że to tylko towarzyska wizyta, ale oni w takie akurat zbiegi okoliczności nie wierzyli. Zabrano mnie do aresztu na Rakowiecką 37.

Dzisiaj jest tam Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL. Rozpoznała pani swoją celę?

Tak, po widoku za oknem, który utkwił mi w pamięci, a niemal się nie zmienił. W celi miałam oczywiście szpicla – Barbarę Krassowską. O jej funkcji kapusia dowiedziałam się 20 lat później z Radia Wolna Europa. Ostatecznie dostałam dwa lata więzienia, a gdyby nie zmiana Gomułki na Gierka, dostałabym 13, co obiecywał mi solennie prokurator Janusz Michalski.

> Bardzo przeżyłam moment, kiedy przyjechaliśmy z MSW na Rakowiecką 37. Kazano mi zdać cywilne ubranie, dostałam mundurek i zaczęto się do mnie zwracać per wy. Momentalnie z osoby wolnej stałam się więźniarką

Sporo emocji budziło swego czasu pytanie o zachowanie w śledztwie Stefana Niesiołowskiego, z którym była pani wtedy związana. Jak dziś pani na ten wątek patrzy?

No comment.

Ile czasu spędziła pani w więzieniu?

Półtora roku, z tego dziewięć miesięcy w Łodzi. Zresztą wożono mnie po całej Polsce, bo rozprawy toczyły się w kilku różnych miastach. Mogę powiedzieć, że niewiele jest kobiecych więzień, których bym nie poznała. Łódź, areszt przy ul. Kraszewskiego, 11-osobowa cela, ja razem z więźniarkami kryminalnymi, stres, napięcie, awantury, bijatyki małolat. I niech mnie nikt nie przekonuje, że istnieje kodeks honorowy kryminalisty, bo nie istnieje. Złodziejki, rozbójczynie, Cyganki siedzące za zakazany wtedy handel walutą. Mogłam zresztą wtedy zmienić zawód. Jedna z call girls z Grandki, która siedziała za obrót walutami, zaproponowała, bym uczyła je angielskiego, który znałam. Zapytała też, ile płacą mi za jeden artykuł? Gdy podałam sumę, roześmiała się i powiedziała: „Nie bądź głupia, jak nas poduczysz języka, to bez wkupu wejdziesz do Grand Hotelu".

W czasie gdy siedzi pani w areszcie, jest już pani dziennikarką?

Do „Ekranu" zaczęłam pisać, będąc jeszcze na studiach. Ale oczywiście po wyjściu z więzienia musiałam zaczynać od nowa. Najpierw zatrudniono mnie – ciekawe! – w domu kultury jako instruktora ds. młodzieży, następnie jako tłumaczkę instrukcji maszyn kupowanych za granicą przez Zjednoczenie Gospodarki Komunalnej. Właściwie do końca lat 70., jako element niepewny politycznie, nie mogłam dostać etatowej pracy, choć od 1975 r. pozwolono mi pisywać do „Ekranu". Pomagali mi jednak ludzie dobrej woli – często nie ci, na których liczyłam.

Kogoś szczególnie pani zapamiętała?

Szukając pracy innej niż tłumaczenie instrukcji obsługi maszyn do przycinania trawników, trafiłam do łódzkiej szkoły filmowej. Patrzę, idzie reżyser Grzegorz Królikiewcz. Ja go znałam, on mnie nie. Ale podchodzę i mówię: „Jestem byłym więźniem politycznym i byłym krytykiem filmowym. Wiem, że pan właśnie zaczyna film. Czy mógłby mnie pan zatrudnić?". Popatrzył chwilę i mówi: „Jest pani zatrudniona". Ostatecznie do tego nie doszło, bo pojawiły się propozycje pisania w magazynie filmowym. Ale był to dla mnie ważny gest. W dramatycznej sytuacji często pomagają nam ludzie obcy, a przyjaciel przechodzi na drugą stronę ulicy.

Doświadczyła pani tego?

Zdarzało się, jak każdemu, ale Pan Bóg dał nam piękny dar zapominania. Życie niesie zresztą różne, zaskakujące sytuacje, z którymi trzeba się uporać. W więzieniu poznałam np. Eugenię Pohl, która na tle współwięźniarek wyróżniała się inteligencją, oczytaniem i ogładą. Kochała muzykę klasyczną, a gdy głośnik w celi transmitował Mozarta czy Bacha, jej oczy napełniały się łzami. Jej prycza była na górze, moja na dole. Wieczorem mówiła: „Pani Elżuniu, rączka na dobranoc". Wspólnie tworzyłyśmy jakąś namiastkę normalności. I tak to trwało. Aż któregoś dnia w „Dzienniku Łódzkim" przeczytałam o rozprawie Eugenii Pohl – volksdeutschki, która w czasie wojny w obozie koncentracyjnym na Przemysłowej zakatowała 11 polskich dzieci. Zapytałam: „Pani Geniu, co to jest?". Zaczęła płakać, a ja już wiedziałam, że to prawda. Podeszłam do drzwi, zabębniłam i mówię do oddziałowej: „Pani oddziałowa albo ona wychodzi z tej celi, albo ja". Lepiej oczywiście zostać w starej celi, gdzie wszystko jest już rozpoznane. Oddziałowa powiedziała: „Pohl, pakujcie się".

Spotkała ją pani tam jeszcze?

Nie. Wiem, że nie wychodziła przez kilka miesięcy na spacerniak, bała się, by więźniarki jej nie pobiły. Dostała 25 lat więzienia, z czego 15 lat przesiedziała w więzieniu Bydgoszcz-Fordon. Słyszałam, że uwiła sobie potem jakiś romans z małolatą.

Spotkała się pani z agresją?

Bywały dramatyczne momenty, więzienie to szkoła przetrwania. Pamiętam więźniarkę o nazwisku bodaj Wójcik,

Fot. Andrzej Wiktor

była „tramwajarką", w języku przestępczym: złodziejką kradnącą w tramwaju. Siedziała trzy miesiące. Wiedziała, że mój ojciec ma szklarnie, kwiaty sezonowe, w 11-osobowej celi ludzie są na siebie skazani, opowiadają historie, każdy wszystko słyszy. Po jakimś drobnym konflikcie ona mówi: „Pójdę i wybiję okna w szklarniach twojego ojca". Wiedziałam, że oznaczałoby to zmarnowanie całego roku jego pracy. Złapałam stołek i powiedziałam: „Jeszcze raz to powiesz, to cię zabiję". Ona przestraszyła się i zaczęła krzyczeć: „Pani oddziałowa, pani oddziałowa, ona chce mnie zabić!". Oddziałowa otworzyła drzwi i powiedziała: „Co ty, Wójcik opowiadasz, przestań wznawiać". Co w gwarze z okolic Łodzi znaczyło „kłamać", nie „konfabulować". Wiedziała, że musiałam to powiedzieć. A ja się przekonałam, że człowiek nigdy nie zna siebie do końca.



Bała się pani czasami?

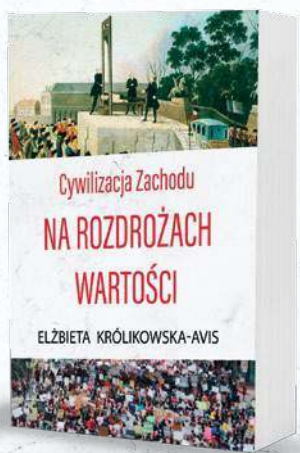
Aresztowanie było dla mnie zaskakującym momentem. Bardzo go przeżyłam. Kiedy przyjechaliśmy z MSW na Rakowiecką 37, kazano mi zdać cywilne ubranie, dostałam mundurek i zaczęto się do mnie zwracać per wy. Momentalnie z osoby wolnej stałam się więźniarką. A czy się bałam? Nie. Byłam w szoku, ale się nie bałam. To są jednak dwie różne rzeczy. Dziś uważam, że dobrze, iż to wszystko się zdarzyło. To była moja przygoda życia, bardzo trudna, ale i bardzo pouczająca, i – jeśli tak mogę powiedzieć – „szlifująca człowieczeństwo".

Miała pani wsparcie rodziny?

Ogromne. Jako nastolatka miałam chwilami trudne relacje z ojcem, ale tuż po moim uwięzieniu otrzymałam od niego piękny list. Napisał, że jest ze mną, że zawsze mogę na niego liczyć, że bez względu na to, ile będę potrzebowała pieniędzy na wypiskę, dostanę. Wszystko się wyprostowało.

Jak pani przeżyła lata 80.? Jak pani pamięta stan wojenny?

W 1980 r., po ośmiu latach karencji, otrzymałam etat w bardzo dobrym tygodniku „Film". Ale wybuchła Solidarność. Jak niemal wszyscy, których znałam, włączyłam się w działania i w konsekwencji zostałam negatywnie zweryfikowana, czyli straciłam pracę. Ale miałam już wtedy reputację dobrego krytyka filmowego i koledzy pomogli mi znaleźć pracę w „Antenie", wydawanej przez TVP.



Przez wiele lat była pani korespondentką polskiej prasy w Wielkiej Brytanii. Jak się tam pani znalazła?

W 1989 r. na festiwalu filmowym w Troi (Portugalia) poznałam Petera Avisa, dziennikarza politycznego znanego „Observera". Małżeństwo, propozycje pisywania do polskiej prasy o Wielkiej Brytanii, od polityki do sztuki. Korespondentka z Londynu, praca dziennikarska i broadcasterska, radio i telewizja, członek The London Correspondents' Service. I tak minęło 26 lat. Po powrocie, od 2016 do 2018 r. pracowałam jako ekspert ds. brytyjskich w MSZ, dziś ekspert niezależny m.in. w Komitecie Sterującym Polsko-Brytyjskiego Forum Belvedere, a ostatnio autorka dwóch książek.

Wydała pani kilkanaście wspaniałych książek. A teraz ukazuje się bardzo ciekawa „Cywilizacja Zachodu na rozdrożach wartości". Jak pani diagnozuje to rozdroże?

Odpowiem słowami książki: dzisiejsza lewica to rodzaj sieci, coraz ciaśniejszej i coraz bardziej krępującej wolne działanie państw i instytucji, zagarniającej coraz większe obszary ludzkiej aktywności. Chodzi jej o obalenie dawnego porządku moralno-prawnego, wykreślenie ze społecznej pamięci chrześcijaństwa i konserwatyzmu jako alternatywy, zniszczenie tożsamościowej pamięci o narodzie i historii, tradycji i dobrych obyczajach. Moje komentarze pokazują coraz bardziej odczuwalny czerwony terror, pojawianie się nowych zjawisk jak fuck culture, cancel culture, woke culture, revolutionary glamour w Europie, Amerykach, Afryce, Azji. Czy konserwatyzm ma tu jeszcze jakieś szanse? Trudno powiedzieć. Ale 200 lat temu Edmund Burke pisał, obserwując rewolucję francuską: „Wszystko wydaje się zatracać swój właściwy charakter w tym chaosie wszelkich rodzajów zbrodni i szaleństwa". A przecież od tej pory wydarzyło się parę wspaniałych rzeczy. I być może jest nadzieja na więcej.



O POLITYCE WASZYNGTONU WOBEC ROSJI

Ustępstwa twardą



MAREK BUDZISZ

Po rozmowie online z Władimirem Putinem Joe Biden szybko skonsultował się z liderami czterech państw Europy Zachodniej i zapowiedział rozpoczęcie negocjacji z Moskwą na temat obaw Rosji w związku z Ukrainą i sytuacją w zakresie bezpieczeństwa na wschodniej flance. Biden powiedział, że zamierza się spotkać „co najmniej" z czterema europejskimi członkami NATO, wymieniając Francję, Wielką Brytanię, Włochy i Niemcy, co pozwala mieć nadzieję, że ta lista nie jest zamknięta i być może któreś z państw europejskiego Wschodu zostanie do tego grona doproszone. Jednak tematyka rozmów – a amerykański prezydent wspomniał o „wspólnym zastanowieniu się", co można zrobić, aby obniżyć temperaturę na wschodniej flance NATO – niezależnie od tego, kto w tych negocjacjach będzie uczestniczył, raczej nie budzi wątpliwości. Tym bardziej że Biden z rozbrajającą szczerością oświadczył, iż kwestia wysłania amerykańskiego wojska na Ukrainę, gdyby ta została zaatakowana przez Rosję, „nie leży na stole". Ameryka nie weźmie zatem udziału w wojnie Ukrainy z Rosją, a jedynie, jeśli Moskwa zdecyduje się na agresję, wyśle – jak zadeklarował Jake Sullivan, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego – znaczącą pomoc wojskową, aby wzmocnić Kijów. Warto zwrócić uwagę na to sformułowanie. Mówi się o zwiększeniu pomocy wojskowej w sytuacji, kiedy ewentualna agresja stanie się faktem, mimo że politycy w Kijowie chcieliby wsparcia już teraz.

NIE BĘDĄ UMIERAĆ ZA UKRAINĘ

Ołeksij Reznikow, ukraiński minister obrony, jeszcze przed rozmową online Biden–Putin wezwał USA, Wielką Brytanię i Kanadę do natychmiastowego wysłania pomocy wojskowej dla jego ojczyzny. W wywiadzie dla kanadyjskiego dziennika „The Globe and Mail" powiedział, że „działać trzeba teraz, bo niedługo może być zbyt późno". Reznikow mówił też, że w Kijowie dostrzegają podział w Sojuszu Północnoatlantyckim. Jego zdaniem anglosascy członkowie NATO skłonni byliby wesprzeć Ukrainę, podczas gdy Niemcy i Francja wahają się, bo chciałyby utrzymać swe korzystne relacje gospodarcze z Rosją. Te podziały ujawniły się zresztą już w czasie dyskusji na temat ewentualnych sankcji Zachodu, które miałyby być odpowiedzią na rosyjską agresję. Biden zapowiedział, że Stany Zjednoczone odwołają się do rozwiązań, których jeszcze nie stosowały wobec Rosji, ale jak napisał „The New York Times", powołując się na informacje z Departamentu Skarbu, „niektórzy europejscy sojusznicy" byli przeciwko wykluczeniu Rosji z międzynarodowego systemu rozliczeniowego SWIFT, bo to „mogłoby wywołać zbyt ostrą reakcję" Moskwy.

Brytyjski tygodnik „The Economist" napisał, że Zachód nie chce wojny z Rosją i nikt nie ma zamiaru walczyć za Ukrainę, a gen. Wayne Eyre, szef sztabu kanadyjskich sił zbrojnych, który zresztą niedawno przebywał w Kijowie, powiedział mediom, że jego zdaniem „pomoc wojskowa dla Ukrainy może raczej sprowokować, niźli powstrzymać Putina". Europa Zachodnia, jak ujawnił niedawno portal Politico.com, wcale nie uważa, w przeciwieństwie do wyższych rangą urzędników amerykańskich, aby zagrożenie rosyjską inwazją na Ukrainę było poważne. Autorzy specjalnego raportu sporządzonego na zamówienie Komisji Europejskiej są zdania, że Moskwa będzie gotowa do ewentualnej napaści nie wcześniej niż na przełomie stycznia i lutego, jest zatem wystarczająco dużo czasu na grę dyplomatyczną i przekonanie rosyjskiego prezydenta, aby nie szedł tą drogą.

Generalnie rzecz biorąc, kiedy się czyta komentarze prasy europejskiej i liberalnej amerykańskiej po rozmowach Bidena z Putinem, można odnieść

Fot. AP/East News

eprasa.pl 209ccf7e7a



maskowane retoryką

wrażenie ulgi, która zapanowała w wielu stolicach. Wojny nie będzie, wygraliśmy pokój, negocjacjami przekonamy Putina, aby nie atakował Ukrainy – w ten sposób można przedstawić stan nastrojów, który na wschodzie Europy nie może nie budzić skojarzeń z entuzjazmem, jaki zapanował na Zachodzie po Monachium.

O CO GRA PUTIN

Wydaje się jednak, że Władimir Putin postanowił zagrać tym razem rzeczywiście o wysoką stawkę. Wypowiadając się podczas niedawnego spotkania z inwestorami zagranicznymi, mówił, że Rosja chce „bardziej sprawiedliwego i zrównoważonego rozwoju", co w jego interpretacji oznacza zmniejszenie zaangażowania NATO na Wschodzie. Otwarcie powiedział o tym w przemówieniu do przedstawicieli korpusu dyplomatycznego w Moskwie, zapowiadając, iż „w dialogu ze Stanami Zjednoczonymi i ich sojusznikami będziemy nalegać na wypracowanie konkretnych porozumień, które wykluczyłyby dalsze przesunięcia NATO na Wschód i rozmieszczenie zagrażających nam systemów uzbrojenia w bliskiej odległości od terytorium Rosji. Proponujemy rozpoczęcie merytorycznych negocjacji w tej sprawie". Nie ma wątpliwości co do tego, że Rosja chce rozmawiać nie tylko o kwestii kooperacji Ukrainy z NATO, lecz – szerzej – o charakterze obecności wojskowej Sojuszu na wschodniej flance, bo Putin ostatnio wielokrotnie mówił o niepokoju, jaki w Moskwie wzbudzają amerykańskie systemy wojskowe rozlokowane w Polsce i w Rumunii.

Kwestia przyszłości Ukrainy jest w tym kontekście sprawą, jak się wydaje, ważną, ale nie pierwszoplanową. Gdyby pod groźbą wojny powiodło się jej podporządkowanie Rosji, to wówczas, jak lapidarnie ujął to Gustav Gressel, analityk brukselskiego think tanku European Council on Foreign Relations, „finlandyzacja" Ukrainy miałaby dotkliwy wpływ na Unię Europejską. Zmianie uległby status całego regionu, którego polityka bezpieczeństwa – gdyby Zachód ostatecznie poddał się dyktatowi Putina – musiałaby uwzględniać doraźnie formułowane „obawy" Moskwy. Nawet rozmowa na ten temat może wywołać zmiany o charakterze tektonicznym, bo państwa najbardziej narażone na rosyjską presję będą się czuć poważnie zagrożone, co może wpłynąć na ich politykę. Gabrielius Landsbergis, litewski minister spraw zagranicznych, już oświadczył, że Wilno będzie się domagać „dodatkowych gwarancji bezpieczeństwa" w związku z sytuacją na wschodniej flance. Odpowiadając na te obawy państw wschodniej flanki NATO, Sullivan zapowiedział ich znaczące wojskowe wzmocnienie, mówiąc nawet o „ufortyfikowaniu wschodniej flanki" w razie rosyjskiej agresji na Ukrainę. Cała kwestia sprowadza się jednak do tego, czy należy wzmacniać państwa zagrożone agresją Putina już teraz, po to aby Moskwa, licząc zyski i straty z ewentualnej wojny, doszła do wniosku, że jej się to nie opłaca, czy dopiero po tym, jak padnie rozkaz i rosyjskie czołgi ruszą? Jeśli jednak kwestia udziału sił NATO w wojnie przeciw Rosji po stronie Ukrainy „nie leży na stole", jak powiedział Biden, a zwiększenie dostaw broni może sprowokować Putina, to co jest możliwe? Negocjacje. I to właśnie zaproponował prezydent USA.

KWESTIA WIARYGODNOŚCI

Tylko czy NATO jest w stanie, jeśli teraz ustąpiłoby Putinowi pod groźbą wojny, tego rodzaju gwarancji komukolwiek udzielić i czy ktokolwiek będzie mu ufał? Jak się wydaje, prezydent Joe Biden, który oświadczył po wypowiedziach Putina, że „nie akceptuje niczyich czerwonych linii", i zapowiedział „długą dyskusję" z rosyjskim prezydentem, ma świadomość powagi sytuacji. Gdyby teraz Zachód zaczął ustępować pod presją Rosji, to byłby to – takiego zdania jest wielu amerykańskich ekspertów – niebezpieczny precedens, który z pewnością zostałby zauważony w Pekinie i być może skłonił chińskie władze do znacznie bardziej asertywnej polityki wobec Tajwanu, a nawet, być może, do rozpoczęcia inwazji. Nie chodzi tylko w tym wypadku o ryzyko wojny w Azji, ale przede wszystkim o wiarygodność Stanów Zjednoczonych,

eprasa.pl 209ccf7e7a

a w związku z tym siłę amerykańskiego systemu sojuszniczego. Elbridge Colby, jeden z głównych autorów amerykańskiej strategii obrony za administracji Trumpa, napisał w swej niedawno wydanej książce „Strategy of Denial", że choćby cień wątpliwości co do tego, że Ameryka może nie chcieć lub nie być w stanie wywiązać się ze swych zobowiązań sojuszniczych w Europie, będzie mieć katastrofalne skutki dla budowanych właśnie antychińskich aliansów w Azji. Jeśli mniejsze państwa z tego regionu świata zwątpią, iż w godzinie próby Waszyngton przyjdzie im z pomocą, to raczej nie będą chciały wiązać się ze Stanami Zjednoczonymi, co otworzy Pekinowi drogę do zdominowania kontynentu.

Dziennik „The Wall Street Journal", powołując się na rozmowy w administracji Joego Bidena, w tym wypowiedzi Karen Donfried, nadzorującej w Departamencie Stanu Biuro ds. Europy i Regionu Eurazjatyckiego, pisał już o tym, że Stany Zjednoczone nie wypracowały jeszcze realnej odpowiedzi na ostatnie prowokacyjne działania Putina, w tym przede wszystkim dyslokację nad granicę z Ukrainą sił wojskowych. Dziennikarze informowali, że w administracji Bidena, generalnie rzecz biorąc, ścierają się dwa podejścia. Pierwsze stanowisko, którego zwolennicy znajdują się w Pentagonie i Departamencie Stanu, opowiada się za twardą odpowiedzią na rosyjskie prowokacje, w tym w postaci zwiększenia pomocy wojskowej dla Ukrainy, nawet wysłania „doradców wojskowych" i większej liczby okrętów marynarki wojennej państw NATO na Morze Czarne. Ale jest też druga opcja, może nawet bardziej wpływowa, której zwolennicy znajdują się w otoczeniu prezydenta Bidena w Białym Domu, opowiadająca się za deeskalacją napięcia z Rosją. Miałoby to polegać na zmniejszeniu liczby natowskich ćwiczeń wojskowych na wschodniej flance i w państwach aspirujących do Sojuszu, po to aby „nie drażnić Putina".

Wyraźnie widać, że w polityce Waszyngtonu zwycięża ta druga opcja, choć jej ostateczny triumf jest uzależniony od stawki, którą będzie licytował w toku rozmów Putin. Jeśli nie ma woli twardej rozgrywki z Rosją, wojska państw zachodnich nie wesprą Kijowa, dostawy broni na większą skalę też raczej nie nastąpią, to trzeba grać na czas i próbować przekonać Moskwę, że scenariusz agresji może się jej nie opłacać.

O ile Waszyngton chce przekonać Putina, że agresja na Ukrainę może mu się nie opłacać i jego postulaty określane przezeń mianem „czerwonych linii" mogą zostać przez Zachód uwzględnione w toku zapowiedzianych negocjacji, o tyle na Kremlu mają dla Ameryki i Europy inne przesłanie. Z jednej strony kij, czyli pogłębienie współpracy z Pekinem i wojskowe rozegranie kwestii przyszłości Ukrainy, z drugiej marchewka – nieco bardziej zdystansowana polityka wobec Pekinu, budowa wraz z Indiami systemu równowagi w Azji, a także perspektywy kooperacji gospodarczej i stabilizacja sytuacji w Europie Środkowej. Czyje atuty wydają się mocniejsze?

> Amerykanie, gdyby teoretycznie chcieli twardo zagrać z Putinem, nie mogą liczyć na pełne wsparcie swego głównego europejskiego sojusznika, którym w oczach ekipy Bidena są Niemcy

NIEMCY PRZECIW SANKCJOM

Amerykanie, gdyby teoretycznie chcieli twardo zagrać z Putinem, nie mogą też liczyć na pełne wsparcie swego głównego europejskiego sojusznika, którym w oczach ekipy Bidena są Niemcy. Portal Axios ujawnił niedawno tajny dokument, który wyciekł z niemieckiej ambasady w Waszyngtonie, dotyczący strategii narracyjnej i argumentów, do których ma odwoływać się Berlin, starając przekonać Kongres, aby ten nie uchwalał sankcji wymierzonych w Nord Stream 2.

Lektura tego niezwykle interesującego materiału jest bardzo pouczająca, nie tylko dlatego, że Niemcy pozycjonują się w charakterze lobbystów rosyjskiego przedsięwzięcia energetycznego, lecz również dlatego, iż gołym okiem widać w nim wizję relacji transatlantyckich, do której najwyraźniej przywiązani są w Berlinie. Główną linią argumentacji, którą posługuje się niemiecka misja dyplomatyczna, jest stanowisko, zgodnie z którym zasadniczym celem uruchomienia gazociągu ma być realizacja celów klimatycznych, zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego Ukrainie i uniemożliwienie Rosji używania „broni gazowej". Te cele, zdaniem niemieckich dyplomatów, ma zagwarantować uruchomienie Nord Stream 2, a amerykańskie sankcje wymierzone w gazociąg „podważą wiarygodność sojuszniczą Stanów Zjednoczonych" w Europie.

Jak napisał w odredakcyjnym komentarzu dziennik „The Wall Street Journal", mści się zbyt miękka do tej pory postawa administracji Bidena wobec Putina. Błędem, zdaniem dziennika, było przedłużenie bez twardych negocjacji umowy New START, na co amerykański prezydent zdecydował się już pierwszego dnia urzędowania, podobnie jak wprowadzenie symbolicznych sankcji za największy w historii atak hakerski SolarWind. Prawidłowym sygnałem, który właśnie teraz Putin winien otrzymać, powinno być wysłanie zarówno pomocy w sprzęcie wojskowym na Ukrainę, jak i dodatkowych oddziałów amerykańskiej armii do Europy Środkowej. Jednak na szczycie ministrów spraw zagranicznych NATO w Rydze niczego podobnego nie zapowiedziano. Miast tego mamy deklaracje Antony'ego Blinkena o dyplomatycznym rozwiązaniu sporów z Rosją. Zapowiada to raczej politykę ustępstw, być może niewielkich, przykrytych twardą retoryką, ale jednak ustępstw. W Moskwie już uznali, że wygrali wiosenną wojnę nerwów w związku z dyslokacją wojska wokół Ukrainy, tym razem też są bliscy odniesienia sukcesu.

eprasa.pl 209ccf7e7a



Chuligan w walce o prezydenturę

Wchodząc do walki o prezydenturę, Éric Zemmour odmienił logikę francuskiej kampanii wyborczej, a być może w ogóle przyszłej francuskiej polityki



JAN ROKITA

Jest wtorek, 30 listopada. W serwisie YouTube Éric Zemmour publikuje spot, w którym zgłasza swoją kandydaturę na urząd prezydenta Francji. Mówi, że „politykom brak odwagi, aby ratować Francję przed tragicznym losem, jaki ją czeka". Spot jest przygotowany perfekcyjnie. Aż do przesady tak wystylizowany, by niemal każdemu Francuzowi musiał się kojarzyć ze sławnym zdjęciem gen. de Gaulle'a, proklamującego na falach BBC „Wolnych Francuzów" i wolę wyzwolenia kraju spod niemieckiej okupacji. W tle leci VII symfonia Beethovena, uznana swego czasu przez Wagnera za apoteozę tańca. W przewijających się obrazach, obok scen grozy z muzułmańskich rozruchów w Paryżu, także wątki polskie, w dzisiejszych okolicznościach nieprzypadkowe. Pojawia się więc Czarna Madonna, o której znaczeniu dla polskiej i środkowoeuropejskiej tożsamości Zemmour pisał nawet swego czasu, jak również aktualne obrazy z granicy polsko-białoruskiej, ale tylko takie (inaczej niż w wielkich mediach zachodnich), które wykonano po polskiej stronie granicy. W ciągu sześciu godzin od startu materiał ma blisko 2 mln odsłon.

GOOGLE INGERUJE WE FRANCUSKIE WYBORY

Ale krótko potem Zemmoura czeka spore rozczarowanie. Pojawia się informacja, iż szefostwo Google'a zakłada właśnie ban na film kandydata, idąc śladem kroków, jakie swego czasu z powodzeniem podjęło przeciw Trumpowi. Po jakimś czasie okazuje się, że koncern boi się jednak zrobić pełną blokadę dla – jakkolwiek by było – poważnego kandydata do prezydentury obcego i silnego politycznie państwa. Wydaje więc oświadczenie, wedle którego to jakieś orzeczenie europejskiego trybunału miałoby uniemożliwiać zrobienie pełnego banu, więc spot ma być jednak dostępny na YouTubie, ale wyłącznie dla dorosłych. Znajdują się w nim bowiem obrazy i treści, „które nie są odpowiednie dla wszystkich użytkowników". Czy chodzi o sceny z agresywnymi Arabami, czy może o Czarną Madonnę, nie do końca wiadomo. W każdym razie, aby obejrzeć spot Zemmoura, trzeba teraz zarejestrować na YouTubie swoje imię i nazwisko, podać datę urodzenia i potwierdzić to numerem karty kredytowej lub karty ID. Znajomy z Paryża pisze mi sarkastycznie: „I myśli pan, że we Francji Macrona jest tak wielu odważnych, którzy to zrobią?".

Czy więc mamy otwartą amerykańską interwencję we francuskie wybory? Oczywiście tak. Ale nad Sekwaną nikt się na ten temat nawet nie zająknie. Niezliczonym francuskim wrogom Zemmoura ban ze strony Google'a jest na rękę, a sam Zemmour woli pewnie po cichu zgrzytać zębami, niźli robić sobie jeszcze jednego otwartego i zarazem potężnego wroga: obecny lewicowy Waszyngton.

Kolejne kłopoty dla Zemmoura pojawiły się już następnego dnia, gdy jego sztab postanowił przeprowadzić pierwszy wyborczy

Fot. Obatala-photography/Shutterstock.com

eprasa.pl 209ccf7e7a

wiec w podparyskich halach w Villepinte, gdzie w grudniu 2006 r. zaczynał też swą tryumfalną kampanię Nicolas Sarkozy. Sprzeciw wobec wiecu na „swoim terenie" zorganizował bowiem tamtejszy szef rady departamentu Seine-Saint-Denis, sekretarz socjalistów i czołowy działacz na rzecz imigrantów i gejów – niejaki Troussel. Petycja o zakazanie wiecu nie przyniosła jednak sukcesu. Gdy więc w niedzielę 5 grudnia w halach zgromadziło się kilkanaście tysięcy zwolenników Zemmoura, lewicowi bojowcy wywołali bójki, które wymagały interwencji policji i karetek pogotowia.

Owe północne suburbia Paryża to zapewne nieprzypadkowy wybór sztabu Zemmoura, gdyż to tu od lat dochodzi do najcięższych zamieszek imigrantów, żyjących w muzułmańskich gettach. I to tu właśnie – trzeba przyznać, dość prowokacyjnie – Zemmour ogłosił powstanie ruchu o równie prowokacyjnej nazwie „Reconquest", nawiązującej oczywiście do starych dziejów odbicia Europy z rąk Maurów, ale także oddającej intencję odwojowania francuskiej kultury, tradycji, obyczajów i religii.

„REKONKWISTA" ZEMMOURA

Wchodząc do walki o prezydenturę, Zemmour odmienił logikę francuskiej kampanii wyborczej, a być może w ogóle przyszłej francuskiej polityki. Zemmour jest wziętym komentatorem prasowym i telewizyjnym, autorem kilku książek, sprzedających się w setkach tysięcy egzemplarzy i nagradzanych Nagrodą Chateaubrianda, błyskotliwym i zarazem brutalnym polemistą, ustawicznie ściganym przez prawo pod zarzutami „mowy nienawiści". Jest przy tym emocjonalnym apostołem „wielkości Francji", próbującym we współczesnej, mocno odmiennej epoce odwoływać się do patriotycznej i państwowej retoryki de Gaulle'a.

Urodził się nie gdzie indziej, jak właśnie w podparyskim departamencie Seine-Saint-Denis, ale jego rodzice byli Żydami z francuskiej Algierii. Mówiąc sam o sobie, Zemmour od razu łamie jedno z najsilniejszych tabu współczesności, głosząc pochwałę francuskiej kolonizacji, dzięki której – jak podkreśla – jego przodkowie mogli się stać Francuzami. „Francja płynęła w moich żyłach, wypełniała powietrze, którym oddychałem, i przez myśl mi nie przyszło, że będę ostatnim pokoleniem dorastającym w taki sposób". Zemmour sądzi, iż to głowa państwa francuskiego winna zainicjować politykę zerwania z tym wszystkim, co w polityce, obyczajach i kulturze doprowadziło do stanu obecnej degradacji Francji. A więc: z agresywnym kwestionowaniem francuskiej przeszłości, z propagandą „libertyńskiego hedonizmu", z niweczeniem dziedzictwa kultury chrześcijańskiej, z „pogardą dla władzy, Kościoła i policji", a przede wszystkim – z katastrofalną otwartością granic dla imigracji.

Zemmour sprawił w ten sposób, że w centrum francuskiej kampanii prezydenckiej stanął nie tylko problem imigracji (poza Francją do tej kwestii często redukuje się jego plan), lecz cały wielki spór o kulturę, który dzisiaj dzieli tak ostro świat zachodni. Przy czym w wydaniu Zemmoura „rekonkwista" w sferze kultury, religii, rodziny i obyczajów ma istotny wymiar polityczny: ma być bowiem sposobem, i to jedynym możliwym, na odbudowę „wielkości Francji". Polityczna diagnoza Zemmoura dotyczy zatem czegoś daleko więcej aniżeli typowych dla demokratycznych kampanii kwestii „programów wyborczych" albo „obietnic wyborczych". Owszem, Zemmour jest gospodarczym liberałem (Marine Le Pen twierdzi nawet, że „ultraliberałem"), więc zapowiada np. obniżki kosztów pracy, deregulację praw dla biznesu czy likwidację publicznego radia i telewizji, które uważa za „niesamowitą machinę propagandową w służbie nienawiści do Francji".

Ale gdzie indziej leży zarówno źródło siły oddziaływania jego kampanii, jak i przyczyna trudnej do wyobrażenia nienawiści, jaka jest dziś rozpętywana przeciw jego startowi prezydenckiemu. Jest nią forsowany przez Zemmoura model prezydentury walczącej z polityczną poprawnością i dominującym kanonem kultury. Można by rzec, prezydentury w jakimś sensie „chuligańskiej", jeśliby się zgodzić, iż obok „czarnego chuligaństwa", czyli awanturnictwa politycznego, w polityce istnieje także dobre „białe chuligaństwo", które bywa objawem odwagi przeciwstawienia się panującym koteriom i układom.

RYWALE

Na prawicy Zemmour ma dwie rywalki, obie jak najdalsze od takiego modelu prezydentury i polityki. Najpierw niemal już „odwieczną" kandydatkę narodowców – Marine Le Pen, zawsze przegrywającą z kandydatami „głównego nurtu". I choć gdy idzie o restrykcje antyimigracyjne Le Pen i Zemmour mogą mówić podobnym językiem, to jednak są to kandydatury o mocno odmiennych politycznych profilach. Szefowa francuskich narodowców nie ma nic z tego „białego chuligaństwa" Zemmoura: jest układna wobec idei dominującej kultury, walczy o „prawdziwie laicką republikę", rozumie przemiany obyczajowe, a nawet chciałaby, idąc z duchem czasów, zainicjować specjalny rozdział w Kodeksie cywilnym, poświęcony nie ludziom, ale... zwierzętom (być może zresztą stąd sympatia dla niej ze strony Kaczyńskiego, który takiego projektu jeszcze nie wymyślił). Poza tym jest gospodarczą socjalistką, która lubi się odwoływać do starych lewicowych idei Jeana Jaurès'a.

O ile Zemmour jest wyzwaniem dla establishmentu, którym jawnie pogardza, o tyle Le Pen marzy o tym, aby w końcu do establishmentu jakoś się wedrzeć. Wspólnie tylko odrzucają Macrona, wraz z jego nie tak dawnymi nawoływaniami do federalizacji Europy, jak i nazbyt łatwą dla przybyszów z Azji i Afryki polityką imigracyjną. Choć i na tym polu widać różnice podejścia. Le Pen jest zafascynowana dawną techniką sprawowania władzy przez de Gaulle'a poprzez referenda; toteż gdy przychodzi do odpowiedzi na pytanie, co zrobić z naporem imigrantów, mówi: „O tym muszą zdecydować Francuzi w referendum". Zemmour ma tu gotowy pakiet twardych decyzji, od czasowego zawieszenia strefy Schengen i prawa do azylu aż po likwidację świadczeń dla imigrantów bez prawa do stałego pobytu. Jednak w obozie francuskich narodowców Zemmour jest traktowany z nieskrywaną niechęcią. Powód jest jasny, a wyraził go z niejakim żalem przywódca jednej z grup nacjonalistycznych Daniel Conversano: „Wolałbym, aby Marine miała talent Érica Zemmoura, bo Marine jest przynajmniej prawdziwą Francuzką". Le Pen i tak zrobiła sporo, aby przydusić antysemityzm francuskich narodowców, ale Żyd jako kandydat na prezydenta Francji to jednak dla nich stanowczo za dużo.

Od ubiegłej soboty Zemmour ma jeszcze drugą, nieoczekiwaną rywalkę na prawicy, która w ostatnich sondażach przebija go o jeden punkt (15 proc. do 14 proc. Zemmoura).

eprasa.pl 209ccf7e7a

Jest nią Valérie Pécresse, poza Francją kompletnie nieznana szefowa władz regionalnych stołecznego Île-de-France, była minister szkolnictwa wyższego, a potem finansów, która niespodzianie wygrała internetowe głosowanie członków neogaullistowskiej partii LR. W jej przypadku może najwyraźniej widać, jak bardzo atmosfera polityczna we Francji skręciła w prawo. Jej polityczny program stoi na dwóch filarach: z jednej strony to obietnica rozbudowy socjalu (becikowe 900 euro, przywileje dla emerytów etc.), ale z drugiej – restrykcje antyimigracyjne (kwoty, readmisja) plus zaostrzanie Kodeksu karnego, budowa więzień, zbrojenie straży miejskich, szersze uprawnienia policji; w polskich kategoriach można by rzec – taki „młody Ziobro". To wszystko i tak niewiele pomaga jej wizerunkowi, który utrwaliła jej niedawna gotowość współpracy z Macronem; sama przyznawała beztrosko, że może zostanie u niego premierem. Francuskie media traktują zatem Pécresse jako najbardziej zbliżoną do centrowego Macrona, co w dzisiejszej Francji nie jest na prawicy dobrą rekomendacją. Le Pen mówi o niej nawet z szyderstwem: „Ta makronistka!".

No i jest jeszcze oczywiście sam Macron, który nie złożył dotąd deklaracji o zamiarze kandydowania, a nawet gra upowszechnianą przez jego doradców pogłoską, jakoby się nad tym bardzo zastanawiał, w obliczu wszystkich przeciwności, jakie przyniosła jego rządom przewlekła zaraza. We Francji chyba nikt na serio temu nie wierzy, zwłaszcza że późne zgłoszenie i krótka kampania leżą w interesie urzędującego prezydenta. I co najważniejsze, Macron, jak pokazują to wszystkie sondaże, ma ciągle spore szanse, aby kwietniowe wybory prezydenckie wygrać, gdyż utrzymuje nie tylko niezmienne pierwsze miejsce w sondażach, lecz poziom jego poparcia (24 proc. na początku grudnia) jest równy temu, jaki pięć lat temu dał mu właśnie wyraźne zwycięstwo w drugiej turze. Chodzi jednak o to, że trójka jego prawicowych rywali, w tym zwłaszcza tak wyrazisty Zemmour, stworzyła już faktyczny kształt francuskiej kampanii prezydenckiej, w której Macron będzie musiał jakoś próbować się odnaleźć.

Nie będzie to dla Macrona rzeczą łatwą. Już dziś wyraźnie widać, że cały entuzjazm ideowy jego prezydentury prysł jak bańka mydlana. Wszystkie reformatorskie projekty społeczne i ekonomiczne musiał porzucić za sprawą przewlekłej i niszczącej rewolty „żółtych kamizelek". A teraz Zemmour, wraz z Le Pen i Pécresse, druzgoczą jego wielkie ambicje europejskie, w których tak bardzo liczył swego czasu na Merkel, ale się całkowicie przeliczył. No i na domiar złego: debatę kampanijną całkowicie dominuje Zemmour, przedkładając wizję prezydentury walczącej w wojnie kulturowej, jako sposobu na przywrócenie „wielkości Francji". Tymczasem jak pisał nie tak dawno „The New York Times": „Macron to dzisiaj pustka projektu politycznego i styl arogancji władzy". Jedyne, na co może liczyć urzędujący prezydent, to kalkulacja, iż mimo wszystko, kiedy dojdzie do ostatecznego liczenia sił w drugiej turze, to zachowawczy zwolennicy „ancien régime'u" okażą się po raz kolejny choć odrobinę liczniejsi od entuzjastów gruntownej przebudowy Francji.

REKLAMA

Gramy z Gestem

Przed nami najbardziej wyjątkowy czas w roku, czas Bożego Narodzenia, kiedy wszyscy na chwilę zwalniamy, zwracamy się ku drugiemu człowiekowi i przypominamy sobie o najistotniejszych wartościach – rodzinie, wspólnocie, ale i wsparciu potrzebujących

W tym roku radość z nadchodzących świąt celebrować będziemy wspólnie w czterech miastach Polski w których to po raz pierwszy Zagramy z Gestem!

To właśnie w ostatni weekend przed świętami w Zamościu (18 grudnia), a także w Katowicach, Stalowej Woli i Chełmie (19 grudnia), wśród jarmarków bożonarodzeniowych staną nasze szklane studia radiowe.

To właśnie do nich znani i lubiani prowadzący będą zapraszać gwiazdy, by wspólnie z nimi wspomnieć ich świąteczne tradycje, rodzinne zwyczaje i opowieści. W międzyczasie oczywiście emitowane będą znane i lubiane świąteczne przeboje, które rozgrzeją atmosferę imprezy.

Ale Gramy z Gestem to coś więcej niż tylko zabawa, to przede wszystkim wspólnota i chęć dzielenia się.

Podczas akcji rozdawane będą paczki upominkowe od Świętego Mikołaja dla potrzebujących dzieci, rozdamy ciepłe posiłki, napoje, spędzimy ten czas po prostu razem.

Ta wyjątkowa akcja ma szansę na stałe wpisać się w kalendarz przedświątecznych imprez w Polsce.

Wydarzenie Gramy z Gestem zostało zrealizowane dzięki pomocy otwartych i wrażliwych mecenasów kultury oraz dobroczynności. Realizację wsparły: Krajowa Spółka Cukrowa i LW „Bogdanka", Orlen, PKO BP, PZU, Totalizator Sportowy, Tauron.

Materiał powstał przy współpracy z Instytutem Książki | 31/1221/F

GRAMY Z GESTEM

Miasta

Miasto Chełm

Katowice Miasto Ogrodów

Zamość Twierdza otwarta

Patronat Medialny

Sponsorzy i Partnerzy Wydarzenia

BOGDANKA

PZU

LOTTO

Bank Polski

ORLEN

Polski Cukier

TAURON POLSKA ENERGIA

eprasa.pl 209ccf7e7a

Bardzo dziwna wojna

80 lat temu Polska wypowiedziała wojnę Japonii. Trwała 16 lat. Padło w niej niewiele strzałów, a – co najciekawsze – oba kraje przez cały okres jej trwania utrzymywały przyjazne i całkiem ożywione stosunki. Zwłaszcza podczas II wojny światowej, choć formalnie stały po przeciwnych stronach



WOJCIECH LADA



Tej wojny nie dało się uniknąć. Od kiedy w 1927 r. premierem został Tanaka Giichi, Japonia postanowiła zostać mocarstwem. Narastający już od pewnego czasu nacjonalizm się radykalizował, odżywały też skłonności militarystyczne. Ponieważ dokładnie te same procesy zachodziły wówczas w Niemczech i we Włoszech, Japonia stała się dla nich naturalnym partnerem. 1 września 1939 r., związana układami z III Rzeszą, znalazła się w bloku państw wrogich Polsce. Co jednak ciekawe, nawet w tym momencie ani rządowi polskiemu, ani japońskiemu nie przyszło do głowy zrywanie czy nawet ograniczanie wzajemnych stosunków. Przeciwnie. Japonia zadeklarowała neutralność w kwestii działań zbrojnych w Europie, polska ambasada w Tokio działała nie tylko bez przeszkód, lecz wręcz na zdwojonych obrotach. Dlaczego? Bo w Japonii znalazło schronienie tysiące polskich uchodźców żydowskiego pochodzenia, uratowanych zarówno przed Holokaustem, jak i wywózką na Sybir. Nawiasem mówiąc, uratowanych przez Japończyka.

Przez blisko dwa lata Berlin bezskutecznie naciskał na Tokio w sprawie polskiej. W 1941 r., po japońskim ataku na Pearl Harbor, dłużej tej sytuacji przeciągać się jednak nie dało. Tokio uległo Berlinowi, a polski rząd – Londynowi. 11 grudnia tamtego roku Polska i Japonia znalazły się w stanie wojny. Ale był to stan bardzo daleki od wrogości. Kiedy ambasador Tadeusz Romer opuszczał Tokio, na dworcu żegnał go korpus dyplomatyczny, a nawet para cesarska – co bynajmniej nie było zachowaniem standardowym.

WSPÓLNY WRÓG

W jednym z listów do ministra Józefa Becka ambasador Romer pisał: „Przyjaźń polsko-japońska wywodzi się ze świadomości wspólnego niebezpieczeństwa rosyjskiego. Żywotność tego założenia i brak powodów do tarć w innych dziedzinach znakomicie tę przyjaźń utrwaliły". Kiedy wysyłał ten list, w 1937 r., przyjaźń ta była już nie tylko utrwalona, lecz pogłębiała się niemal z dnia na dzień. Od kiedy w 1933 r. Japonia zaczęła wojnę z Chinami w Mandżurii, była coraz bardziej izolowana na arenie międzynarodowej, a Liga Narodów nakładała na nią kolejne sankcje. Polska stawała się więc cennym partnerem, wspierającym jej interesy w Lidze. Faktycznie też, jak zauważał Romer, Polska postrzegana była w Tokio jako naturalne wsparcie w ewentualnym starciu z Rosją.

Nie byłby to pierwszy przypadek takiej współpracy. Już podczas wojny rosyjsko-japońskiej – mocno zresztą kompromitującej dla Rosji – bojówki PPS Józefa Piłsudskiego współpracowały z Tokio, z jednej strony setkami zamachów terro-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 209ccf7e7a



Płonące amerykańskie pancerniki (od lewej: USS „West Virginia”, USS „Tennessee” i USS „Arizona”) po japońskim nalocie na Pearl Harbor, 7 grudnia 1941 r.

rystycznych wprowadzając chaos i wiążąc pewne siły carskiej armii, z drugiej – dostarczając cennych informacji wywiadowczych. Niebezinteresownie. Jak wyliczył Waldemar Potkański, partia otrzymała wówczas od rządu japońskiego konkretne wsparcie finansowe w kwocie 33 430 funtów. Udaną pod tym względem współpracę kontynuowano również po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, którą Japonia uznała praktycznie natychmiast, bo już w marcu 1919 r. Jan Kowalewski, kryptologiczny geniusz, który zaważył na zwycięstwie w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r., łamiąc rosyjskie szyfry, był stałym bywalcem w Tokio, gdzie szkolił tamtejszych kryptologów, a nawet opublikował stosowny podręcznik. Japońscy oficerowie bywali w Polsce, polscy w Japonii, a przez cały okres dwudziestolecia trwała intensywna współpraca wywiadów obu krajów.

Ale nie tylko o kwestie militarne chodziło. „W okresie międzywojennym wiedza na temat Japonii pogłębiała się w Polsce nie bez wpływu takich wydarzeń społecznych, jak repatriacja do Polski ok. 800 tzw. sierot syberyjskich, które dzięki pomocy rządu japońskiego i Japońskiego Czerwonego Krzyża powróciły uratowane z tułaczki do Polski” – pisała Jadwiga Rodowicz. Wiedzę zaś Japończyków o Polsce pogłębiała choćby lektura Reymonta i Sienkiewicza, ale przede wszystkim muzyka Chopina – którą właśnie wtedy odkryli i pokochali. I to od razu tak bardzo, że już w 1937 r. w III Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim wzięły udział dwie japońskie pianistki Miwa Kai oraz Hara Chieko. Zwłaszcza ta ostatnia podbiła Warszawę.

Jej występ zapamiętał Jerzy Waldorff: „Kiedy zaś ogłoszono werdykt i ujawniło się, że wśród nagrodzonych nie ma faworytki audytorium, ślicznej, w kimonie

eprasa.pl 209ccf7e7a

występującej Japonki Chieko Hary [...] ludzie w audytorium urządzili tak straszną awanturę, że jurorów i salę przed najgorszymi konsekwencjami uratował dopiero obecny na sali bogaty przemysłowiec Stanisław Meyer, który czym prędzej – na miejscu – ufundował dla pokrzywdzonej dziewczyny z Tokio nagrodę publiczności" – wspominał, a skądinąd wiadomo, że urocza artystka już poza konkursem grała także podczas przyjęcia na Zamku Królewskim, poproszona o to przez prezydenta Ignacego Mościckiego. Japoński krytyk muzyczny Hoji Shimoda zauważał też, że bardzo popularny w przedwojennej Japonii był film „Geniusz Chopina".

Wzajemne relacje były tak serdeczne, że właśnie wtedy, gdy do Japonii wyruszał Tadeusz Romer, dotychczasowe poselstwa podniesiono do rangi ambasad. Jego zaś samego witano wręcz entuzjastycznie. „Towarzyskie współżycie korpusu, prawie, że nadmierne, tak, że pierwszym wymianom wizyt nie ma końca i po dziś dzień nie wyłażę z żakietu i cylindra, względnie czarnej marynarki" – raportował min. Beckowi. „Ocieplenie naszych stosunków z Japonią [...] przeszło moje oczekiwania. Reakcja jest nadspodziewanie szeroka i głęboka" – dodawał w innym miejscu.



Tadeusz Romer (z lewej), ambasador Polski w Japonii

Fot. NAC

NA GROBIE RŌNINÓW

1 września 1939 r. nie tylko nie ochłodził atmosfery wzajemnych relacji, lecz wręcz podniósł ich temperaturę. „Rząd japoński stanął na stanowisku, że w obecnym stanie rzeczy [...] nie ma podstaw do zmiany swoich stosunków dotychczasowych z rządem polskim i że uznawać mnie będzie nadal za ambasadora" – pisał Romer do emigracyjnego już MSZ. Zauważał też, że w gruncie rzeczy Japończycy nie do końca orientowali się w układach politycznych w Europie – ich wzrok skierowany był w kierunku Chin, a także własnej gospodarki, którą rozbudowywali teraz szczególnie intensywnie, na potrzeby wojenne. Kiedy do Tokio dotarły wieści o pakcie Ribbentrop–Mołotow, spadło to na nich – używając słów ambasadora – „jak grom z jasnego nieba". Zarówno rząd, jak i japońska ulica odebrały to jak zdradę Niemiec, a że do wierności Japończycy przywiązują szczególną uwagę, zgodnie z wciąż wówczas żywą tradycją samurajską tamtejsza opinia publiczna stanęła murem po stronie zaatakowanej Polski. Romer umiał to zresztą bardzo sprawnie wykorzystać. Wyczuwając atmosferę, zorganizował mianowicie oficjalną wizytę delegacji polskiej na grobie 47 rōninów – japońskiego symbolu wierności – w świątyni Sengakuji w Tokio, na którym złożył wieniec. „Naturalnie w tym było ukryte żądło, że inni sojusznicy tej wierności nie dotrzymali" – wspominał.

Propagandowo sukces był nadspodziewany. „Skutki tego wystąpienia nie dały długo na siebie czekać. Już w ciągu pierwszych dni agresji niemieckiej nasza ambasada zasypana została listami od Japończyków, zgłaszających się na ochotnika do polskiego wojska. Jeden z nich, prosty robotnik, zagroził, że w razie nieprzyjęcia jego zgłoszenia, popełni harakiri u wejścia do ambasady, i użyć musiałem perswazji dyplomatycznej, by go skłonić do zwłoki" – pisał do Warszawy.

Wkrótce jednak Romer musiał się poświęcić bardziej praktycznym działaniom niż propaganda. Otóż już w pierwszych miesiącach 1940 r. japoński wicekonsul w Kownie Sugihara Chiune przy współpracy z konsulem holenderskim Janem Zwartendijkiem zaopatrywali setki Polaków, głównie pochodzenia żydowskiego, w lewe papiery, które umożliwiły im ucieczkę z okupowanej Polski i bezpieczne przedostanie się Koleją Transsyberyjską do Japonii. A działo się to dokładnie w tym samym momencie, w którym trwały masowe wywózki Polaków na Sybir – uratowani przez wicekonsula ludzie jechali dokładnie tą samą trasą, ale w stosunkowo wygodnych warunkach i choć też na tułaczkę, to jednak ku wolności. Nie wiadomo, czy Sugihara Chiune zdawał sobie sprawę, że ratuje ich przed niemal stuprocentowo pewną śmiercią. Jeśli jakimś cudem uniknęliby zsyłki, z całą pewnością już rok później staliby się wszak ofiarami Holokaustu.

Ambasador Romer był właśnie tą osobą, która zadbała o przyjęcie tych uchodźców w Japonii, później zaś organizował ich dalszą drogę. Wspierał finansowo, administracyjnie i logistycznie. Jego córka zapamiętała, że to zajęcie pochłaniało niemal cały czas ojca, a co najmniej kilku z uciekinierów znalazło schronienie, wyżywienie oraz nocleg na terenie polskiej ambasady. Nawiasem mówiąc, o stosunku japońskich władz do Polaków wiele mówi to, że będąc już w stanie wojny z Polską, nie potraktowali uchodźców jak jeńców ani nie przekazali ich w ręce Niemców.

Zesłańcom w Rosji ambasador Romer nie mógł aż tak pomóc, ale zaangażował się bardzo w nagłośnienie ich tułaczki, organizował zbiórki pieniędzy i wysyłanie paczek. Temat ten stanie mu się wkrótce bardzo bliski, bo po opuszczeniu Japonii zostanie ambasadorem rządu londyńskiego właśnie w sowieckiej Rosji i zaangażuje się w organizowanie ucieczki z Sybiru ponad stu tysiącom Polaków, którzy dotarli na Bliski Wschód wraz z armią gen. Władysława Andersa.

POCZTA JAPOŃSKA

A z Japonii musiał wyjechać w październiku 1941 r. Niemcy naciskali na to już rok wcześniej, ale po konsultacjach z pracownikami ambasady Romer oświadczył, że w razie próby jej zajęcia podejmą walkę.

Reklama | 44/1121/F

eprasa.pl 209ccf7e7a

MUZEUM NASZYCH BOHATERÓW!



* MUZEUM ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH * i WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH PRL *



Wojciech Korkuć KOREKSTUDIO fot. kolekcji: Stanisław Markowski

WARSZAWA, UL. RAKOWIECKA 37 **WWW.MUZEUMRAKOWIECKA37.PL** **FACEBOOK.COM/MUZEUMWYKLETYCH**

eprasa.pl 209ccf7e7a

To poskutkowało na kilka miesięcy, jednak w momencie gdy Niemcy zaatakowały Rosję, Japończycy ulegli. Romerowi wręczono w tej sprawie oficjalne pismo, informujące o zamknięciu placówki, ale podobno robiono to „z bólem" – tak w każdym razie nazwał to japoński wiceminister spraw zagranicznych Amo Eijim. Nikt ambasadora nie pospieszał, zapewniono mu wszelkie przywileje dyplomatyczne do końca października, w jego pożegnaniu wzięli zaś udział najwyżsi urzędnicy państwa, wraz z jego koronowanymi głowami.

Ale wyjazd Romera bynajmniej nie zamknął współpracy japońsko-polskiej, choć oba kraje już dwa miesiące później znalazły się w stanie wojny. Nadal trwała bardzo intensywna współpraca wywiadowcza, i to dosłownie pod nosem Niemców. Największym przedsięwzięciem w tym zakresie była tzw. poczta japońska. „Założenie akcji było takie. Co parę tygodni jedzie z Berlina do Japonii kurier dyplomatyczny ambasady japońskiej w Niemczech. Droga prowadzi przez Litwę. Będzie on wieźć pakiet, który mu wręczy Jakubianiec (Alfons, polski agent w Berlinie). W pakiecie będzie korespondencja z Londynu do komendy Okręgu ZWZ w Wilnie, pieniądze itd. Inny znów pakiet, zawierający różne ciekawostki dotyczące np. ruchów wojsk sowieckich na Litwie, którymi bardzo interesuje się Imperialny Sztab w Tokio, będzie przygotowany przez kogoś w Wilnie – jasne, że przez tegoż japońskiego oficera w ukryciu, a na podstawie danych zebranych przez nasza siatkę" – opowiadał uczestnik akcji Eryk Budzyński.

Wiadomo, że agenci polscy i japońscy współpracowali także w Kownie, Rydze, Sztokholmie, Berlinie, Pradze, Królewcu, Bukareszcie, Sofii, Istambule, Watykanie, Rzymie, a nawet Mandżurii.

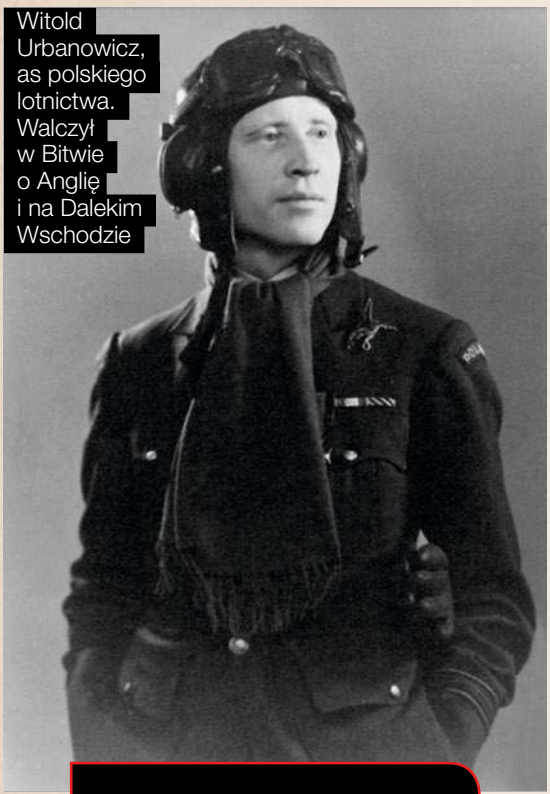
CHOPIN WAŻNIEJSZY OD WOJNY

Tę „przyjazną" wojnę przerwała dopiero kolejna, tym razem zimna wojna. W tym przypadku trudno jednak mówić o jakichś relacjach Warszawy z Tokio, gdyż w zasadzie były to relacje – czy raczej ich brak – Tokio z Moskwą. Najłatwiej można było się o tym przekonać w San Francisco 8 września 1951 r., kiedy oprócz ZSRS to właśnie Polska i Czechosłowacja odmówiły podpisania traktatu pokojowego z Japonią. Klimat zaczął się zmieniać dopiero po śmierci Stalina. Od 1955 r. obie strony zaczęły się wzajemnie sondować dyplomatycznie, by ostatecznie zakończyć wojnę 8 lutego 1957 r. Co jednak ciekawe, niezależnie od oficjalnej postawy rządów czy formalnie trwającej wojny wzajemne kontakty w zasadzie nigdy nie zostały tak do końca zerwane, choć teraz jednak istotnie – już nie w kwestiach militarnych.

W 1954 r. na przykład wartość importu japońskich towarów do Polski wyniosła 1 mln dol., a dwa lata później Polska zaczęła również eksportować towary do Japonii. Bez przeszkód rozwijała się także wymiana kulturalna. „Spopularyzowana po wojnie współczesna literatura polska w świadomości japońskich czytelników wykroczyła poza ramy egzotyki wschodniej Europy" – pisał Numano. Profesor twierdził nawet, że twórczość takich pisarzy jak Gombrowicz czy Schulz była dla Japończyków „wstrząsem". Najbardziej jednak efektownym dowodem wzajemnej współpracy znów okazał się Chopin.

Japońscy pianiści nie wystartowali co prawda w pierwszym powojennym konkursie chopinowskim w 1949 r., skądinąd wiadomo jednak, że Polak był tam wciąż niezwykle popularny. Kompozytor Koichi Hattori zapamiętał rok 1945, kiedy Tokio było jednym wielkim gruzowiskiem, w którym brakowało nawet podstawowych produktów spożywczych. „A my bardzo chcieliśmy słuchać pięknej muzyki, głównie klasyków zachodnich – Beethovena, Mozarta i Chopina" – wspominał. Podczas pierwszego koncertu, zorganizowanego niespełna miesiąc po zakończeniu walk, w jedynej ocalałej po nalotach sali, Chopina akurat nie grano. Ale był ciągle obecny. Pianistka Maki Hirasawa wspominała, że Chopina słuchało się w jej domu od zawsze. „Słuchała go moja babcia, potem mama" – co oznaczałoby, że cieszył się popularnością, bez żadnej wojennej przerwy. Zresztą już w 1955 r. w konkursie chopinowskim wystartowała aż trójka japońskich artystów, z których w finale znalazła się Tanaka Kiyoko – jak pisał Jerzy Waldorff – „kantylenty nokturnów z delikatnością słowików ukrytych w gałęziach jabłoni kwitnących japońską wiosną".

W momencie, gdy pianistka „wyśpiewywała je" w stolicy wrogiego państwa, wojna miała trwać jeszcze prawie dwa lata. Ale jak widać, chętniej strzelano w niej nutami niż pociskami.

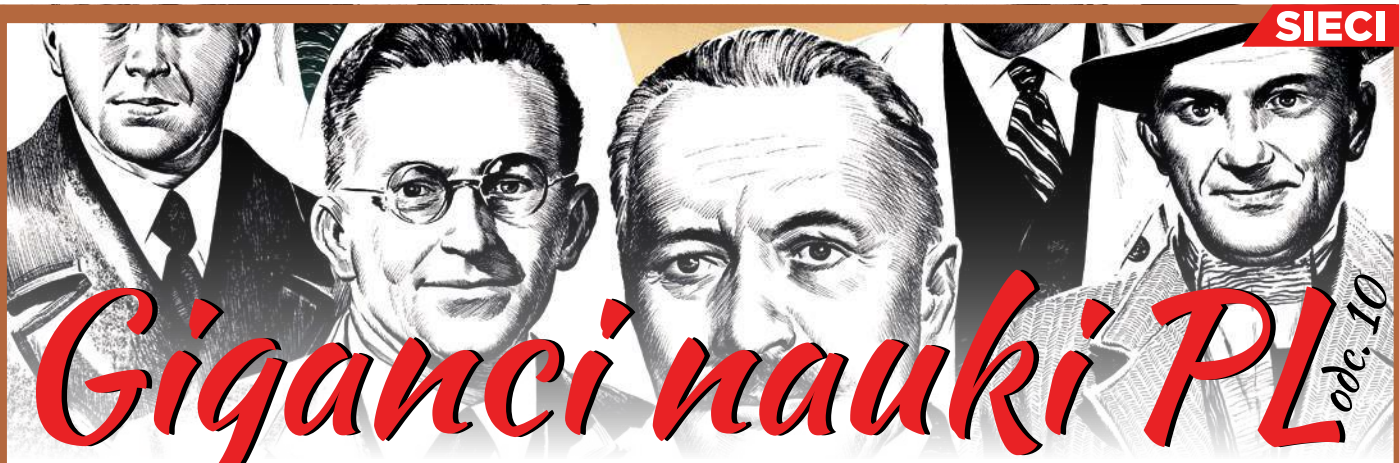


Witold Urbanowicz, as polskiego lotnictwa. Walczył w Bitwie o Anglię i na Dalekim Wschodzie

Regularne polskie oddziały nie brały udziału w wojnie w Azji. Dwa polskie statki transportowe MS „Sobieski" i SS „Pułaski" zostały wysłane na Ocean Indyjski, gdzie transportowały przede wszystkim żołnierzy brytyjskich.

Natomiast jako ochotnik w walkach na Dalekim Wschodzie wziął udział Witold Urbanowicz, podniebny as lotnictwa i uczestnik Bitwy o Anglię. Był członkiem amerykańskiej 23. Grupy Lotniczej zwanej „Latającymi Tygrysami". Po wojnie Urbanowicz twierdził, że nad Chinami zestrzelił 11 japońskich samolotów.

eprasa.pl 209ccf7e7a



Giganci nauki PL odc. 10

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

Mamy w naszej historii wspaniałych odkrywców i wynalazców, zmieniających losy Polski i świata. Często wiemy o nich niewiele albo zgoła nic. Przez całe dziesięciolecia od wojny byli świadomie zapominani i niedoceniani. Nadszedł czas, byśmy mogli z dumą o nich mówić i przypominać Polsce i światu o wspaniałych rodakach



Marian Rejewski *(1905–1980)*

rys. Krzysztof Wyrzykowski

PARTNER DODATKU

ORLEN

PARTNER MERYTORYCZNY

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PAN IHN

eprasa.pl 209ccf7e7a

Polski wkład w złamanie kodu Enigmy



Podczas wojny alianci parokrotnie zdobywali zbiegiem okoliczności pojedyncze egzemplarze Enigmy

Wydawałoby się, że promując tych, którym jako pierwszym udało się złamać kod niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma, jesteśmy w lepszej sytuacji, gdyż tym razem mówimy o sprawie powszechnie w Polsce znanej i wielokrotnie przywoływanej w różnych sytuacjach. Powiedziałbym z przekąsem, że zbyt dobrze znanej. A zwłaszcza że zbyt często przywoływanej w licznych publikacjach przez osoby nie do końca zorientowane. I ze szlachetnych pobudek skłonne do patriotycznego zawłaszczania całej związanej z Enigmą chwały wyłącznie dla nas, Polaków. Ignorując całkowicie wkład innych nacji w dzieło jej odtajnienia i wykorzystywania podczas II wojny światowej

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Dbając o respektowanie należnych nam zasług historycznych – po to w końcu powstał ten „Słownik” – należy się wszakże wystrzegać popadania w nadmierny hurrapatriotyzm. A więc pierwszeństwo bez wątpienia należy się trójce Polaków: Marianowi Rejewskiemu, Jerzemu Różyckiemu i Henrykowi Zygalskiemu, których biogramy otwierają grudniową promocję. To oni wskazali Brytyjczykom właściwy sposób i kierunek. Nie można jednak zapominać, że dodatkowe komplikacje w posługiwaniu się Enigmą, wprowadzone przez przystępujące do wojny Niemcy, bardzo utrudniły deszyfraż i powiększyły jego koszty. Wymagało to dalszych pogłębionych prac, na które nie było w tym momencie nas stać (także finansowo), nie tylko dlatego że Polska znalazła się pod okupacją.

To zadanie skutecznie zrealizowali Brytyjczycy, dzięki systematyczności, a zapewne też talentowi Alana Turinga. Powinniśmy przyjąć to do wiadomości i zaaprobować. A także to, że podczas wojny alianci parokrotnie zdobywali zbiegiem okoliczności pojedyncze egzemplarze Enigmy. Co stało się przedmiotem paru opowieści filmowych, traktowanych niekiedy u nas jako zamach na nasze święte niezbywalne prawo własności.

Faktem jest, że Rejewskiego i Zygalskiego nie dopuszczono do tajników Bletchley Park. Podobno jednak początkowo zamierzano, tylko w 1940 r. nie zgodzili się na to Francuzi, którzy woleli przejąć całą trójkę naszych znakomitych kryptologów. A kiedy w 1943 r. dwóch z nich dotarło wreszcie do Anglii, sprawa się już mocno zdezaktualizowała.

Biogram Ludomira Danilewicza przypomina o mało znanym fakcie, że Polacy poza talentem swoich kryptologów szczęśliwym trafem mieli możność tajnego zapoznania się z egzemplarzem Enigmy, wprawdzie biznesowym, a nie wojskowym, ale jednak. Na pewno to pomogło.

Dla uzupełnienia obrazu polskich sukcesów na tym polu od czasów wojny bolszewickiej prezentujemy też życiorys Jana Kowalewskiego, postaci z wielu względów ciekawej. Nobilituje go jako polskiego patriotę to, że sam Stalin na najwyższych szczeblach żądał imiennie jego zdymisjonowania. W świecie, w którym przyszło nam żyć, była to oczywiście interwencja skuteczna...

Wszystkie wykorzystywane dziś biogramy ze „Słownika” wyszły spod pióra Grzegorza Nowika, poza dotyczącym Danilewicza, którego autorem był Krzysztof Dąbrowski.

Marian Adam Rejewski urodził się 16 sierpnia 1905 r. w Bydgoszczy. Był synem Józefa, kupca tytoniowego, i Matyldy z domu Thoms, córki właściciela browaru, z Torunia.

Od 1912 r. uczęszczał do niemieckiej szkoły podstawowej. W 1923 r. uzyskał maturę w gimnazjum klasycznym w Bydgoszczy, a następnie ukończył wydział matematyczno-przyrodniczy Uniwersytetu Poznańskiego (1929); studiował też (1929–1930) statystykę ubezpieczeniową w Getyndze. W latach 1930–1932 był asystentem prof. Z. Krygowskiego w Katedrze Matematyki Uniwersytetu Poznańskiego. Należał, wraz z Jerzym Różyckim i Henrykiem Zygalskim, do trójki wyróżniających się uczestników tajnego kursu kryptologii dla starannie wyselekcjonowanych 26 studentów Uniwersytetu Poznańskiego zorganizowanego (styczeń–maj 1929) przez Biuro Szyfrów Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego, ale go nie ukończył. Jednak po powrocie z Getyngi został we wrześniu 1930 r. dokooptowany do zespołu powstałego w poznańskiej filii Biura Szyfrów, a po jej likwidacji od września 1932 r. był zatrudniony w Referacie BS-4 (szyfry niemieckie) Sztabu Głównego WP. Po otrzymaniu od szefa BS-4 mjr. Maksymiliana Ciężkiego materiałów dotyczących niemieckiej maszyny szyfrowej Enigma w ciągu trzech miesięcy, stosując metody analizy matematycznej i lingwistycznej niemieckiej korespondencji, stworzył podstawy naukowe do łamania jej kodów i odtworzył schemat połączeń elektrycznych – głównie jej wirników szyfrujących, i odczytał pierwsze depesze (między Bożym Narodzeniem 1932 r. a Nowym Rokiem 1933 r.). Okresowa zmiana kolejności wirników (których liczba z czasem wzrosła z trzech do pięciu) oraz ich ustawienia wyjściowego powodowały, że wraz z nowym ustawieniem maszyny należało stosować skomplikowane obliczenia matematyczne w celu ustalenia owych zmian i na nowo łamać szyfr. Rejewski opracował metody oraz zaprojektował

Fot. MHP

Fot. NSA

eprasa.pl 209ccf7e7a

Marian Rejewski (1905–1980)

W końcu 1932 r. w ciągu trzech miesięcy, stosując metody analizy matematycznej i lingwistycznej niemieckiej korespondencji, stworzył podstawy naukowe do łamania kodów Enigmy, odtworzył schemat jej połączeń elektrycznych i odczytał pierwsze depesze

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

urządzenia umożliwiające odczytywanie szyfrogramów: cyklometr (1934) i tzw. bombę kryptologiczną (1938).

W przededniu wybuchu II wojny światowej, na polecenie najwyższych polskich władz wojskowych, zespół BS-4 zaprezentował i przekazał swoje doświadczenia i urządzenia (w tym zrekonstruowaną Enigmę) przedstawicielom brytyjskich i francuskich służb kryptologicznych, którym dotąd nie udało się złamać kodu Enigmy (24–27 lipca 1939). W opinii historyków był to jeden z ważnych czynników ułatwiających zwycięstwo sprzymierzonych w II wojnie światowej.



Po kampanii wrześniowej Rejewski został ewakuowany z Oddziałem II Sztabu Głównego WP do Rumunii, a następnie dotarł do Francji, gdzie pracował (29 września 1939 – 10 czerwca 1940) w polsko-francuskim zespole kryptologów (kryptonim: P.C. Bruno w Gretz-Armainvillers), zajmującym się dekryptażem niemieckiej korespondencji. Po kapitulacji Francji został ewakuowany do Oranu w Afryce Północnej, gdzie przebywał od 10 czerwca do 1 października 1940. Stamtąd powrócił do kontrolowanej przez rząd Vichy południowej części Francji, gdzie od 1 października 1940 do 6 listopada 1942 r. wznowił w konspiracji pracę ośrodka kryptologicznego (kryptonim: P.C. Cadix w Uzès k. Nîmes). Zagrożenie okupacją niemiecką spowodowało likwidację ośrodka i ewakuację personelu. Rejewski wraz z Zygalskim zbiegli do Hiszpanii, gdzie byli więzieni, i przez Portugalię oraz Gibraltar dotarli do Wielkiej Brytanii (6 listopada 1942 – 2 sierpnia 1943).

W stopniu szeregowca z cenzusem Rejewski rozpoczął służbę w kompanii radiowywiadu Sztabu Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych, dyslokowanej w Stanmore-Boxmoor pod Londynem. Awansowany 10 października 1943 r. do stopnia podporucznika, a 1 stycznia 1945 r. porucznika czasu wojny, został szefem sekcji „N" (niemieckiej) w tzw. Plutonie Eksploatacyjnym (Biurze Szyfrów), a następnie zastępcą kierownika referatu kompanii radiowywiadu Baonu Łączności. Prowadził tam do końca wojny dekryptaż mniej skomplikowanych szyfrów niemieckich oraz innych państw walczących, m.in. sowieckich. Brytyjczycy nie dopuścili go do tajemnic ośrodka Bletchley Park, gdzie na podstawie urządzeń otrzymanych w lipcu 1939 r. od polskiego wywiadu (m.in. tzw. bomby) z powodzeniem rozwijali prace nad łamaniem kolejnych udoskonalonych wersji Enigmy, a z czasem udało im się zbudować protokomputer Colossus. Rejewski ukończył kurs wywiadu (kryptonim: Oficerski Kurs Doskonalący Administracji Wojskowej), ale po zgłoszeniu chęci powrotu do kraju został skreślony z ewidencji wojskowej (1 listopada 1946).

Po powrocie do Polski (21 listopada 1946) Rejewski podjął w Bydgoszczy skromną pracę urzędnika finansowego w zakładach Kabel Polski, Państwowe Przedsiębiorstwo Miernicze oraz spółdzielczości pracy (1 lutego 1947 – 1 lutego 1967). Po przejściu na emeryturę napisał „Wspomnienia z mojej pracy w Biurze Szyfrów Oddziału II Sztabu Głównego w latach 1930–1945" (zdeponowane w Wojskowym Instytucie Historycznym), w których ujawnił swą rolę w złamaniu kodu Enigmy.

Został odznaczony m.in. Srebrnym Krzyżem Zasługi (1938), Srebrnym Krzyżem Zasługi z mieczami (1945), brytyjskimi The War Medal 1939–1945 (1948), Krzyżem Oficerskim (1978) i Wielkim (2000) Orderu Odrodzenia Polski.

09ccf7e7a

Jerzy Różycki (1909–1942)

Opracował metodę pozwalającą określić wybór i ustawienie wirnika Enigmy, tzw. metodę zegara, co ze względu na okresową zmianę kolejności wirników oraz ich położenia wyjściowego powodowało konieczność stosowania skomplikowanych obliczeń

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Jerzy Witold Różycki urodził się 24 lipca 1909 r. w Olszanie na Kijowszczyźnie. Był synem Zenona, aptekarza, i Wandy z Benitów.

Od 1917 r. kształcił się w Polskim Gimnazjum Kresowym w Kijowie. W 1918 r. przyjechał z rodzicami do Polski. W 1926 r. ukończył gimnazjum w Wyszkowie, w 1931 r. wydział matematyczno-przyrodniczy, a w 1937 r. geograficzny Uniwersytetu Poznańskiego. Znalazł się wśród 26 starannie wyselekcjonowanych spośród studentów uczestników tajnego kursu kryptologii, zorganizowanego przez Biuro Szyfrów Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego (styczeń–maj 1929). W przypadku Różyckiego zadecydowały o tym biegłość matematyczna, talent lingwistyczny i biegła znajomość języka niemieckiego. Znalazł się w trójce absolwentów tego kursu (obok Mariana Rejewskiego i Henryka Zygalskiego) i już od czerwca 1929 r., będąc jeszcze studentem, został zatrudniony w poznańskiej filii Biura Szyfrów, a po jej likwidacji, od września 1932 r. w Referacie BS-4 (szyfry niemieckie) Sztabu Głównego WP w Warszawie. Zadecydowało o tym odczytanie przez Różyckiego autentycznej depeszy Reichswehry zaszyfrowanej najtrudniejszym z szyfrów stosowanych podczas I wojny światowej, tzw. Doppelwürfelverfahren (szyfrem podwójnego podstawienia).

Pracował m.in. nad łamaniem kodu niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma. Opracował metodę pozwalającą określić wybór i ustawienie wirnika Enigmy, tzw. metodę zegara, co ze względu na okresową (od 1 września 1936 codzienną) zmianę kolejności wirników (których liczba z czasem wzrosła z trzech do pięciu) oraz ich położenia wyjściowego powodowało konieczność stosowania skomplikowanych obliczeń matematycznych.



Jerzy Różycki jeszcze jako student został wytypowany w 1929 r. na uczestnika tajnego kursu kryptologii Biura Szyfrów Oddziału II Sztabu Głównego WP. Zadecydowały o tym biegłość matematyczna, talent lingwistyczny i biegła znajomość języka niemieckiego

Po kampanii wrześniowej Różycki został ewakuowany z Oddziałem II Sztabu Głównego WP do Rumunii, dotarł do Francji, gdzie podobnie jak Rejewski pracował w zespole kryptologów w Gretz-Armainvillers, potem w Oranie, a następnie w Uzès k. Nîmes. Oddelegowany do Algieru (1 października 1940 – październik 1941), podczas powrotu do Francji zginął na Morzu Śródziemnym k. Balearów w katastrofie morskiej statku pasażerskiego SS Lamoricière.

Udział Różyckiego w rozszyfrowaniu Enigmy został ujawniony przez francuskiego gen. G. Bertranda, który już w 1932 r. współpracował z zespołem BS-4, dopiero 5 października 1973 r.

Różycki za życia był odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi (1938), pośmiertnie zaś m.in. Srebrnym Krzyżem Zasługi z mieczami (1945), brytyjskim The War Medal 1939–1945 (1948) i Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski (2000).

Syn Różyckiego, Jan Janusz (z małżeństwa zawartego w 1938 r. z Barbarą z domu Mayka), ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie i zdobył srebrny medal w polskiej drużynie florecistów na olimpiadzie w Tokio (1964).

eprasa.pl 209ccf7e7a

Ludomir Danilewicz (1904–1971)

Kiedy we wrześniu 1938 r. Niemcy zmienili sposób posługiwania się Enigmą i dotychczasowe metody dekryptażu okazały się nieprzydatne, Danilewicz wspólnie z bratem niezwłocznie skonstruowali umożliwiające to urządzenie, tzw. bombę

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Ludomir Danilewicz urodził się 15 września 1904 r. w stanicy Niewinnomyskaja na Kubaniu. Był synem Jana, lekarza chirurga, i Amelii z domu Billi.

Naukę w gimnazjum rozpoczął w Rostowie nad Donem, w 1919 r. wraz z rodziną przeniósł się do Polski. Od 1920 r. uczył się w Sosnowcu, a następnie w Warszawie, gdzie w 1923 r. rozpoczął studia na wydziale elektrotechnicznym Politechniki Warszawskiej. Stał się jednym z pionierów krajowego radioamatorskiego krótkofalarstwa, w 1926 r. na I Ogólnokrajowej Wystawie Radiowej w Warszawie zdobył wraz z bratem, Leonardem Stanisławem, złoty medal za konstrukcję radiostacji krótkofalowej. W tymże roku był współzałożycielem Polskiego Klubu Radionadawców i wraz z Albertem Chomiczem Wytwórni Aparatów Elektrycznych „Dacho", współpracował także z Wytwórnią Aparatów Elektrycznych Jerzego Rodkiewicza. W 1928 r. wspólnie z bratem, Antonim Palluthem i Edwardem Fokczyńskim założył w Warszawie przy wsparciu II Oddziału Sztabu Głównego Wojska Polskiego Wytwórnię Radiotechniczną AVA wykonującą radiostacje krótkofalowe, m.in. okrętowe i lotnicze (pierwsze na świecie zasilane prądem zmiennym), a także transformatory, kondensatory obrotowe i radioodbiorniki. Z tego okresu datują się pierwsze patenty Danilewicza.

W latach 1931–1933 uczęszczał do Szkoły Podchorążych Rezerwy w Zegrzu, którą ukończył w stopniu porucznika. Od 1927 r. był zaangażowany w prace nad odtworzeniem niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma; w ciągu dwóch dób sporządził dokumentację techniczną jej handlowej wersji, z którą w wyniku zbiegu okoliczności udało mu się zapoznać dzięki przechwyconej przejściowo na lotnisku Okęcie przesyłce. Umożliwiło to mu skonstruowanie w latach 1929–1930, wspólnie z Gwidonem Langerem i Maksymilianem Ciężkim, maszyny szyfrującej Lacida (nazwa od pierwszych sylab nazwisk jej twórców), służącej jako kopia Enigmy, od lutego 1933 r. (po złamaniu jej kodu) wytwarzanej w firmie AVA. Następnie Danilewicz zajął się oscylatorami kwarcowymi (mającymi zastosowanie w przenośnych namiernikach służących do lokalizacji i identyfikacji nadajników radiowych), które weszły do produkcji w 1935 r. Kiedy we wrześniu 1938 r. Niemcy zmienili sposób posługiwania się Enigmą i dotychczasowe metody dekryptażu okazały się nieprzydatne, Danilewicz wspólnie z bratem niezwłocznie skonstruowali umożliwiające to urządzenie, tzw. bombę. Dwa jej egzemplarze przekazano w lipcu 1939 r. Wielkiej Brytanii i Francji. W latach 1936–1939 AVA uzyskała dziewięć patentów z dziedziny radiotechniki, których autorem lub współautorem był Ludomir Danilewicz.



Fot. Jarosław Kozaczuk, W kręgu Enigmy/Wikipedia

Opatentował też urządzenie do równoważenia mas napędu korbowego w silnikach spalinowych, co umożliwiło powstanie rodziny silników GAD (skonstruowanych wraz ze Stefanem Gajęckim) do łodzi motorowych. W związku z tymi pracami Danilewicz zajął się sportem motorowodnym, startując w barwach Akademickiego Związku Sportowego i odnosząc wiele sukcesów (m.in. w 1937 r. wygrał wyścig na trasie Warszawa–Świder–Warszawa).

Ewakuowany 7 września 1939 r. Danilewicz dotarł przez Rumunię, Jugosławię i Włochy 2 listopada do Paryża. Do czerwca 1940 r. pracował w Société Anonyme des Industries Radio, następnie działał w polskiej misji w Aix-les-Bains koło Grenoble. Potem przez Hiszpanię dotarł do Lizbony, skąd w lipcu 1942 r. wodnopłatem dostał się do Irlandii, a stamtąd do Wielkiej Brytanii. Pracował tam przez jakiś czas jako radionawigator lotniskowy polskiego Dywizjonu 304, a następnie do 1945 r. w Polish Wireless Research Unit w Stanmore, gdzie wytwarzano m.in. zminiaturyzowane radiostacje Tadeusza Heftmana oraz elektromagnetyczne wykrywacze min Józefa Kosackiego. W 1948 r. Danilewicz otrzymał wysokie brytyjskie odznaczenie za zasługi wojenne.

Po wojnie dokończył studia inżynierskie i działał, m.in. jako konsultant, w firmach Plessey, British Communication Corporation, Aircraft Steel Structures, Simms Motor Units Ltd. Uzyskał 12 patentów brytyjskich, 4 kanadyjskie, 1 amerykański, 1 francuski i 1 duński (część wspólnie z bratem). Zmarł na atak serca. Towarzysząca mu w perypetiach wojennych żona (od 1927 r.), Maria z domu Markowska (secundo voto Zielińska), była pisarką i wybitną działaczką emigracyjną, twórczynią i długoletnią kierowniczką Biblioteki Polskiej w Londynie.

eprasa.pl 209ccf7e7a

Henryk Zygalski (1908–1978)

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Opracował koncepcję perforowanych arkuszy dużego formatu, służących ustaleniu kolejności wirników szyfrujących Enigmy

Henryk Zygalski urodził się 15 lipca 1908 r. w Poznaniu, jako syn Michała i Stanisławy z Kieliszów, prowadzących pracownię krawiecką.

Ukończył podstawową szkołę niemiecką, w 1926 r. Gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu, a w 1932 r. wydział matematyczno-przyrodniczy Uniwersytetu Poznańskiego. Następnie został asystentem prof. Z. Krygowskiego w Katedrze Matematyki tej uczelni (1931–1932). Znalazł się w trójce najbardziej wyróżniających się uczestników (wraz z Marianem Rejewskim i Jerzym Różyckim) tajnego kursu kryptologii zorganizowanego przez Biuro Szyfrów Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego (I–V 1929) i jesienią 1929 r. został zatrudniony w Ekspozyturze RW (radiowywiadu) w poznańskiej Cytadeli, a we wrześniu 1932 r. przeniesiono go do Referatu BS-4 (szyfry niemieckie) Sztabu Głównego WP w Warszawie.

Pracował m.in. nad łamaniem kodu niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma. Zygalski opracował koncepcję tzw. płacht Zygalskiego, perforowanych arkuszy dużego formatu (trudnych do wykonania z powodu konieczności zachowania precyzji i przez to pracochłonnych) służących ustaleniu kolejności wirników szyfrujących Enigmy.

Po kampanii wrześniowej ewakuowany z Oddziałem II SG WP do Rumunii, dotarł do Francji, gdzie pracował w zespole kryptologów w Gretz-Armainvillers, po kapitulacji Francji w Oranie, a od października 1940 r. w Uzès koło Nîmes. Wraz z Rejewskim z trudnościami dotarł przez Hiszpanię, Portugalię i Gibraltar do Wielkiej Brytanii w 1943 r. Tak samo



Fot. Wikipedia

w stopniu szeregowca z cenzusem rozpoczął służbę w sekcji „N" radiowywiadu Sztabu Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych w Stanmore-Boxmoor pod Londynem. Prowadził tam do końca wojny dekryptaż mniej skomplikowanych szyfrów niemieckich i innych (1943–1946). Brytyjczycy również nie dopuścili go do tajemnic ośrodka Bletchley Park.

Po wojnie pozostał na emigracji w Wielkiej Brytanii. Uzyskał dyplom studiów matematycznych w Imperial College of Technology (1948–1950), był wykładowcą w Polish University College, w Battersea College of Technology i w University of Surrey. Polski Uniwersytet na Obczyźnie w Londynie nadał mu doktorat honoris causa (1977).

Został odznaczony m.in. Srebrnym Krzyżem Zasługi (1938), Srebrnym Krzyżem Zasługi z mieczami (1945), brytyjskim The War Medal 1939–1945 (1948), Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski (2000).

Urodził się 23 lub 24 października 1892 r. w Łodzi jako syn Józefa i Zdzisławy z Kowalskich.

Po ukończeniu w 1910 r. Szkoły Handlowej Kupiectwa Łódzkiego studiował na uniwersytecie w Liège, gdzie w 1913 r. uzyskał półdyplom inżyniera chemii technicznej, po czym odbył staż w polskiej cukrowni w Białej Cerkwi na Ukrainie. Po wybuchu I wojny światowej zmobilizowany do armii rosyjskiej ukończył Oficerską Szkołę Saperów (1916), walczył na froncie rumuńskim, a od 1917 r. w polskich formacjach na Ukrainie, gdzie zajmował się wywiadem w 4. Dywizji Strzelców Polskich gen. L. Żeligowskiego w Odessie (do kwietnia 1919), w sztabie armii gen. J. Hallera na Wołyniu (maj–czerwiec tego roku), a od czerwca 1919 r. był porucznikiem w Oddziale II Sztabu Głównego Wojska Polskiego.

Obdarzony ponadprzeciętnymi zdolnościami matematycznymi, wyobraźnią strukturalną i biegle znający kilka języków obcych (rosyjski, niemiecki, francuski), w sierpniu 1919 r. Kowalewski zastępował przypadkowo na nocnym dyżurze kolegę z radiowywiadu. Spróbował dla zabicia czasu odczytywać przechwytywane sowieckie depesze. Wyszedł z założenia, że musi się w nich niejednokrotnie mówić o diwizji (a w tym przypadku wyraz ów zawiera trzykrotnie tę samą literę: „i"). Szyfr był prymitywny, więc do rana udało się Kowalewskiemu go złamać. Ujawniony w ten sposób talent kryptoanalityka spowodował powierzenie mu organizacji radiowywiadu Biura Szyfrów Oddziału II Sztabu Głównego WP oraz komórek dekryptażu w sztabach polskich frontów i armii. Kowalewski zatrudnił w Biurze Szyfrów wybitnych matematyków: Stanisława Leśniewskiego, Stefana Mazurkiewicza i Wacława Sierpińskiego, zapoczątkowując niestosowaną wcześniej metodę jednoczesnego ataku na szyfry: lingwistycznego i matematycznego. Okazało się to zaskakująco skuteczne – podczas wojny polsko-bolszewickiej do końca 1920 r. odczytano ok. 4 tys. szyfrogramów, głównie Armii Czerwonej (a w przy-

Fot. NAC

eprasa.pl 209ccf7e7a

Jan Kowalewski (1892–1965)

W 1919 r. złamał w jedną noc szyfr, którym posługiwały się bolszewickie oddziały. Ujawniony w ten sposób talent kryptoanalityka spowodował powierzenie mu organizacji radiowywiadu Biura Szyfrów Oddziału II Sztabu Głównego WP oraz komórek dekryptażu w sztabach polskich frontów i armii

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

szłości miało zaowocować złamaniem kodu Enigmy).

Jesienią 1920 r. Kowalewski został oddelegowany na Górny Śląsk, gdzie jako szef wywiadu Dowództwa Obrony Plebiscytu zajmował się łamaniem niemieckich szyfrów radiowych. W 1923 r. na zaproszenie japońskich władz wojskowych prowadził w Tokio trzymiesięczny kurs kryptoanalizy dla oficerów radiowywiadu. W następnych latach opiekował się japońskimi stażystami w polskim Biurze Szyfrów, kładąc podwaliny współpracy w nasłuchu radiowym ZSRR prowadzonym z Polski i z Mandżurii.

Awansowany na majora, ukończył paryską École Supérieure de Guerre (1925–1927). Jako znawca Rosji i Armii Czerwonej był następnie attaché wojskowym w Moskwie (wielokrotnie osobiście referował swe spostrzeżenia marszałkowi J. Piłsudskiemu), a po wydaleniu go przez władze ZSRR – w Bukareszcie (1933–1937). W 1937 r. krótko działał we władzach Obozu Zjednoczenia Narodowego, uważał bowiem współpracę z opozycją za konieczność w sytuacji zagrożenia ze strony Niemiec, ale niebawem zniechęcił się do polityki. W latach 1938–1939 był dyrektorem związanego z polskim wywiadem przedsiębiorstwa skupu surowców strategicznych TISSA (Towarzystwo Importu Surowców SA).

Po kampanii wrześniowej i ewakuacji do Rumunii stał na czele Centralnego Polskiego Komitetu Pomocy



i Opieki nad Uchodźcami w Bukareszcie. Od stycznia 1940 r. przebywał we Francji i kierował tajną misją wymierzoną przeciw interesom niemieckim na Bałkanach. Tuż przed upadkiem Francji wyjechał do Lizbony, gdzie działał od listopada 1940 r. w międzysojuszniczym komitecie ds. uchodźców z okupowanych przez Niemców krajów Europy. Jednocześnie prowadził działalność wywiadowczą i działalność na rzecz przeciągnięcia niektórych sojuszników Niemiec na stronę aliancką (co wiązało się m.in. z brytyjskimi planami utworzenia drugiego frontu na Bałkanach). Pośredniczył w nawiązaniu kontaktów z Włochami przed ich kapitulacją. Po konferencji w Teheranie (28 listopada – 1 grudnia 1943) Stalin imiennie wskazał Kowalewskiego jako osobę działającą przeciw interesom ZSRR, żądając jego odwołania z Portugalii.

Po przyjeździe do Londynu (5 kwietnia 1944) Kowalewski kierował Polskim Biurem Operacyjnym przy Special Forces Headquarters, przygotowujących lądowanie Sprzymierzonych w Normandii. Po zakończeniu wojny pozostał na emigracji. Od 1944 r. wydawał w Londynie czasopismo „East Europe" (od lipca 1950 „East Europe and Soviet Russia"). Jako sowietolog publikował w „Zeszytach Historycznych" i występował w Radiu Wolna Europa. W stulecie powstania styczniowego poddał dekryptażowi i rozwiązał korespondencję szyfrową Rządu Narodowego z lat 1863–1864, przechowywaną w zbiorach brytyjskich.

Zmarł na raka.

Został odznaczony m.in. Krzyżem na Śląskiej Wstędze Waleczności (1921), Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari (1922), japońskim Orderem Wschodzącego Słońca III klasy.

Dodatek powstał we współpracy z IPN | 38/0821/F

eprasa.pl 209ccf7e7a

Pamiętajmy o ofiarach stanu wojennego



ZAPAL ŚWIATŁO WOLNOŚCI
19.30

13. 12. 2021 r.

więcej na ipn.gov.pl

dyskusje mobilna gra wykłady
koncerty wydawnictwa

40 rocznica wprowadzenia stanu wojennego

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

eprasa.pl 209ccf7e7a

Godna, bezpieczna, aktywna jesień życia

Za nami sześć lat rządów Prawa i Sprawiedliwości. Przez ten krótki okres zmieniło się tak wiele w życiu Polaków. Wsparcie dla rodzin, walka z bezrobociem, wyższe płace, troska o seniorów i osoby z niepełnosprawnościami, tarcza antykryzysowa osłaniająca rynek pracy w najtrudniejszych chwilach pandemii – te działania stworzyły nową jakość codziennego życia w dzisiejszej Polsce

Inwestując w przyszłe pokolenia, rząd nie zaniedbuje polityki senioralnej. W 2015 r. wsparcie dla seniorów wynosiło łącznie 3,62 mld zł, tymczasem wydatki w bieżącym roku są szacowane na sumę dziesięciokrotnie wyższą.

– Poprawa jakości życia wszystkich Polaków – niezależnie od wieku, stopnia sprawności czy miejsca zamieszkania – była od samego początku naszych rządów jednym z najważniejszych celów. Jedną z grup, która wymaga szczególnego zaopiekowania, są bez wątpienia osoby starsze. […] Chcemy zapewnić im godną, bezpieczną i możliwie aktywną jesień życia – mówiła minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg 1 grudnia podczas debaty „Polityka senioralna – 6 lat za nami".

Polityka senioralna rządu Prawa i Sprawiedliwości opiera się na dwóch filarach. Pierwszym są działania zapewniające bezpieczeństwo finansowe osób starszych. Drugi filar to programy wspierające szeroko pojętą aktywność seniorów.

BEZPIECZEŃSTWO FINANSOWE

Przywrócenie wieku emerytalnego było jedną z kluczowych obietnic zrealizowanych przez rząd. 1 października 2017 r. został przywrócony wiek emerytalny obowiązujący od końca 2012 r., a więc: 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn. Ustawa przywróciła wolność wyboru, określając jedynie minimalny wiek emerytalny uprawniający do świadczenia.

W 2019 r. po raz pierwszy wypłacono 13. emeryturę. Od zeszłego roku jest gwarantowane ustawą coroczne świadczenie pieniężne dla wszystkich emerytów i rencistów – bez kryterium dochodowego, których mamy niemal 10 mln. „Trzynastka" wypłacana jest w wysokości najniższej emerytury i nie są pobierane od niej żadne potrącenia ani egzekucje. Dodatkowo w tym roku portfele polskich emerytów zasiliła 14. emerytura, na którą przeznaczono 11 mld zł.

Waloryzacja świadczeń emerytalno-rentowych przyniosła wzrost minimalnej emerytury od roku 2015 o ponad 42 proc. W projekcie ustawy budżetowej na 2022 r. przyjęto wskaźnik waloryzacji emerytur i rent w wysokości 104,89 proc. Kwota minimalnej emerytury wzrośnie o 61,17 zł, do poziomu 1312,05 zł.

Od 1 marca 2019 r. wypłacane jest wsparcie dla osób, które poświęciły się wychowaniu czwórki, piątki lub większej liczby dzieci, rezygnując z pracy zawodowej lub pracując za krótko, by uzyskać prawo do choćby minimalnej emerytury – Mama 4+. Świadczenie to ma wysokość minimalnej emerytury. Od początku działania programu przyznano ponad 61,7 tys. świadczeń na kwotę ponad 1,17 mld zł.

AKTYWIZACJA

Program Senior+ to wsparcie dla jednostek samorządu terytorialnego w tworzeniu i prowadzeniu dziennych domów i klubów dla seniorów. Celem programu jest zwiększenie uczestnictwa społecznego osób starszych. Przez ostatnie sześć lat zwiększono liczbę placówek z 99 do blisko tysiąca. Do 2025 r. na program rząd przeznaczy 300 mln zł.

Aktywni+ to program kontynuujący ideę Rządowego Programu na rzecz Aktywności Społecznej Osób Starszych na lata 2014–2020. Jego budżet to 40 mln zł rocznie. W 2021 r. na realizację projektów wspierających aktywność seniorów otrzymało 319 organizacji.

Zgodnie z rekomendacjami ministerstwa powoływani są kolejni pełnomocnicy ds. polityki senioralnej przy wojewodach – aby jeszcze lepiej dostosować politykę senioralną rządu do rzeczywistej sytuacji osób starszych w ich miejscu zamieszkania.

POLSKI ŁAD

W ramach reformy systemu podatkowego od emerytury i renty do 2,5 tys. zł miesięcznie nie będzie odprowadzany podatek dochodowy, a to oznacza powiększenie tych świadczeń o jego kwotę. Emeryci i renciści o wyższych świadczeniach zapłacą podatek tylko od kwoty przekraczającej 2,5 tys. zł.

– W Polskim Ładzie, czyli wielkim planie rozwoju dla Polski na kolejne lata, nie zapomnieliśmy o seniorach. […] Na zmianach skorzysta ponad 90 proc. seniorów. Wiemy, że była to oczekiwana społecznie zmiana, a my słuchamy Polaków – podkreśliła podczas debaty minister Marlena Maląg.

Materiał powstał przy współpracy z Ministerstwem Rodziny i Polityki Społecznej | 7/1221/F

eprasa.pl 209ccf7e7a

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

wSIECI HISTORII

Historia II wojny światowej opowiedziana w nietypowy sposób – poprzez 100 przedmiotów, które towarzyszyły Polakom w latach 1939–1945.



- List z oflagu i guziki z Katynia
- Symbol Polski Walczącej
- Orzełek berlingowców
- Pepesza – główna broń w bitwie pod Lenino
- Opaska z gwiazdą Dawida

NOWATORSKI SPOSÓB OPOWIEDZENIA DZIEJÓW POLSKI | PIĘKNE ZDJĘCIA | DUŻE WYDANIE ALBUMOWE | 464 STRONY

50 książek w prezencie

Fot. Shutterstock



Książkę **„II wojna światowa Polaków w 100 przedmiotach”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **280 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl 209ccf7e7a



Filmy „Furioza” i – najnowsza premiera – „Powrót do tamtych dni” pokazały Weronikę Książkiewicz w zupełnie nowym aktorskim świetle. To już nie tylko urocza dziewczyna z romantycznych komedii czy telewizyjnych seriali

Mocne role Weroniki

Fot. Gałązka / AKPA

Autopromocja

eprasa.pl 209ccf7e7a



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Do tego roku jej nazwisko kojarzyło się z komediami romantycznymi typu „Planeta singli" czy „Mayday" oraz z serialami (w ostatnim czasie: „Lepsza połowa" i „Leśniczówka"). Rok 2021 przyniósł spektakularne zmiany w wizerunku aktorki.

RODZINNA HISTORIA

Na duży ekran trafił właśnie film „Powrót do tamtych dni" w reżyserii Konrada Aksinowicza. Rodzinna historia z początku lat 90., utrzymana w kolorycie czasu przełomu – zarobkowej emigracji, rodzinnego życia na odległość, materialnego statusu mierzonego dolarowymi zakupami (m.in. tak ważnych dla nastoletniego bohatera klocków Lego czy magnetowidu otwierającego dostęp do światowych hitów zapisanych na taśmach VHS).

Jednak „Powrót do tamtych dni" to nie tylko klimat przeszłości, w którym – to warto podkreślić – Weronika Książkiewicz świetnie się odnalazła, ale też wpisany w losy bohaterów ponadczasowy problem.

Przyjmując rolę matki dorastającego syna oraz żony konfrontującej się z nałogiem męża, aktorka stanęła przed karkołomnym zadaniem – stworzenia wiarygodnej dramatycznej kreacji, która wymagała równocześnie zgrania się z nastoletnim debiutantem (rewelacyjny Teodor Koziar), jak i aktorskiego zderzenia z filmowo-estradowym wyjadaczem, czyli Maciejem Stuhrem. Tu w życiowej roli alkoholika. Ojca i męża, który decydując się na powrót do kraju, wywraca ledwie odbudowany po jego wyjeździe do USA domowy spokój.

Fot. mat. prasowe (2)



„DZIKA" NA URODZINY

„Powrót do tamtych dni" jest kolejnym, w mijającym roku, pozytywnym zaskoczeniem związanym z pracą Weroniki Książkiewicz. Prawdziwą bombą była „Furioza" w reżyserii Cypriana T. Olenckiego.

Dla roli – o którą zresztą musiała powalczyć, bo ani producent, ani reżyser nie widzieli w niej „wypranej z emocji, twardej policjantki" – aktorka zdecydowała się na niemałe zmiany. Przez wiele miesięcy trenowała na siłowni i opanowywała podstawy sztuk walki. Na koniec obcięła włosy. – Przeszłam długą drogę, by stworzyć „Dziką" – mówiła. – Momentami jest (ona) dużo silniejsza niż przypakowani mężczyźni na ekranie.

Przygotowania do „Furiozy" rozpoczęły się w 2019 r. Pandemia sprawiła, że film trafił do kin pod koniec października 2021 r. Siedem miesięcy wcześniej aktorka świętowała swoje 40. urodziny.

KAWIOR I PARÓWECZKI

Przyszła na świat w Moskwie (jest córką choreografki i tancerki baletowej Beaty Książkiewicz oraz Rosjanina Fiodora Lewina). Wychowywała się w Poznaniu. Z dzieciństwa – jak wspomina – oprócz kawioru przywożonego przez moskiewską babcię zapamiętała... parówki. Stało się po nie w kolejkach. Kiedy tylko polska babcia zrobiła zakupy, dawała wnuczce paróweczkę. – Uwielbiałam ten smak – przyznaje aktorka.

Rosyjska babcia – piękna kobieta, która wspaniałe długie włosy układała w kok – powtarzała jej, że trzeba o siebie bardzo dbać. I pięknie się ubierać. – Nie myślała jednak o kosztownych strojach, tylko o tym, że kobieta, niezależnie od okoliczności, powinna być zadbana. I mówiła to osoba o wielkim umyśle, mikrobiolog szefujący w moskiewskim instytucie całej katedrze – podkreśla Książkiewicz.

JAK KTOŚ O CZYMŚ NIE MYŚLI, TO...

Szczęśliwe dzieciństwo aktorka spędziła, ćwicząc balet i gimnastykę artystyczną, ale też rozbijając kolana na poznańskim podwórku. Łódzką Filmówkę ukończyła w 2005 r. i w tym samym roku zadebiutowała – na małym ekranie w serialu „Samo życie" i w epizodzie kinowego filmu „Karol – człowiek, który został papieżem".

Popularność dały jej role w serialach (m.in. „Prawo miasta", „Brzydula", „Chichot losu", „Piąty stadion", „Na noże") oraz lżejszych gatunkowo filmach (m.in. „Los numeros", „Podejrzani zakochani", „Dzień dobry, kocham cię!", trzy części „Planety singli"). 31 grudnia do kin wejdzie kolejna komedia romantyczna z udziałem Książkiewicz – „Szczęścia chodzą parami" w reżyserii Bartosza Prokopowicza. Stworzyła w niej główną filmową parę z Michałem Żurawskim.

Aktorka zapewnia jednak, że jej bohaterka nie jest postacią typową dla gatunku: – Gram silną, niezależną kobietę, projektantkę samochodów, która nie jest nastawiona na robienie kariery, a na realizowanie swojej największej pasji. Totalnie nie myśli o życiu prywatnym. A wiadomo, że jak ktoś o czymś nie myśli, to zazwyczaj w tej kwestii niespodziewanie zaczyna się coś dziać.



eprasa.pl 209c

Reklama | 36/1221/F

POLSKI ŁAD

Emerytura bez podatku do 2500 zł

od 1 **stycznia 2022 r.**

- **Zysk dla** ponad **8 milionów** osób
- Rocznie to nawet **2 250 zł więcej w portfelu** seniora
- **Podatek** tylko od świadczeń **powyżej 2 500 zł**

Chcemy by w jesieni życia seniorzy mogli żyć godnie. W ramach solidarności międzypokoleniowej nasz rząd przejawia stałą troskę o los i bezpieczeństwo emerytów i rencistów. Emerytura bez podatku to kolejny instrument w ramach konsekwentnie realizowanej od 6 lat polityki senioralnej, po 13. i 14. emeryturze. To przejaw wdzięczności dla seniorów oraz spełnienie obietnicy o lepszym i bardziej sprawiedliwym systemie podatkowym.

Marlena Maląg
Minister Rodziny i Polityki Społecznej

gov.pl/rodzina



Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej

eprasa.pl 209ccf7e7a

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Poruszający komiks Nowakowskiego

Jedynka TVP pokazała swój film „Babilon. Raport o stanie wojennym" w niedzielę 12 grudnia, a TVP Historia powtórzy go 13 grudnia. Kto nie widział, może zobaczyć na VOD. Nie tylko dlatego, że mamy 40. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego.

To produkt duetu: historyka Macieja Dancewicza i aktora Marka Bukowskiego. Napisali scenariusz, a Bukowski przyrządził go jako reżyser. Trzeba też wymienić producenta Piotra Mikołajczaka. Dancewicz, Bukowski i Mikołajczak zrobili niedawno Teatr Telewizji o Tadeuszu Dołędze-Mostowiczu, zaskakujący, bo odbrązawiający Polskę sanacyjną. A teraz wzięli na warsztat „Raport o stanie wojennym" Marka Nowakowskiego, mistrza obserwacji, szczegółu, języka.

„Raport" to zbiór opowiadań, portrecików z życia, które składają się na obraz Warszawy podczas stanu zapaści. Pisarz podpatruje, a jednak oddaje historyczny wymiar tamtych chwil. Przeskakuje od zgryźliwej ironii do patosu. I mówi coś ogólniejszego o Polakach.

Bukowski z Dancewiczem zrobili z tego opowieść o jednym dniu – 3 maja 1982 r., kiedy przez stolicę przetoczyły się demonstracje. Długo wydaje się ta historia prościutka, na dokładkę inkrustowana obrazkami z komiksu. Ktoś powie: zbyt czarno-biała. Ale zaświadczam: oddająca klimat tamtych dni. Te sytuacje jak z okupacji, z nakręconymi żądzą bicia zomowcami, wyglądały jak ponury komiks. Jestem o rok starszy od Jacka Korczyka, 17-letniego bohatera zdarzeń. Ja też uciekałem po tych ulicach przed milicją.

Bukowski oddaje szczegóły rytuałów: ulicznych rewizji dokonywanych przez nagrzane patrole, ulotek sypiących się z okien i dramatu demonstrantów zwożonych na komendy w jednym celu – aby ich pobić. Młodzi byli szczególnie narażeni na odwet, to geneza historii Grzegorza Przemyka. Po części to więc opowieść pokoleniowa. A zarazem zomowcy też byli młodzi. Zdeterminowani miejscem urodzenia, wychowaniem...

Czy miasto tętniło tak duchem oporu, jak opowiada narrator Henryk Talar? Chwilami tak się zdawało. Pamiętam ten nieuchwytny klimat porozumienia w autobusach, bezinteresowne gesty pomocy demonstrantom przez pozornie niezaangażowanych. Zarazem byli i inni, tacy jak moja daleka kuzynka. Zadziwiła nas opowieścią, że to teraz czuje się bezpieczna. Może o nich za mało w filmie, choć jest oportunistyczny dyrektor szkoły (znakomity Sławomir Orzechowski), woźny donosiciel czy złamany kierownik w zakładach radiowych.

Zawahałem się przy tragicznym zakończeniu. Wszak ofiary stanu wojennego są policzone. Ale skoro już przyszła wreszcie po 40 latach moda na tamte czasy w filmie, można spojrzeć na nie rozmaicie. Bardziej z czeska, jako zbiór śmiesznostek i sentymentów („Zupa nic" Kingi Dębskiej, tam też jest w tle stan wojenny, ale jako temat rodzinnych waśni). Albo z przypomnieniem, że wielu ludziom łamano jednak życie. Ktoś z moich młodszych kolegów przy okazji filmu „Autsajder" Adama Sikory z roku 2018 r. nie wierzył, że zomowcy katowali serio. Otóż robili to. Dobrze, że powstał film Jana Matuszyńskiego o Przemyku, i dobrze, że zabrał się za ten temat Bukowski.





Jolanta Fraszyńska, Przemysław Bluszcz, Piotr Głowacki, Krzysztof Wakuliński, także Maciej Mikołajczyk jako psychopatyczny kapral ZOMO, pięknie rysują postaci, pozwalając się domyślać tego, co w zgiełku zdarzeń niewypowiedziane. Bukowski obsadził w roli Jacka swojego syna Szymona. Twierdzi, że ten wybór był nieoczywisty. Ale myślę, że chciał za jego pośrednictwem utożsamić się ze zdarzeniami, które sam przeżywał jako 12-latek na prowincji. Szymon Bukowski zagrał bardzo prawdziwie. Przypomniał, że nie wszystkim udało się przejść tamte czasy suchą nogą.

Piotr Zaremba

Reklama | 33/1221/F

DOBROCI
BY STACJA7

STACJA7.PL

JUTRO NIEDZIELA
ROK C

Analiza
Liturgii Słowa
na każdą
niedzielę roku



zamów w **dobroci.pl**

eprasa.pl 209ccf7e7a



Ta nasza młodość

Wydarzenia roku 1989 nigdy nie zostały opisane w sposób systematyczny i porównawczy: może warto to zrobić, póki znajdujemy się w tej samej epoce, choć jak się zdaje już u jej końca?

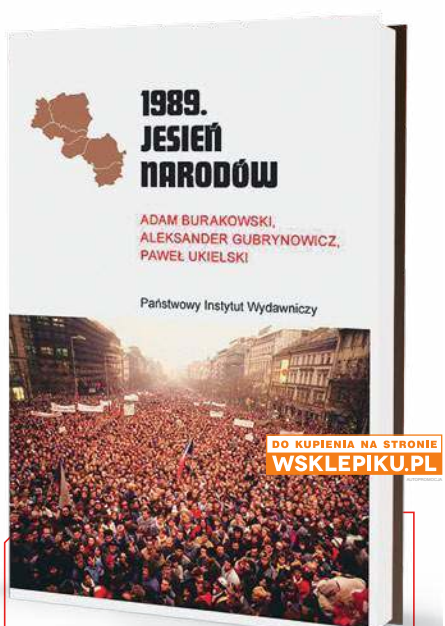
Wojciech Stanisławski

„Iliescu pojawił się na balkonie KC o 17:30. Zaczął od słów »Szanowni Towarzysze!« i został wygwizdany. Po interwencji znanego reżysera Sergiu Nicolaescu nowy przywódca zmienił ton i rozpoczął ponownie: »Drodzy Obywatele!«. Zostało to przywitane oklaskami i w ten sposób nowa ekipa uzyskała pewną legitymację społeczną".

Już ładunek groteski zawarty w tej scenie pokazuje, jak wiele jest do przeczytania o roku 1989. Dokładniej – o tej, według Arendt, najbardziej niezwykłej w polityce (ale też wyzwalającej) sytuacji, gdy władza naprawdę leży na ulicy, gdy o przejęciu steru rządów decydują nie miliony głosów, kampanie medialne, układ sił w KC czy Sztabie Generalnym, lecz rzeczy drobne: zgrabna wypowiedź w studiu telewizyjnym, poklask kilkusetosobowego tłumu, wyżej lub niżej puszczona seria.

Opis dynamiki wydarzeń, które miały miejsce w latach 80. w sześciu krajach bloku wschodniego, zbudowany został świetnie: po syntezie powojennego 40-lecia następuje bardziej szczegółowy opis lat 80., czasu stagnacji i reagowania na przemiany w ZSRS. Szczegółowość opisu wzrasta z każdym miesiącem, w momentach przełomowych (dla Czechosłowacji będzie to listopad, dla Polski czas od czerwca do września, dla Rumunii – grudzień) zbliżając się do drobiazgowości reportażu. Ukazywani są kluczowi aktorzy, przesilenia, sceny uliczne i kuluarowe – potem zaś narracja znów przyspiesza: czytamy o latach postkomunizmu, postnej stabilizacji, dochodzeniu dawnej elity do władzy, wreszcie – o istniejących źródłach do przebiegu „jesieni narodów" w danym kraju, ważnych dyskusjach nad przebiegiem i sensem tamtych wydarzeń.

Nawet w przypadku Polski, o której przeczytaliśmy najwięcej, ten opis powojennych lat inaczej niż w innych opracowaniach układa akcenty i porządkuje czynniki kształtujące dzieje PRL. Ot, choćby podrozdział zatytułowany „Ustępstwa", wyliczający najważniejsze koncesje PZPR po roku 1956: należało do nich zaakceptowanie silnej pozycji Kościoła, rezygnacja z kolektywizacji na wzór sowiecki, zaakceptowanie na większą skalę niż w innych krajach bloku symboliki i wrażliwości narodowej. To były odmienności o znaczeniu tektonicznym: zarówno koncesje w życiu kulturalnym, jak „polskie miesiące", które zwykliśmy uważać za wytyczające kierunek zmian, miały mniejsze znaczenie. Zaklasyfikowanie dekady 1970–1980 jako „czasu rozkładu", umieszczenie KOR w ciągu najważniejszych inicjatyw antyreżimowych, nie zaś widzenie go jako punktu omega, ukazanie przyczyn słabnięcia oporu w latach 80. – to wszystko sugestie nowatorskie.



Adam Burakowski, Aleksander Gubrynowicz, Paweł Ukielski, „1989. Jesień narodów", PIW, 2021

Co dopiero, kiedy ta rekonstrukcja wydarzeń dotyczy pozostałych państw bloku! Wydawałoby się, że przynajmniej jeśli idzie o NRD, CSRS, Węgry, sporo wiemy: lektura uświadomi nam jednak zapewne, że to, co się ostało, to kilka klisz utrwalonych za sprawą setek wystaw, prezentacji i przemówień. Obalanie muru berlińskiego, „rewolucja kluczy" w Pradze, pogrzeb Imrego Nagya, flagi Rumunii z wyciętym kołem w miejsce gwiazdy i zapraszany na dziesiątki odczytów Żeliu Żelew jako symbol bułgarskich przemian. Taka mniej więcej jest pamięć jesieni ludów, uzupełniana czasem o tuzin czy dwa nazwisk.

Książka trzech historyków polskich uzupełnia tę lukę, ukazując ludzkie i systemowe siły sprawcze: frakcje partyjne, dysydentów, opozycjonistów, antyreżimowców, dominujące narracje historyczne, stan gospodarki. Nawet Bułgaria, kraj z najmniejszą spośród demoludów tradycją oporu politycznego, w której opozycjonistów przed rokiem 1988 policzyć można na palcach jednej ręki, okazuje się polem gry między frakcjami, służbami i nielicznymi sprawiedliwymi. Zapomniane nazwisko Ilji Minewa (więź-

eprasa.pl 209ccf7e7a

nia systemu przez ponad 30 lat, autora pierwszych protestacyjnych listów otwartych, wyeliminowanego jeszcze latem 1989 w wyniku rozbudowanej inicjatywy operacyjnej) pojawia się w tej książce, może po raz pierwszy, obok „krytycznych dziennikarzy", „sceptycznych intelektualistów" i „partyjnych reformatorów".

„Jesień narodów" nie jest jednak tylko rekonstrukcją ówczesnych gier. W rozbudowanym wprowadzeniu i zakończeniu podjęta została udana próba komparatystyki historycznej, więcej – postawienia ambitnych pytań o naturę przemian sprzed 32 lat. Czy jesień była samodzielnym ciągiem wydarzeń historycznych, czy częścią większego procesu – reunifikacji Niemiec, upadku Związku Sowieckiego, zapaści idei komunizmu? Czy był to jeden proces, skoro tak różny był w różnych krajach udział działań reformatorskich, kompromisów bądź rewolucji i zrywu? Kiedy (wyjąwszy podpowiedź Joanny Szczepkowskiej) komunizm skończył się w tych krajach i czy się skończył? Jak wyglądała w nich kwestia wymiany i reprodukowania elit? Jak nazwać system, który powstał po komunizmie? Czy przemiana nastąpiła za sprawą służb, deregulacji systemu czy upadku gospodarki?

Zbyt rzadko odpowiadano na te pytania: dzięki trzem historykom można je zadać raz jeszcze, patrząc z perspektywy jesieni 2021 na tamten czas z nostalgią tak potężną jak na pierwszą młodość. Ubogą zwykle i obarczoną licznymi handikapami, lecz tak pełną nadziei i tak (jak to dziś widać) szczęśliwą.

Czarna Gruzja

„Miał dwanaście lat, gdy po raz pierwszy ujrzał Tyflis. Podróż dyliżansem z odległego o około pięćdziesiąt kilometrów Szulaweri musiała zająć ponad cztery godziny...". Ten esej zaczyna się skromnie, jak napisana w XIX w. biografia. Jak wspinaczka, na którą rusza się z doliny rzeki i która prowadzi na przepastne, ciemne wyżyny.

Nawet gdyby ten sielankowy ton miał zdominować książkę, gdyby „Czarna cerata Pirosmaniego" była tylko grzecznym szkicem o malarzu, już stanowiłaby poważne dokonanie, będąc pierwszą poważną pracą o nim w języku polskim. Wysiłek biografa byłby poważniejszy niż w przypadku bohatera całkiem nieznanego, niewielu jest bowiem artystów tak skrzywdzonych przez popkulturę jak Niko Pirosmani (Pirosmanaszwili). Może jeden van Gogh ma gorzej, jego jednak traktują przynajmniej z postmodernistyczną lekkością, podczas gdy Pirosmaniego solą na szyldach i etykietach, na bluzkach, butelkach i brelokach, za nic mając jego życie, rozpacz, żałobę.

Lech Kończak opisuje sieroce dzieciństwo Niko Pirosmaniego, ambicje jego młodości i wycofanie się, po kilku niepowodzeniach, z aktywnego życia. W wieku niespełna 40 lat wybrał osobność, „odmówił udziału w ludzkiej krzątaninie". Obsadzano go w roli flâneura, Nikofora czy „przeklętego artysty". Tak nie było: Niko usuwał się po prostu w cień.

Polski biografista podąża za nim przez ten cień z szacunkiem, z dystansem. Osiąga kolejne wysokości: odtwarza skromne fakty z życia, odmalowuje Gruzję początku XX w. (w tych częściach książki marzy się chwilami by, w imię potoczystości frazy, miała mniej przypisów). Tworzy katalog motywów, przywołuje mylne odczytania malarstwa Pirosmaniego, podyktowane naiwnością lub wymuszone przez sowiecką propagandę. Oczyszcza wiedzę o tym malarstwie z przeinaczeń, jakby strzepywał pajęczynę z płótna: Niko nie był „kronikarzem dawnego Tbilisi", malowane przezeń uczty, supry, to najpewniej stypy: nie uświadczysz na tych obrazach ani uśmiechu, ani owoców.

W ten sposób Kończak dociera do ciemnych wysokości, do prób nazwania istoty tego malarstwa, które ucieka od realizmu, nie ma nic wspólnego z ambicjami twórców ludowych, pragnących dorównać sztuce wysokiej. Tu też najbardziej chciałoby się cytować „Czarną ceratę Pirosmaniego", bo są to akapity naprawdę frapujące: i przez to, jak są zbudowane, i przez to, jak prowadzona jest w nich gra w ujawnienie/ukrycie. „Postacie wynurzają się z ciemnej nicości szybko i bez zbędnych ruchów pędzla. [...] Ludzie i zwierzęta, góry i doliny, miasta i wsie, drogi i mosty, cerkwie i domy są jedynie smugą światła wydobytą z czarnego tła. Postaci wyłaniają się na jedną niepowtarzalną chwilę. [...] Rzeczywistość stanowi jedynie cienki naskórek pochłaniającej wszystko i wszystkich nicości. Cienki jak warstwa farby na czarnej ceracie Pirosmaniego". Tak, to prawda, góry i doliny, miasta i wsie są jedynie refleksem światła – ale czy nie są nim również te zdania/wyznania?



Lech Kończak, „Czarna cerata Pirosmaniego. Życie i twórczość gruzińskiego artysty", Kolegium Europy Wschodniej, Wojnowice 2021

Jest w tej książce więcej gier, już w samym tytule, który może się rymować z „Czarnym mózgiem Piranesiego", słynnym esejem Yourcenar, ale i z „Atramentem melancholii" Starobinskiego. Melancholia to być może klucz do twórczości Pirosmaniego, do jego decyzji, by zostać „widzem ludzkiej krzątaniny, w której odmówił udziału", by szybkimi ruchami kreślić srebrną rybę, pąsową kamizelkę, które na chwilę wynurzają się z nicości, podczas gdy biesiadnicy śpiewają pieśń o „Zmierzchu, który zapada nad wioską życia". Kończak i ten wątek prowadzi z szacunkiem i dyskrecją wobec bohatera tekstu – szacunkiem, którego moim zdaniem tak dramatycznie zabrakło autorom opublikowanego przed tygodniem na łamach „Sieci" reportażu.

eprasa.pl 209ccf7e7a



Posłuchaj i zobacz, co Bóg do nas mówi poprzez liturgię

Cykl „Jutro Niedziela" to analiza niedzielnego Słowa, tego Słowa, w którym podczas Eucharystii spotykamy Jezusa. To przygotowanie do świętowania najważniejszego spotkania w każdym tygodniu. Dzięki książce „Jutro Niedziela" możemy odkryć geniusz Słowa Bożego ukryty w liturgii. Właśnie ukazał się trzeci tom, wydany na liturgiczny rok „C", pt. „Żyj Słowem. Idź, naśladuj Boga". O idei książkowego przewodnika po Bożym Słowie opowiada jeden z autorów cyklu ksiądz ***Przemysław Śliwiński*** w rozmowie z Anną Niczyperowicz

Trwa adwent. Czekamy – na co, na kogo?

Przemysław Śliwiński: Patrząc na oprawę adwentową za naszymi oknami, nie wiemy w sumie, czego dotyczą te święta: na co czekamy, kto albo co jest w centrum tego wydarzenia. Widać, że trwa przygotowanie do „czegoś" radosnego, ale brakuje w tym świadomości, że to jest oczekiwanie na Chrystusa. Mam wrażenie, że wielu z nas przeżywa adwent w takiej właśnie oprawie.

Gdyby przywrócić Chrystusowi należne mu miejsce w nadchodzących świętach – adwent musiałby wyglądać inaczej. Za wcześnie zaczynamy śpiewać kolędy, stroić choinki i kiedy przychodzą święta, to jakby już minęły... Tymczasem to wtedy przeżywamy kluczowe dla naszej wiary wydarzenie, niesamowite w swej treści, że Słowo stało się Ciałem, Bóg stał się człowiekiem. Adwent to jest oczekiwanie na Chrystusa: i to nie tylko na Jego narodzenie, które już się stało. Adwent jest oczekiwaniem na wydarzenie, które przed nami: moje własne spotkanie z Chrystusem. To widać w liturgii adwentu: ona wcale nie jest typowo bożonarodzeniowa w pierwszych trzech tygodniach. To radosne oczekiwanie na „koniec czasu", na paruzję, z wielkim wezwaniem do czuwania, nawrócenia, zmiany swojego postępowania.

Wierzymy, że Chrystus, którego oczekujemy, jest Bogiem, z którym się spotkamy. Czy wiara kłóci się z wiedzą?

Wiara wymaga wiedzy. Wiara nie jest czymś, co musimy sobie dofantazjować, nie mając wiedzy na jakiś temat, nie znając odpowiedzi na niewyjaśnione jeszcze zjawiska. Z wyjaśnienia „to pewnie jakiś bóg" zrodziły się wierzenia pogańskie, gdzie niezrozumiałe zjawiska tłumaczono bożą interwencją. To nie jest prawdziwa wiara. Wiarą jest osobiste spotkanie z Jezusem: łaska nam udzielona i nasza odpowiedź na nią. I taka wiara nie kłóci się z wiedzą, ale potrzebuje jej, aby wiele rzeczy wyjaśnić i uporządkować. Wielką pomocą jest wiedza biblijna, którą w nowoczesny sposób staraliśmy się przedstawić w naszej książce.

Słowo Boże jest dla nas bardzo dostępne: możemy sięgnąć po Biblię,

eprasa.pl 209ccf7e7a

słuchać go podczas Eucharystii. Znamy te słowa, rozpoznajemy ich brzmienia, ale czy je rozumiemy?

Po to właśnie powstała „Jutro Niedziela", książka, która wyjaśnia Słowo Boże, którego „odcinków" słuchamy podczas każdej niedzielnej liturgii. Jest ona skierowana przede wszystkim do słuchaczy, osób świeckich, którzy uczestniczą w mszy św., ma sprawić, żeby słuchanie tego najważniejszego Słowa było słuchaniem świadomym i aktywnym.

To prawda, wiele fragmentów Pisma Świętego tak bardzo wbiło się w nasz kod kulturowy, że ta znajomość wręcz uniemożliwia jej zrozumienie. Proponujemy zatem posłuchać tak jakby na nowo. „Jutro Niedziela" to nie jest kolejny komentarz do liturgii Słowa: to „sobotnia" książka, która ma przygotować do słuchania Słowa Bożego podczas niedzielnej mszy św., zmienić mnie ze słuchacza biernego i znudzonego w słuchacza aktywnego, zachwyconego, którego Słowo Boże – niby słuchane od lat, niby znane na pamięć – może naprawdę zaskoczyć.

Dlaczego warto, byśmy to Słowo, które usłyszymy, obudowali pewnego rodzaju wiedzą?

Dobrym przykładem jest adwentowe wezwanie „Przygotujcie drogę Panu, prostujcie ścieżki dla Niego". Pochodzi z Księgi Izajasza, a ewangeliści powtarzają je w opowiadaniu o Janie Chrzcicielu. Tymczasem Izajasz nie mówi o „ścieżce". Używa w oryginale słowa, które oddano staropolskim „gościniec": to szeroka wykładana kamieniami droga. Gdyby przełożyć to zdanie, używając bardziej współczesnych terminów i obrazów i jednocześnie unikając słów archaicznych, należałoby napisać „zbudujcie autostradę naszemu Bogu". A w tym adwentowym wezwaniu nie chodzi o wytyczenie jakiejś „ścieżki", tylko o wielką inwestycję: imponujący w swoim rozmachu plan przebudowy systemu dróg... dla Pana.

Wraz z biblistą ks. Marcinem Kowalskim, członkiem Papieskiej Komisji Biblijnej, staramy się w ten sposób ukazać na nowo każde czytanie, którego słuchamy podczas niedzielnej liturgii, również psalmy, zwykle pomijane i niedostrzegane. Przygotowaliśmy i „Translator", w którym konfrontujemy polski przekład z oryginałem – co często potrafi zaskoczyć czytelnika, i „Biblijny insider", w którym zwięźle przedstawiamy egzegezę biblijną. Bo warto wiedzieć, w jakim kontekście pada Słowo Boże, co oznacza, dlaczego brzmi w taki, a nie inny sposób, jak brzmi w oryginale.

Czasem polskie tłumaczenie różni się od hebrajskiego czy greckiego zwrotu. Wszyscy znamy słowa z prologu św. Jana: „A Słowo stało się ciałem i zamieszkało między nami". Tymczasem w oryginale brzmi inaczej, znacznie konkretniej: „Słowo stało się ciałem i rozbiło namiot między nami". Dla tamtej epoki to był konkret: Bóg rozbił swój namiot pomiędzy namiotami ludzi, stał się jednym z nich – to prawdziwe Wcielenie. Dziś, gdy namioty kojarzą się tylko z turystyką, trudno o dobre tłumaczenie. Znając sens, intencję autora, można by poszukiwać współczesnych określeń: „pobudował się" między nami, „wynajął mieszkanie" między nami albo właśnie po prostu uniwersalne: „zamieszkał". Widzimy zatem, że to tłumaczenie się broni, ale jednocześnie warto wejść głębiej i poznać oryginał.

Starotestamentalne czasy, obca kultura – to wszystko dla nas egzotyczne. Czy takie wydawnictwo jak „Jutro Niedziela" zbliża nas do poznania i zrozumienia tamtej mentalności i relacji z Bogiem ludzi tamtych czasów?

Nie do końca było to celem naszej publikacji. To nie jest przewodnik po starożytności i literaturze starożytnej, choć często i taką funkcję pełni. „Jutro Niedziela" to narzędzie na dziś, bo Słowo Boże to teraźniejszość. Relacja człowieka z Bogiem wciąż jest taka sama, człowiek w sumie też się nie zmienia od czasów biblijnych: te same ambicje, te same pułapki, te same grzechy, te same wątpliwości, nawet jeżeli inaczej się nazywają albo w innych konkretnych sytuacjach się uwidaczniają. Nasza publikacja jest skierowana do współczesnego człowieka. Do niego napisane dawniej Słowo też jest skierowane, bo wciąż jest aktualne. Bóg jest, Bóg działa.

W tym roku udało się już wydać trzeci tom książki „Jutro Niedziela", na rok „C". Nasi czytelnicy dają znać w miłych słowach, że czytanie książki pozwala się przygotować do wysłuchania Słowa Bożego. Pozwala zrozumieć, dlaczego danej niedzieli słuchamy takich, a nie innych czytań. Ten wybór nie jest przypadkowy: podjęta jest pewna myśl, temat, do którego dobrane jest pierwsze i drugie czytanie, psalm i Ewangelia, które korespondują z sobą, „rozmawiają". Trochę jak freski w kaplicy Sykstyńskiej. Jeśli ktoś tam był, wie dobrze, że najpierw podziwiamy poszczególne sceny ze Starego czy Nowego Testamentu. Ale dobry przewodnik po chwili podpowie coś jeszcze: każe zwrócić uwagę na kompozycję, który fresk jest naprzeciw którego. Okazuje się, że one z sobą „rozmawiają" i nawzajem się tłumaczą, bez słów.

Tak samo jest w niedzielnej liturgii Słowa: pierwsze czytanie ze Starego Testamentu jest „naprzeciwko" Ewangelii, czytania do siebie nawiązują, Biblia tłumaczy samą siebie. Stary Testament zapowiada wydarzenia z życia Jezusa, a Jezus wyjaśnia tajemnice zawarte w księgach Starego Testamentu. Między innymi to chcemy pokazać w naszej publikacji, aby Słowo Boże zabrzmiało jeszcze mocniej.

Czy warto wykorzystać taki czas wyciszenia, zadumy jak adwent, aby świadomie odkrywać Boga – zacząć od przygotowania do jego przyjścia, a potem iść przez rok kościelny rytmem czytań niedzielnych?

Adwent rozpoczyna rok kościelny. To dobry moment, aby rozpocząć coś na nowo, np. odkryć w niedzielnej liturgii Boga, który mówi. Otwórzmy się, zobaczmy, co Bóg do nas mówi poprzez liturgię, poprzez Swoje Słowo. „Jutro Niedziela" pozwala odkryć, że Słowo Boga, niby od dawna zapisane, niby tak dobrze znane, jest wciąż nowe i zaskakujące. Co więcej, Bóg mówi specjalnie dla mnie, mówi „do mnie". Słowo Boże jest tak mocne, że jest w stanie zmienić moje życie.

eprasa.pl 209ccf7e7a



WYJĄTKOWA TRASA TURYSTYCZNA W KOPALNI GUIDO W ZABRZU

„14 dni pod ziemią – historia walki o wolność" – to motyw przewodni nowej podziemnej trasy turystycznej znajdującej się na poziomie 320 kopalni Guido w Zabrzu, którą zwiedzać można od 9 grudnia br. Wspólny projekt Muzeum Śląskiego w Katowicach oraz Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu upamiętnia najdłuższy w historii Polski podziemny strajk górników, który odbył się w Kopalni Węgla Kamiennego „Piast" w Bieruniu. Niemal 2 tys. górników spędziło na głębokości 650 m pod ziemią aż 14 dni – od 14 do 28 grudnia 1981 r.

Projekt został sfinansowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Funduszu Patriotycznego. Został także objęty honorowym patronatem prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego.



Maria Czarnecka,
dyrektor Muzeum Śląskiego w Katowicach

Muzeum Śląskie jest zobowiązane do podejmowania inicjatyw, które podkreślają znaczenie ważnych dla regionu i Polski wydarzeń historycznych. Dlatego zaangażowaliśmy się w projekt utworzenia nowej trasy zwiedzania w kopalni Guido, upamiętniającej strajk górników w kopalni Piast w Bieruniu.

Chcieliśmy przede wszystkim przypomnieć to bardzo ważne, dziś nieco zapomniane wydarzenie. Istotne było jednak zadbanie o odpowiednią, atrakcyjną dla współczesnego odbiorcy formę przekazu. Stąd wziął się pomysł, by stworzyć podziemną trasę, która pozwoli przybliżyć zwiedzającym realia tego niezwykłego protestu.

Nowa trasa zwiedzania w kopalni Guido ukazuje więc prawdziwe warunki, w jakich 40 lat temu strajkowali górnicy. Mam nadzieję, że ta inicjatywa przywróci obecnym mieszkańcom regionu, ale także zwiedzającym z całej Polski, pamięć o bohaterskim podziemnym strajku górników oraz wszystkich pozostałych protestach z czasu stanu wojennego.



Bartłomiej Szewczyk,
dyrektor Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu

Kto nigdy nie był pod ziemią, temu trudno sobie wyobrazić, jakie tam panują warunki, a jeszcze trudniej zrozumieć, jak można tam spędzić 14 dni… czas świąt Bożego Narodzenia daleko od rodzin w niepewności, co tak naprawdę dzieje się na górze. Dokonało tego ponad 1,6 tys. górników z kopalni Piast, którym przyszło zorganizować sobie w tych trudnych okolicznościach warunki umożliwiające przetrwanie. Jak tego dokonali?

To właśnie postanowiliśmy pokazać w kopalni Guido 320 m pod ziemią. Do współpracy zaprosiliśmy tych, którzy byli prawdziwymi bohaterami tamtych wydarzeń – górników z kopalni Piast, którzy wraz z nami zadbali o to, żeby jak najlepiej oddać atmosferę strajku.

Nasze muzeum to kilkanaście kilometrów podziemnych tras turystycznych w dwóch kompleksach: kopalni Guido i sztolni Królowa Luiza. Pokazujemy to, co wymyka się wyobraźni, a dotknięte i doświadczone zaczyna być zrozumiałe. Dzisiaj zapraszamy do odkrycia tej części historii, która w roku 1981 stanowiła naszą drogę do wolności.

eprasa.pl 209ccf7e7a

STRAJK W KOPALNI PIAST

ZYGMUNT WOŹNICZKA, KAROL MAKLES

Od czasu porozumień sierpniowych z 1980 r., które przyniosły zgodę peerelowskich władz na tworzenie wolnych i niezależnych związków zawodowych oraz prawo do strajku, rozpoczął się rozkład komunistycznej władzy ludowej. Powstał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność", który stał się ogromnym – liczącym wtedy 10 mln członków – ruchem społecznym, a zarazem ruchem oporu przeciwko rządzącym. Obejmująca swym zasięgiem cały kraj NSZZ „Solidarność" wymknęła się spod kontroli komunistów. Obawy przed wybuchem domniemanej wojny domowej i sowiecką interwencją okazały się najważniejszymi przyczynami wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. O siłowym rozwiązaniu w kraju mówiło się już od kilku tygodni, aż w końcu do niego doszło.

Noc z 12 na 13 grudnia 1981 r. była mroźna i śnieżna. Przygotowywane od miesięcy przez bezpiekę akcje „Jodła" i „Azalia" nabrały rozpędu. Jeszcze przed północą zostali zatrzymani obradujący w Gdańsku członkowie Solidarności. Wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. było zaskoczeniem dla ludności, ale też dla działaczy NSZZ „Solidarność". W jednym momencie zablokowano obieg informacyjny i medialny. Na obszarze całego terytorium państwa wyłączono telefony i dalekopisy, zamilkły też telewizory i radioodbiorniki. Władzę przejęła Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego z gen. Wojciechem Jaruzelskim na czele. Ograniczone zostały prawa obywatelskie, zawieszono lub zminimalizowano zakres działalności związków zawodowych. Efektem wprowadzenia stanu wojennego były m.in. tzw. strajki grudniowe, które w województwie katowickim przybrały masowy charakter. W prawie 50 zakładach czynnie wyrażano sprzeciw przeciwko władzy. W większości z nich działania te zostały szybko i brutalnie stłumione przez Ludowe Wojsko Polskie i ZOMO.



Widok ogólny kopalni Piast w Bieruniu, lata 80. XX w. Autor nieznany. Ze zbiorów NAC

Krwawa pacyfikacja kopalni Wujek 16 grudnia 1981 r. i związane z nią ofiary śmiertelne zszokowały strajkujących w pozostałych zakładach pracy. Zginęło wówczas dziewięciu górników, a 23 odniosło rany. Fala strajkowa zaczęła opadać 20 grudnia. W obronie demokratycznych przemian strajk kontynuowały już tylko trzy zakłady: Huta Katowice oraz kopalnie Ziemowit i Piast w Bieruniu. W tej ostatniej odbył się najdłuższy strajk podczas stanu wojennego. Piast strajkował od wieczora 14 grudnia. Górnicy zastosowali jednak inną niż w kopalni Wujek taktykę działania. Nie wdawali się w walki z ZOMO ani wojskiem na powierzchni, lecz pozostali na dole, konsekwentnie dążąc do realizacji postulatów, czyli uwolnienia aresztowanych działaczy związkowych oraz zniesienia stanu wojennego. W efekcie strajkowali aż do 28 grudnia, czyli najdłużej w Polsce... Protest zakończył się dopiero, kiedy władze wojskowe dały strajkującym gwarancje bezpieczeństwa, które okazały się kłamstwem. Część strajkujących tuż po zakończeniu protestu potraktowano jak przestępców: zostali aresztowani, byli brutalnie przesłuchiwani, więzieni i oskarżeni o kierowanie strajkiem. Choć sąd uznał protestujących za niewinnych, często po wyjściu na wolność czekały ich dalsze represje, w tym aresztowania. Wydarzenia sprzed 40 lat stanowią ważną część drogi ku wolności, której należne są pamięć i zasłużone miejsce na kartach współczesnej historii Polski. Heroiczna postawa górników Piasta do dziś budzi podziw.

eprasa.pl 209ccf7e7a

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Muzeum Śląskie

Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu

DOŚWIADCZ REALIÓW PODZIEMNEGO STRAJKU SPRZED 40 LAT

Jak wyglądało życie w kopalnianej rzeczywistości? Co było najtrudniejsze? Nie da się w pełni odtworzyć atmosfery tamtych dni, ale z pewnością nowa trasa zwiedzania w kopalni Guido przybliża je na tyle, by móc dziś zrozumieć, jak wielkie było to poświęcenie. Uczestnicy zwiedzania mogą doświadczyć, jak w podziemnych wyrobiskach, bez dostępu do światła dziennego i bieżącej wody oraz z mocno ograniczonym zapasem żywności, niemal 2 tys. górników organizowało sobie codzienne życie.

Z dala od rodzin, w strachu, niepewności i ze szczątkowym dostępem do informacji na temat tego, co działo się na powierzchni, protestujący spędzili pod ziemią dwa tygodnie, w tym święta Bożego Narodzenia. Trasa została przygotowana na podstawie wspomnień strajkujących, w tym Janusza Pioskowika. Poniżej publikujemy fragmenty jego pamiętnika.

„*Środa, 16.12.1981 r.* Paczki zsyłane na dół zawierały wszystko: długie płaszcze, kurtki, kożuszki, koszule, swetry, kalesony, onuce, ręczniki, mydło, chusteczki, a nawet zdarzały się przybory do golenia oraz ciepłe czapki. Chwała polskim kobietom. Nie tylko są najpiękniejsze, ale przede wszystkim bohaterskie. Do każdego z nas są telefony, koledzy, zazwyczaj sąsiedzi i najbliższa rodzina. Poglądy są zróżnicowane, jedni namawiają na wyjazd, drudzy popierają i zapewniają, że dopóki strajkujemy, będą nam pomagać, jak mogą. Każdy z rozmawiających myśli swoje i nie wypowiada się swobodnie, czuje skrępowanie wobec kolegów. Telefony te przyczyniły się między innymi do opuszczenia nas przez dwóch kolegów. Linia telefoniczna między górą a dołem ciągle zajęta, dalsze namowy na wyjazd i wygrażania ze strony żon. W chwili obecnej były nam najbardziej potrzebne słowa podtrzymujące na duchu »wytrwajcie, jesteśmy z wami«".

„*Czwartek, 17.12.1981 r.* Chodzi pogłoska, że powietrze kopalniane zostanie wzbogacone gazem, a w ostateczności obetną nam w ogóle jego dopływ. Załoga nie reaguje na te zastraszania. Organizacja życia w podziemiach kopalni dochodzi do perfekcji. Teraz wszyscy już wiedzą, że musimy i że będziemy trwać aż do zwycięstwa nad zakłamaniem, obłudą, okradaniem robotnika i państwa".

„*Czwartek, 24.12.1981 r.* – Wigilia. Z powodu wstrzymania dostaw żywności od dwóch dni nasze zapasy w magazynie poważnie się uszczupliły, najgorzej jest z chlebem i nie ma perspektywy na zwiększenie zapasów. To jeszcze jeden chwyt dyrekcji poniżej pasa. Nasza wspólna kolacja była najskromniejszą, w jakiej kiedykolwiek brałem udział w życiu i mam nadzieję, że drugiej takiej nie przeżyję sam, nie mówiąc o moich dzieciach. Zasiedliśmy przy stole w liczbie 25 osób. Oprócz ślicznej choinki jak na te warunki i tekturowego krzyża każdy przed sobą na papierowej serwecie miał swój przydział: mała kromeczka chałki, kawałeczek ciasta i babki oraz ćwiartkę jabłka. Oprócz tego na cały stół do podziału była tradycyjna ryba w ilości dwóch konserw, dwie coca-cole i dwa kompoty. Jeszcze raz się potwierdza, że w trudnych chwilach i niczym można się podzielić".



Z dala od rodzin, w strachu, niepewności i ze szczątkowym dostępem do informacji na temat tego, co działo się na powierzchni, protestujący spędzili pod ziemią dwa tygodnie, w tym również święta Bożego Narodzenia. Fot. Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu



Trasa została przygotowana na podstawie wspomnień strajkujących, w tym Janusza Pioskowika (na zdjęciu pierwszy z prawej). Fot. Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu

Teksty powstały we współpracy z partnerem komercyjnym | 66/1121/F

eprasa.pl 209ccf7e7a



STRAJK

14 DNI POD ZIEMIĄ...

Nowa trasa turystyczna

Kopalnia Guido

Zabrze

już od 9 GRUDNIA

Honorowy patronat Prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego

Honorowy patronat Instytut Pamięci Narodowej

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Społeczny Komitet Pamięci Poległych 16 grudnia 1981 r.

Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej

Fundusz Patriotyczny

NSZZ Solidarność

Muzeum Śląskie

Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Dofinansowano ze środków Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego w ramach Funduszu Patriotycznego.

eprasa.pl 209ccf7e7a

Na poziomie strategicznym CPK przechodzi powoli z działki infrastruktura do działki gospodarka i rozwój. Przed nami mnóstwo inwestycji, przetargów, wniosków o fundusze europejskie, wiele mniejszych i większych projektów – ale główne, strategiczne decyzje dotyczące korytarzy, szlaków, systemu, zostały już podjęte



CPK to nie tylko lotnisko, lecz centralny system komunikacyjny

Z ministrem Marcinem Horałą, sekretarzem stanu w Ministerstwie Infrastruktury i pełnomocnikiem rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego, rozmawia Maciej Wośko („Gazeta Bankowa")

Budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego zeszła naturalnie nieco z czołówek mediów. Tymczasem inwestycja w najnowocześniejszy hub transportowy w Europie nie zwalnia. Muszę zastrzec, że w przypadku projektu CPK jestem niepoprawnym optymistą – wierzę, że uda się ostatecznie zmienić układ komunikacyjny w Polsce.

Marcin Horała: Uspokajam. Nie trzeba być niepoprawnym optymistą. Powiedziałbym, że bardzo dobrze nam idzie. To oczywiście projekt trudny – interdyscyplinarny, przełamujący silosy, wymagający innowacji w podejściu do procesów publicznych. Łamiemy schematy działania urzędników, którzy przyzwyczajeni są do postępowania według wzorów, gdzie a plus b i c ma wynieść d. Tymczasem my mówimy: nie potrzebujemy b, a do c chcemy dołożyć f.

O ile przekop Mierzei Wiślanej dzieje się i widzimy już efekty prowadzonych prac, o tyle inwestycja w CPK trafiła na kryzys covidowy. Musieliśmy zwolnić?

eprasa.pl 209ccf7e7a



Fot. Fratria

Osadzając tę inwestycję w skali kosztów i ogromu przedsięwzięcia, trzeba powiedzieć, że CPK to wiązka ponad 30 takich przekopów Mierzei Wiślanej. Dokładamy do tego poziom skomplikowania urzędniczego, projektowego. Prowadzenie inwestycji w Unii Europejskiej jest trudne, znacznie trudniejsze niż choćby w Chinach, Turcji czy nawet w USA. Poza tym to inwestycja, która stała się takim frontowym tematem sporu politycznego w Polsce. Opozycja, która jest przeciw wszystkiemu, co robi rząd, znalazła łatwy temat do atakowania. Większość Polaków, co zrozumiałe, nie postrzega inwestycji jako procesu. Nic się nie buduje, nic nie widać, więc nic się nie dzieje. I stąd te pytania o CPK. Pytania o to, czy inwestycja zwolniła...

Inwestycja się zaczyna, kiedy wjeżdża koparka i rusza budowa...

Tak to widzą Polacy. Tymczasem większość procesu inwestycyjnego to okres od decyzji do wbicia pierwszej łopaty. Wiele lat temu widziałem taką infografikę, która dla budowy odcinka drogi krajowej czas od decyzji do oddania do użytku określała na dziewięć lat. Przy odważnym założeniu, że wszystkie etapy tego procesu realizowano terminowo – nie ma sporów sądowych, protestów, problemów z wykonawcami. Jeśli przymierzyć do tych danych proces inwestycyjny w CPK, to powiem, że działamy znacznie sprawniej i w innej skali. Kończymy już właściwie inwentaryzacje przyrodnicze dla obszaru inwestycji i obszaru oddziaływania lotniska. Od roku tysiące przyrodników badało środowisko sporego kawałka Mazowsza i łódzkiego. Te prace dobiegają końca i lada moment będziemy gotowi do wniosku o decyzję środowiskową. Trwają prace nad poszczególnymi odcinkami kolei dużych prędkości – ponad tysiąc jest już w przygotowaniu. Podpisaliśmy pierwszą umowę projektową na tunel kolei dużych prędkości pod Łodzią. Mamy rozstrzygnięty przetarg ramowy na studium ekonomiczno-środowiskowe dla pozostałych budów, więc jesteśmy gotowi do podpisania umów na kolejne 800 km.

I mamy poważnego doradcę strategicznego – Incheon International Airport, główne międzynarodowe lotnisko Korei Południowej.

Mamy już umowę na wykonanie masterplanu. Trwa nowatorski w Polsce przetarg ramowy na projektowanie linii kolejowych o wartości ok. 6,5 mld zł.

Tak jak mówiliśmy, Polacy dopóki nie zobaczą, to nie uwierzą. Zapowiada pan, że przed końcem roku poznamy dokładne rozplanowanie lotniska CPK, wskazujące, gdzie znajdą się pasy startowe i terminal.

Podtrzymuję. Pokażemy lokalizację do końca grudnia. Ogólnie lokalizacja, w sensie potocznym, jest oczywiście znana. Czym innym jest jednak wskazanie, w którym miejscu powstanie lotnisko, a czym innym dokładna lokalizacja poszczególnych obiektów, co wynika z decyzji środowiskowej. Pokażemy jednak wariant inwestorski, czyli lokalizację, o którą będziemy wnioskować. To nie wyklucza kilku wariantów, zależnych właśnie od decyzji środowiskowych.

To oczywiście wywoła kolejną dyskusję związaną z wywłaszczeniami, gruntami, przejęciami... Emocje mieszkańców rosną.

eprasa.pl 209ccf7e7a

Wierzę mocno, że emocje nieco ostygną. Po przedstawieniu lokalizacji sprawa będzie dotyczyła mniejszej liczby osób. Przypomnę, że to strona społeczna zgłaszała potrzebę wcześniejszego rozstrzygnięcia wątpliwości i niepokojów mieszkańców – ludzie chcieli szybciej uregulować swoje plany i – co naturalne – wiedzieć, na czym stoją. Zrobiliśmy więc coś, czego na tak wczesnym etapie z reguły się nie robi. Ogłosiliśmy „Program dobrowolnych nabyć", do którego zgłosiliśmy pewien obszar obejmujący kilka możliwych wariantów lokalizacji. Siłą rzeczy był to obszar wyraźnie większy niż ten potrzebny po przesądzeniu dokładnej lokalizacji. Teraz mieszkańcy zobaczą, że nie wszystkie działki są w bezpośrednim obszarze inwestycji celu publicznego. Inna sprawa, że po drugiej stronie nie zawsze jest dobra wola. Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że w przypadku właścicieli dużych areałów takie negocjacyjne przyciśnięcie partnera jest działaniem zrozumiałym. Stąd protesty, emocje – im większy spór, tym większa szansa, że CPK będzie skłonne sypnąć kasą, żeby ten konflikt wygasić. Tu deklaruję zdecydowanie, że tak się nie stanie. Za grunty chcemy płacić uczciwie, być może z pewnym naddatkiem – ale jeżeli ktoś liczy na ceny stanowiące wielokrotność realnej wartości nieruchomości, to się po prostu przeliczy.

A jednak trochę się to udaje. Wyższe odszkodowania za przymusowe wywłaszczenia – taki projekt jest już w rządzie.

Mówimy o projekcie w procedowaniu. Dotyczy ogólnie wszystkich wywłaszczeń na inwestycje celu publicznego. Przy okazji dostrzegliśmy bowiem w dotychczasowym systemie daleko idącą niesprawiedliwość. Otóż w chwili wywłaszczenia rzeczoznawca wycenia wartość inwestycji i tyle właściciel dostaje. Często czuje się pokrzywdzony, bo w subiektywnym odczuciu wartość nieruchomości bywa większa, a do tego trzeba dodać pewne uciążliwości związane z przeprowadzką. Jeszcze trudniej sprawa wygląda przy prowadzeniu działalności gospodarczej, gdzie trzeba płacić pensje pracownikom, spłacać kredyty – a de facto działalność na czas przeprowadzki jest wygaszona. To jest większość przegranych na wywłaszczeniu. Ale są też nieliczni wygrani dzięki przepisowi, zwanemu zasadą korzyści. Wedle tego przepisu, jeżeli w wyniku realizacji celu wywłaszczenia wzrośnie wartość nieruchomości, płaci się nie według jej realnej wartości, tylko tej hipotetycznej z przyszłości. Analizowaliśmy to w przypadku wywłaszczeń drogowych, gdzie dochodziło do kuriozalnych sytuacji, gdy nieruchomość wyceniona przez rzeczoznawców na kilkaset tysięcy złotych, kosztowała ponad 20 milionów. To jak wygrana na loterii. Z tego chcemy zrezygnować, wyeliminować te nieliczne „wygrane" idące w setki i tysiące procent, a dzięki temu zapłacić nieco więcej wszystkim, którzy z powodu wywłaszczeń muszą oddać swoje nieruchomości. Sprawiedliwie.

> CPK jest wypełnieniem ewidentnych luk w systemie transportowym Polski. Po raz pierwszy realizujemy inwestycje infrastrukturalne w systemie podporządkowanym modelowi transportowemu całego kraju

W przypadku komercyjnych inwestycji negocjacje są proste – sprzedajesz za tyle i tyle, a jak nie – inwestycja przesunie się o kilka działek i nic nie dostaniesz. W przypadku inwestycji publicznych, właściciele wiedzą, że na końcu zawsze jest jeszcze przymusowe wywłaszczenie, więc mogą przeciągać rozmowy...

Tak właśnie jest z powodu zasady korzyści. Popadamy w paradoks, w którym inwestycje celu publicznego są czasem trudniejsze w przeprowadzeniu. Chcemy to zmienić. Ale przy tej okazji chciałbym bardzo wyraźnie podkreślić: nikt nie będzie pozbawiony swojego majątku. Każde wywłaszczenie odbywa się za odszkodowaniem szacowanym przez biegłego rzeczoznawcę. Jeśli ktoś ma dom wart 500 tys. zł i musi go oddać – dostanie 500 tys. zł. Wartość jego majątku nie jest zatem uszczuplona. A jeżeli parlament przyjmie proponowane przez nas zmiany, to taka osoba dostanie nawet nieco więcej.

Wracam na Mierzeję Wiślaną, bo to inwestycja, która się udała – dzieje się. Poziom emocji politycznych jest dość porównywalny. Zgodzi się pan z tym, że przekop był takim poligonem dla rządu, na którym trzeba było się zmierzyć z zarzutami, że to inwestycja niepotrzebna, ponad miarę, przerost formy nad treścią?

Nie znam właściwie żadnej inwestycji infrastrukturalnej, przy której nie byłoby dyskusji i protestów. W przypadku Mierzei Wiślanej dochodzi jeszcze pewna specyfika, bo to inwestycja o dużym znaczeniu w polityce międzynarodowej, ze sporym wymiarem gospodarczym. Mamy prawo mieć dostęp do Zalewu Wiślanego i sytuacja, w której inne państwo ma możliwość wymuszania na nas czegoś, poprzez otwieranie i zamykanie dostępu do Cieśniny Piławskiej, jest niedopuszczalna. Nawet gdyby nie było żadnej korzyści gospodarczej z przekopu Mierzei Wiślanej, to i tak powinniśmy go wybudować. A to przecież w gruncie rzeczy koszt budowy jednego stadionu na Euro.

CPK to, jak już mówiliśmy, niepoównywalnie większa inwestycja. Przypomnijmy, czym ma się stać CPK. Nowoczesny hub transportowy – zarówno dla ruchu pasażerskiego, jak i towarowego. Połączenia lotnicze, kolejowe, samochodowe. To Port Lotniczy Solidarność, który w pierwszym etapie będzie mógł obsługiwać ok. 40 mln pasażerów rocznie. Ten wątek CPK pojawia się w ostatnich doniesieniach medialnych dotyczących kłopotów branży

eprasa.pl 209ccf7e7a

lotów pasażerskich. Zakładam, że analizujecie także plany operatorów lotniczych?

CPK, choć z perspektywy czasu, bardziej adekwatną nazwą staje się centralny system komunikacyjny, jest wypełnieniem ewidentnych luk w systemie transportowym Polski. Po raz pierwszy realizujemy inwestycje infrastrukturalne w systemie podporządkowanym modelowi transportowemu całego kraju. Model pokazuje nam domniemany, teoretyczny schemat transportowy Polski, stanowiący optymalną odpowiedź na potrzeby komunikacyjne polskiej gospodarki i społeczeństwa. Na to nakładamy obecną infrastrukturę i widzimy, czego brakuje. Brakuje nam np. centralnego hubowego lotniska oferującego połączenia międzykontynentalne. Nie ma szans, żeby takim lotniskiem stało się Okęcie. Jest otoczone miastem i nie da się go racjonalnie rozbudować. Dlatego podchodząc do inwestycji w Baranowie, musimy pamiętać o przyszłych możliwościach rozwoju tego lotniska – musimy mieć na to miejsce za 10, 20 lub 50 lat. Tak projektujemy to lotnisko. Dlatego docelowo musimy zakładać 100 mln pasażerów, choć na początku budujemy lotnisko na 40 mln przepustowości. W miarę rozwoju rynku lotniczego i stopniowego wypełniania lotniska będzie ono gotowe do szybkiej i wygodnej rozbudowy.

Do tego węzeł komunikacyjny.

Kolejowy. Musi powstać w centralnej Polsce. Nie można już więcej pociągów upychać w śródmiejski, aglomeracyjny węzeł warszawski. Powiem więcej, w polskim systemie połączeń kolejowych wciąż brakuje wielu oczywistych linii, co w niektórych przypadkach jest zaszłością jeszcze z czasów zaborów. Łodź – w zaborze rosyjskim była tam ostatnia stacja przed granicą, więc wybudowano tam dworzec czołowy. Stąd nie dało się przejechać Łodzi w kierunku wschód-zachód. Trzeba więc pod Łodzią wydrążyć tunel, a właściwie dwa – aglomeracyjny i dalekobieżny. Wrocław, który nie ma bezpośredniego połączenia z Warszawą i trzeba jechać przez Opole-Częstochowę. Rzeszów-Warszawa przez Kraków. W gruncie rzeczy stosunkowo małą inwestycją, rzędu kilku miliardów złotych, uzyskujemy skrócenie czasu przejazdu o połowę, o godzinę... Brakowało nam do tej pory takiego właśnie kręgosłupa systemu transportowego w Polsce.

Skupiliśmy się na ruchu pasażerskim, a do tego należy dodać cargo. Także w kontekście nowego jedwabnego szlaku.

Położenie geograficzne Polski, które często było naszym przekleństwem i nadal w pewnym sensie nie pomaga, w aspekcie chińskiego projektu aspirowania do roli hegemona nowego światowego ładu, może być naszym atutem. Jednym z elementów jedwabnego szlaku jest przecież możliwość przerzucenia jak największej części transportu towarów do Europy z morza na ląd. I najkorzystniejszy szlak prowadzi właśnie przez Polskę. Żeby z tego skorzystać, żeby ten układ transportowy stał się źródłem naszej siły, musimy zbudować taką infrastrukturę, która będzie wartością dodaną. Nie chodzi o to, żeby przez Polskę tylko przejechać, jak autostradą. O tym przekonały się gminy, które nie mają na swoim terenie węzłów – mogą dziś pomachać przejeżdżającym samochodom. Musimy oferować huby, możliwości przeładunków intermodalnych, rozprowadzenie strumieni transportowych – to wszystko, co przesądzi o tym, że w wielu branżach Polska będzie najlepszym miejscem do inwestowania.

Cóż, tak miały przecież działać budowane w Polsce od lat 90. autostrady wschód-zachód.

Tymczasem Polska stawała się silna, gdy dominującym kierunkiem transportu były szlaki północ-południe, znad morza Czarnego, przez Ruś Halicką do Gdańska, na Bałtyk. Polska upadała, była słaba, gdy dominował kierunek wschód-zachód. Tym bardziej musimy dziś zadbać o taką infrastrukturę, która spowoduje, że towary właśnie w Polsce zyskają tę wartość dodaną. Węzły, centra logistyczne, początki szlaków lokalnych, fabryki, w miejscach, które są dobrze skomunikowane. I tak właśnie budowana jest koncepcja Centralnego Systemu Komunikacyjnego. Dlatego na bieżąco co roku aktualizujemy ten model, plany, biznesplan. Dlatego mówimy o suchym porcie, dlatego mówimy o coraz większej roli cargo, dlatego mówimy o połączeniach z portami morskimi.

Jesteśmy obaj z Trójmiasta, więc wiemy, że brak dobrego połączenia kolejowego z portami blokuje rozwój całego transportu.

Jedną z moich pierwszych osobistych decyzji, gdy objąłem to stanowisko, było rozszerzenie programu inwestycyjnego na kolei. Pierwotnie było nieco ponad 1,6 tys. km linii kolejowych, teraz jest 1,8 tys. km. Wynika to właśnie z tego, że w pierwotnym planie Centralna Magistrala Kolejowa Północ miała na węźle Warlubie wchodzić w istniejącą linię. A jak się jest z Trójmiasta i ma się kontakt z gospodarką morską, to się wie, że w Zajączkowie Tczewskim jest wąskie gardło, w którym wszystkie pociągi muszą czekać, aż w węźle Trójmiasto przejadą wszystkie eskaemki, pendolino i będzie można puścić transport towarowy. Stąd te dodatkowe kilometry CMK północ bezpośrednio do Trójmiasta, one ostatecznie udrożnią wąskie gardło w dostępie kolejowym do portów.

Wracamy do modelu transportowego, dzięki któremu wcześniej można pewne inwestycje wpisać w siatkę, plan, który pozwala na rozwój...

Tak, powiedziałbym nawet, że CPK na poziomie strategicznym przechodzi powoli z działki infrastruktura do działki gospodarka i rozwój. Przed nami mnóstwo inwestycji, przetargów, wniosków o fundusze europejskie, wiele mniejszych i większych projektów – ale główne, strategiczne decyzje dotyczące korytarzy, szlaków, systemu, zostały już podjęte. Dziś musimy pracować nad tym, jak przeprowadzić te inwestycje z korzyścią dla polskiej gospodarki, jak przygotować do nich polskie firmy, bo to wielka szansa rozwojowa właśnie dla polskich przedsiębiorstw, polskich wykonawców, polskich produktów. Na tym infrastrukturalnym ruszcie musimy upiec jak największą pieczeń gospodarczą.

eprasa.pl 209ccf7e7a

Jak regulować rynek pożyczkowy po pandemii?

Regulacja rynku pożyczkowego i tzw. przepisy antylichwiarskie od lat wzbudzają wielkie emocje na rynku finansowym i w politycznym tyglu. Każda właściwie próba ochrony klientów instytucji finansowych natychmiast rodzi reakcję rynku firm pożyczkowych, które podnoszą argumenty wolności gospodarczej, wykluczenia finansowego i odpowiedzialności każdego za swoje decyzje. Państwo podejmuje jednak regularnie próby ochrony konsumentów – klientów instytucji pożyczkowych, wprowadzając progi ostrożnościowe, ustalając maksymalne koszty pożyczek czy ograniczając zjawisko tzw. rolowania długów. Czy regulacja rynku pożyczkowego jest zjawiskiem pożądanym? Jak regulując rynek, ograniczając apetyty pożyczkodawców, nie wyrzucić poza system wsparcia finansowego osób, które z różnych powodów nie mogą skorzystać z kredytów bankowych? Znalezienie złotego środka jest zadaniem skomplikowanym, choć – zakładamy – nie niemożliwym. W procesie legislacyjnym jest opracowany w Ministerstwie Sprawiedliwości projekt zmian w przepisach antylichwiarskich. Czas zatem na dyskusję...

Publikujemy zapis debaty, w której uczestniczyli zarówno autorzy nowelizacji, przedstawiciele instytucji nadzorczych, jak i reprezentanci wszystkich instytucji finansowych działających na rynku.



Fot. Andrzej Wiktor

Uczestnicy debaty:

- **minister Marcin Warchoł**, sekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, pełnomocnik rządu ds. praw człowieka
- **minister Piotr Patkowski**, podsekretarz stanu w Ministerstwie Finansów, główny rzecznik dyscypliny finansów publicznych
- **minister Paweł Zagaj**, zastępca rzecznika finansowego
- **Marcin Mikołajczyk**, zastępca przewodniczącego KNF, odpowiedzialny w Urzędzie KNF za nadzór nad sektorem bankowym
- **Tomasz Chróstny**, prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów
- **Tadeusz Białek**, wiceprezes Związku Banków Polskich
- **mec. Paweł Grabowski**, dyrektor departamentu prawnego w Polskim Związku Instytucji Pożyczkowych
- **mec. Paweł Pelc**, wiceprezes Stowarzyszenia Rynku Kapitałowego UNFE
- **mec. Małgorzata Cichosz**, Krajowy Związek Banków Spółdzielczych
- **Moderacja:** Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej”

eprasa.pl 209ccf7e7a



eprasa.pl 209ccf7e7a

Maciej Wośko: ***Panie ministrze, to naturalne, że zaczniemy od pytania o założenia projektu. Jakie były intencje twórców nowelizacji ustawy antylichwiarskiej – czyli, jak rozumiem, przepisów zapobiegających niekontrolowanemu wzrostowi szarej strefy pożyczkowej, budującej zyski na najbiedniejszych klientach?***



Marcin Warchoł: Nasz projekt opiera się na trzech filarach. Pierwszy to komponent cywilnoprawny, regulujący stosunki w tym zakresie. Drugi element – administracyjny, wprowadza nadzór KNF nad rynkiem pożyczek, a trzeci – regulacje karnoprawne, doprecyzowujące całkowity koszt udzielonego świadczenia i definiujące precyzyjniej przestępstwo lichwy. Wiele rozwiązań jest konsekwencją tego, co wprowadziliśmy w tarczy covidowej dwa lata temu, np. zakaz przewłaszczenia na zabezpieczenie, zakaz egzekucji z nieruchomości przy niewielkim długu i nowy typ przestępstwa lichwy oraz zakaz tzw. rolowania długu. Dodatkowo jeszcze zostały obniżone koszty pozaodsetkowe, które zostały jasno zdefiniowane, by konsument miał pełną informację o tym, ile będzie musiał zapłacić za pożyczkę. Obecnie uzupełniamy je o limit kosztów pozaodsetkowych w relacjach osoba fizyczna–osoba fizyczna, regulowanych przez Kodeks cywilny. Następnie w tym komponencie administracyjno-prawnym, jak wspomniałem, wprowadzamy nadzór KNF, co oznacza, że po raz pierwszy w historii będzie regulator, który będzie czuwał nad tym, żeby podmiotom słabszym w tym obrocie, czyli pożyczkobiorcom konsumentom nie działa się krzywda. I trzeci komponent – karny, nawiązujący do definicji przestępstwa lichwy. W Kodeksie karnym dodajemy § 25 w art. 115, który definiuje, czym są wymienione w art. 304 § 2 „koszty inne niż odsetki”.

Ministerstwo Finansów obserwuje cały rynek w związku z niwelowaniem skutków kryzysu COVID-19. Zakładam, że analizujecie też wpływ pandemii na rynek kredytowy. To dobry moment na wprowadzanie zmian?

Piotr Patkowski: Na wstępie warto sprostować jedną rzecz. Chodzi o pojawiające się pogłoski o tym, że były jakieś fundamentalne różnice między resortem finansów i sprawiedliwości przy opracowywaniu założeń ustawy regulującej rynek pożyczek. Nigdy nie było. Jeśli chodzi o kierunek zmiany, to zawsze była jednomyślność i co ważne, działania legislacyjne naznaczone były bardzo dobrą, konstruktywną współpracą.

Należy sobie odpowiedzieć na pytanie, czy kredyty obrotowe, brane



w celach konsumpcyjnych, to najbardziej optymalny model, na którym powinny się opierać dochody gospodarstw domowych. Najzdrowszym modelem gospodarki jest sytuacja, kiedy społeczeństwo nie musi się wspomagać tego typu pożyczkami.

Ponieważ państwo z jednej strony bardzo ściśle reguluje sektor bankowy, zwłaszcza od czasów kryzysu finansowego, i w ten sposób otacza bardzo dużą opieką potencjalnych kredytobiorców, to nie ma wytłumaczenia, dlaczego państwo nie miałoby otoczyć podobną opieką klientów także innych instytucji finansowych. Dlatego jeśli obywatel znajdzie się w sytuacji, w której będzie musiał skorzystać z takiej pożyczki, to także powinny zostać narzucone pewne limity regulacyjne – do jakiego poziomu można czerpać z tego tytułu korzyści. Dobrze, że wykonaliśmy pierwszy krok, a kolejnym powinna być regulacja również sektora lombardowego, który takich pożyczek udziela.

Jak słyszymy, w projekcie MS pojawia się zapis o większej kontroli firm pożyczkowych. Instytucje finansowe znajdujące się niejako poza systemem, bez nadzoru KNF, od zawsze są problemem nie tyle dla państwa, ile dla tych instytucji, które nadzorowi podlegają. Dwa – wszyscy mamy prawo sądzić, że państwo nadzoruje rynek i kontroluje instytucje udzielające pożyczek. Czy tak jest?

Marcin Mikołajczyk: Zacznę od tego, gdzie jesteśmy dziś. KNF prowadzi rejestr instytucji pożyczkowych, rejestr, który jest de facto tylko wpisem i nie daje nadzorowi żadnych dodatkowych możliwości wpływania na działalność podmiotów w nim zawartych. Być może ten rejestr daje taką „wirtualną” ochronę klientom, którzy widząc, że dany podmiot znajduje się w tym rejestrze, liczą na to, że działa on zgodnie z prawem. Czy firmy te powinny być objęte nadzorem? Oczywiście tworzą one środowisko nieco na uboczu głównego nurtu rynku finansowego, organizowanego obecnie przez banki komercyjne, banki spółdzielcze czy SKOK-i. Choć oferują produkt zbliżony do oferty pożyczkowej tych instytucji, to jednak są poza bezpośrednim okiem nadzoru ostrożnościowego. I tutaj, uważam, że głównym celem proponowa-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 209ccf7e7a



nych regulacji jest ucywilizowanie i dalsza profesjonalizacja tej części rynku. To może wpłynąć na bezpieczeństwo działania tego rynku, co zakładam w efekcie przełoży się też na jego rozwój, na zmianę oferty, na większe poczucie bezpieczeństwa klientów. Wydaje się też, że ustalenie ogólnych, równych zasad dla całego rynku finansowego też jest z korzyścią dla podmiotów już na nim obecnych, takich jak banki czy SKOK-i. Tym samym zwiększamy standardy funkcjonowania samego rynku. Co do elementów, które procedowana ustawa wprowadza, jeśli chodzi o zakres nadzoru KNF, to istotna jest warstwa sprawozdawcza, która pozwoli m.in. na weryfikację stanu rynku i zgodności działalności podmiotów z przepisami prawa, a więc głównie ustawy o kredycie konsumenckim. Kolejnym elementem są zalecenia nadzorcze, a także potencjalne działania sankcyjne, gdyby się okazało, że niektóre z tych podmiotów działają niezgodnie z przepisami. Tak więc KNF otrzymuje narzędzia do tego, żeby efektywnie wykonywać swoje zadania. To jest kluczowe z punktu widzenia nadzorcy, który chce mieć możliwość kontroli i wpływania na to, co na tym rynku się dzieje. W innym przypadku mamy taką sytuację jak dziś, kiedy sam rejestr nie daje żadnego komfortu ani klientom, ani też nadzorowi. Realizacja kompleksowego nadzoru nad tym rynkiem wymaga oczywiście współdziałania z UOKiK i Rzecznikiem Finansowym, które są skupione bezpośrednio na kwestiach ochrony konsumenta.

Czy projekt ustawy antylichwiarskiej zakłada, że to KNF będzie kierowała wnioski o ewentualne ukaranie nieuczciwych podmiotów do organów ściągania?

Marcin Warchoł: Tak, projekt przewiduje przede wszystkim tzw. opłatę sankcyjną 5 tys. zł stanowiącą konsekwencję nieprzekazania KNF informacji o wysokości uzyskanego przychodu i służy finansowaniu działalności KNF.

Następnie jest kara administracyjna z grzywną do 15 mln zł, możliwość wykreślenia firmy z rejestru instytucji pożyczkowych i wreszcie oczywiście odpowiedzialność karna. To jest ten katalog najważniejszych narzędzi, jakie dostanie KNF, który obejmie nadzór o charakterze systemowym, niewnikający bezpośrednio w poszczególne indywidualne relacje konsument–pożyczkodawca, ich ocena i kontrola zostanie po stronie UOKiK i Rzecznika Finansowego, które zresztą już dziś te zadania realizują i pomagają konsumentom na etapach poszczególnych umów. Mamy zresztą nawet dwa raporty Rzecznika Finansowego, pokazujące gigantyczną skalę nadużyć ze strony pożyczkodawców, i to również było dla nas pewnym asumptem do określonych działań. Rzecznik Finansowy pokazał, jak wygląda rolowanie, wciskanie kolejnych pożyczek osobom, których na to po prostu nie stać, bez zbadania ich zdolności kredytowej. Dlatego m.in. wprowadzamy obowiązek jej badania. Rzecznik Finansowy raportował, jak wygląda przymuszanie do podpisywania weksli, a przypomnę, że dziś nie ma maksymalnej sumy zabezpieczenia tego typu pożyczki. My to wprowadzamy. To bardzo istotne, by zastaw czy weksel miały swoje limity. Nie może być tak, że za pożyczkę 3 tys. zł klient musi zgodzić się na weksel opiewający na 100 tys. zł. Wreszcie będzie obowiązek kontroli przez notariusza i sąd tzw. poddania się egzekucji przez dłużnika i nadania klauzuli wykonalności. Dziś notariusze sami ograniczają swoją rolę do urzędnika, który jedynie parafuje to, co wcześniej wydarzyło się między pożyczkodawcą i pożyczkobiorcą. Poddanie się egzekucji przez dłużnika w formie aktu będzie wiązało się ze sprawdzeniem jego podstawy prawnej, a w przypadku umowy pożyczki lub umowy, do której przepisy o pożyczce stosuje się odpowiednio – z dodatkową weryfikacją, czy nie naruszono przepisów o odsetkach maksymalnych i maksymalnych kosztach pozaodsetkowych. Dajemy do tego bardzo wyraźnie podstawy w ustawie. Wreszcie sąd będzie zobowiązany sprawdzić, czy może nadać klauzulę wykonalności umowie ewidentnie krzywdzącej jedną ze stron, co w przypadku umowy pożyczki będzie wymagało zweryfikowania, czy przedmiot pożyczki rzeczywiście został wydany. Te wszystkie rozwiązania składają się właśnie na kompleksowość tej ustawy, o której wcześniej wspominaliśmy.

Rzecznik Finansowy jest z pewnością bezpośrednio zainteresowany zmniejszeniem liczby sporów pomiędzy klientami a instytucjami finansowymi. Jak pana zdaniem można osiągnąć jasne, uczciwe zasady obowiązujące na rynku – czy interwencje Rzecznika mają jakiś skutek wobec firm pozostających de facto poza systemem?

Paweł Zagaj: Warto zauważyć, że to raport Rzecznika Finansowego z 2018 r. dotyczący kredytów konsumenckich był przyczynkiem do powstania projektu tzw. ustawy antylichwiarskiej w 2019 r. Przede wszystkim selekcjonował on i definiował naruszenia, jakie pojawiały się na rynku, wskazując jako główny problem kwestie związane z tzw. rolowaniem kredytów. Raport wskazywał również na skalę tych naruszeń. Oczywiście z racji tego, że Biuro Rzecznika Finansowego w ramach swoich kompetencji jest bardzo blisko klienta, widzieliśmy bezpośrednio także te trudne społecznie sprawy.

Uważam, że w procesie cywilizowania tego rynku, jak to określił pan przewodniczący Marcin Mikołajczyk, istotnych jest kilka elementów. Rzecznik Finansowy zwracał uwagę, że regulacja rynku firm pożyczkowych powinna być zupełna, i to w dwóch aspektach, tzn. powinna obejmować potencjalnie wszystkich klientów bez względu na rodzaj czy formę prowadzenia działalności przez

eprasa.pl 209ccf7e7a

firmy udzielające pożyczek. Drugi aspekt dotyczył wyeliminowania praktyk, które Rzecznik dostrzegał na tym rynku. Z analizy przedłożonej przez rząd projektu ustawy wynika, że w większości identyfikowanych przez nas problemów zostały one objęte regulacją. Pozytywna jest również deklaracja ministra Piotra Patkowskiego, że planowane są prace legislacyjne w zakresie regulacji funkcjonowania lombardów.

Cieszy mnie także to, że w tak szerokim gronie zgadzamy się, iż celem naszych działań jest utrzymanie bezpieczeństwa i wysokiej ochrony konsumentów na tym rynku. Tym istotniejsze jest objęcie nadzorem ostrożnościowym KNF wszystkich podmiotów z tego sektora. Od strony systemu ochrony konsumentów pozabankowy rynek pożyczek konsumenckich będzie „nadzorowany” przez trzy instytucje. Oprócz bowiem KNF publicznoprawną kontrolę przepisów chroniących zbiorowe interesy konsumentów sprawuje prezes UOKiK, a w sprawach indywidualnych Rzecznik Finansowy.

Wejście w życie przepisów w obecnym brzmieniu może spowodować zmniejszenie liczby skarg konsumentów na usługi firm pożyczkowych. Powstaje jednocześnie pytanie, czy zmianie ulegnie rynek pożyczkowy. Należy założyć, że konsumenci będą poszukiwali możliwości pozyskania gotówki. Jeżeli wejście w życie przepisów spowoduje, jak zapowiadają przedstawiciele branży, ograniczenie w dostępie do kredytów, to czy klienci będą poszukiwali innych rozwiązań, mniej dla nich bezpiecznych? Aby to kontrolować, konieczny będzie odpowiedni monitoring rynku i zachowań konsumenckich. Istotne mogą być także działania edukacyjne, głównie kierowane do osób zagrożonych wykluczeniem finansowym.

Jakie jest stanowisko UOKiK, bo to do państwa m.in. ostatecznie trafiają potem ci najbardziej poszkodowani przez nieuczciwe firmy pożyczkowe. Rozumiem, że poza bezpieczeństwem klientów chodzi też o zasady równej konkurencji na rynku? Czy w związku z tym nie ma pan poczucia pewnego rozdwojenia swojej roli?

Tomasz Chróstny: Najważniejszym elementem, który uzasadnia potrzebę zmian w ustawie, jest konsument i jego ochrona. Powód? Niedopuszczalne nieprawidłowości na rynku. Kilkadziesiąt postępowań, które UOKiK prowadził wobec firm pożyczkowych, zakończyło się wnioskami do prokuratury, mieliśmy bowiem do czynienia z przestępstwami. Co obserwowaliśmy? Przekroczenia limitu kosztów, bezprawne rolowania, wprowadzenia w błąd, ale też w przypadku wcześniejszej spłaty pożyczonej kwoty nieuczciwe instytucje nie zwracały Polakom części opłat i prowizji, co wymusza ustawa o kredycie konsumenckim. Nasze działania rozpoznają też inne nieprawidłowości i stałe próby omijania prawa, choćby poprzez nieprawidłową konstrukcję umów leasingowych. Dziś zwłaszcza małe firmy pożyczkowe są nastawione na agresywne mechanizmy sprzedażowe i windykacyjne, stanowią największe zagrożenie dla konsumenta. Co do nadzoru KNF, a chodzi tu głównie o nadzór ostrożnościowy, to pamiętajmy, że wiele firm pożyczkowych jest finansowanych z obligacji. My już wcześniej wyrażaliśmy stanowisko, że tego typu obligacje nigdy nie powinny być oferowane konsumentom. Wprowadzanie zakazu ich emisji spowoduje, że instytucje pożyczkowe będą się musiały finansować środkami własnymi, co wzmocni bezpieczeństwo rynku finansowego.



Dalsze pozytywne skutki regulacji to większa dostępność informacji dla klientów oraz wymóg oceny zdolności kredytowej. Działa tu prosta zasada: im bardziej rzetelna ocena zdolności kredytowej, tym mniej niespłacanych pożyczek. Nowe zasady niosą zatem korzyści także dla instytucji pożyczkowych: ograniczenie kosztów pozaodsetkowych będzie dla nich mniej dotkliwe. Sięgając po dane z BIK, widzimy jak na dłoni, że po przywróceniu limitów kosztów pozaodsetkowych, wprowadzonych ustawą o kredycie konsumenckim, liczba udzielanych pożyczek wzrosła aż o 72 proc. Rzeczywiście, te pożyczki są dziś szeroko oferowane, natomiast w zeszłym roku, gdy obowiązywały regulacje wynikające z tarczy antykryzysowej, został osiągnięty podstawowy cel – ograniczenie liczby pożyczek do 30 dni, które stanowią największe zagrożenie dla finansów konsumentów. To ważna zmiana, bo to właśnie pożyczki krótkoterminowe były, są i będą największą pułapką dla klientów – stosunek wysokości opłat i prowizji do kwoty udzielonej pożyczki często jest tutaj najbardziej przesadzony. W toku prac nad regulacją dyskutowaliśmy nawet, czy w ogóle nie zakazać oferowania tak krótkich pożyczek. Kolejny ważny i potrzebny krok, który realizuje proponowana regulacja, to podniesienie progu kapitałowego do miliona złotych. Wszystkie wymienione powyżej zmiany są w mojej ocenie tymi, które z nawiązką świadczą o pozytywnym charakterze tych rozwiązań prawnych.

Czas zatem na głos rynku. Zakładam, że branża pożyczkowa jest trochę jak internet – unika jak może regulacji, nadzoru, ograniczeń, by móc jak najszybciej i właśnie bez ograniczeń się rozwijać, a dzięki temu wspomagać osoby pozostające poza zdolnością kredytową. W mediach już pojawiły się informacje, że nowe przepisy wpłyną na rynek, likwidując miejsca pracy w branży.

Paweł Grabowski: Branża pożyczkowa jest zbiorem przedsiębiorców, którzy zatrudniają pracowników, i jeśli firmy pożyczkowe upadną, to zlikwi-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 209ccf7e7a



dowane zostaną miejsca pracy. Muszę jednak pewne informacje uzupełnić. Przede wszystkim fałszywa jest teza, jakoby wprowadzane regulacje nie miały wpływu na liczbę udzielanych pożyczek i były korzystne dla konsumentów. Otóż wprowadzenie limitu tzw. kosztów pozaodsetkowych dla pożyczek oferowanych do 30 dni na poziomie 5 proc., spowodowało całkowite zaniechanie ich podaży w pierwszych kwartałach pandemii. Regulator ma duży wpływ na to, jaki produkt jest oferowany na rynku, a doświadczenie ostatnich miesięcy pokazuje, jak łatwo jest wykluczyć finansowo setki tysięcy Polaków. Według danych PZIP w pierwszych pięciu kwartałach pandemii instytucje pożyczkowe wydały 3,5 mln odmów udzielenia pożyczki, co było przede wszystkim efektem tymczasowego obniżenia limitu kosztów odsetkowych. Dokonując regulacji rynku pożyczkowego, warto wiedzieć, że im niższy jest limit kosztów pozaodsetkowych, tym wyższy „approval rate", czyli poziom wymogów, jakie konsument musi spełnić w toku oceny zdolności kredytowej, aby otrzymać pożyczkę. Limit ustalony zbyt nisko powoduje, że teoretycznie – jest tanio, jednak uzyskanie w praktyce pożyczki jest niezwykle trudne, a dla wielu klientów wręcz niemożliwe.

Omawiany projekt spowoduje, że zniknie podaż finansowania, które oferują instytucje pożyczkowe, ale nie spowoduje jednoczesnego zniknięcia popytu na pożyczki. Konsumenci będą szukać finansowania, tylko gdzie je znajdą? Powstaje pytanie, czy wypchnięcie z legalnego rynku to jest ten model ochrony konsumenta, o który nam chodzi? Kiedy w 2020 r. padła propozycja tymczasowego ograniczenia limitu kosztów pozaodsetkowych, to organizacje branżowe ostrzegały, że obniżenie limitu poniżej poziomu rentowności spowoduje nie tylko załamanie podaży pieniądza na rynek, lecz również straty po stronie firm, które udzielają takich pożyczek. Wówczas słyszeliśmy: „Przesadzacie". Nie przesadzaliśmy, bo sprawozdania finansowe instytucji pożyczkowych za rok 2020 pokazują stratę przekraczającą 200 mln zł. Dane te zostały potwierdzone również przez Główny Urząd Statystyczny. Nie wiem, dlaczego w toku procesu legislacyjnego do tej pory nie uwzględniono tych danych, może warto byłoby je uzupełnić na etapie prac w parlamencie.

Chcę podkreślić, że jeśli chodzi o walkę z lichwą, tę, która wymyka się spod jakiejkolwiek regulacji – to popieramy działania mające na celu eliminowanie patologii. Planując regulację, musimy jednak uważać, aby nie wylać dziecka z kąpielą. Chcę wierzyć, że nie jest intencją pana ministra zakończenie działalności instytucji pożyczkowych, tylko stworzenie dobrych regulacji, które będą nie tylko chroniły konsumentów, ale też dadzą możliwość funkcjonowania przedsiębiorcom. W tym celu konieczny jest dialog, dlatego mam nadzieję, że będzie on kontynuowany na etapie prac w parlamencie, bo wiele jest do poprawienia i skorygowania w projektowanej regulacji.

Koszty wychodzenia z kryzysu powinny być rozłożone sprawiedliwie i proporcjonalnie – takie hasło padło, jak pamiętam, wobec banków właśnie, gdy ruszały tarcze antykryzysowe i ograniczenia w wysokości limitów pozaodsetkowych. System wraca do normy?

Tadeusz Białek: Sprawiedliwe i racjonalne rozłożenie kosztów wychodzenia z kryzysu w bankach przejawiało się w dużym stopniu w bardzo mocnym zaangażowaniu w pomoc zarówno klientom, jak i udział w dystrybucji pomocy rządowej. Chcę przypomnieć, że to banki, zanim jeszcze pojawiła się tarcza czy zanim pojawiły się regulacje na poziomie unijnym, uruchomiły na szeroką skalę moratoria kredytowe. Więcej, regulacje w tym zakresie pojawiły się dopiero, kiedy banki z własnej inicjatywy udzieliły już ponad miliona tych wakacji kredytowych, i w raporcie europejskiego urzędu nadzoru bankowego wskazano, że pomoc udzielona przez banki w Polsce dla klientów była jedną z najwyższych w Europie.

Równe i sprawiedliwe rozłożenie kosztów wyrażało się także w tym, że banki z własnych środków wdrożyły ogromnym kosztem operacyjno-logistycznym systemy dystrybucji środków z tarczy PFR, dodatkowo ponosząc koszty egzekucji tych środków, które – co prawda w niewielkim procencie – okazały się nienależnie przyznane.

Co do meritum naszej dyskusji, a zwłaszcza limitu pozaodsetkowego wprowadzonego w czasie pandemii, to wydaje się nam – i to wybrzmiało również w wypowiedziach przedmówców, że ta regulacja była nadmiarowa, że wprowadzony limit nie do końca spełnił oczekiwania, choć wiadomo, i to dobrze rozumiemy, że wiosną 2020 r. nikt nie mógł przewidzieć, jak ta sytuacja się rozwinie i potoczy. I choć tzw. consumer finance



to nie jest podstawowa działalność banków, które raczej koncentrują się na finansowaniu gospodarki, to też nie jest tak, że banki nie widzą, że ten limit kosztów pozaodsetkowych przy kredytach konsumenckich jest oderwany

eprasa.pl 209ccf7e7a

od rzeczywistości, od rzeczywistych kosztów rentowności udzielania (zwłaszcza im dłuższy okres kredytowania konsumenckiego – jak w bankach i SKOK-ach – tym bardziej produkt będzie nieopłacalny, a powinno być raczej odwrotnie).

Powiem więcej, jeszcze zanim ten limit wszedł w życie, to już kilka banków, właśnie z uwagi na niską rentowność kredytu konsumenckiego, zdecydowało się w ogóle zrezygnować z udzielania tego typu świadczeń. Dlatego, o ile rozumiemy okoliczności towarzyszące wprowadzaniu tego limitu na wiosnę 2020 r., o tyle wprowadzając teraz limit na stałe, jest to propozycja kontrproduktywna. Proszę zwrócić uwagę, że skupiłem się jedynie na tym limicie, bo naprawdę dostrzegamy pozytywne aspekty tej regulacji. To np. walka z mafią mieszkaniową czy objęcie nadzorem instytucji pożyczkowych. Potrzeba uzyskania kredytu krótkoterminowego będzie zawsze obecna na rynku i jeżeli nie będzie legalnych dostawców, którzy będą ten produkt dostarczać pod odpowiednim nadzorem, to doskonale wiemy, że znajdą się podmioty, które znakomicie odnajdą się w tej rzeczywistości, a będą oczywiście pochodziły z szarej strefy.

Panie mecenasie, spółdzielcze kasy oszczędnościowo-kredytowe kierują ofertę właśnie do szeroko rozumianej części biedniejszych kredytobiorców, a walka z wykluczeniem finansowym jest jednym z elementów DNA SKOK-ów. Jak pan ocenia proponowane zmiany?

Paweł Pelc: Z punktu widzenia spółdzielczych kas oszczędnościowo-kredytowych największym problemem jest wysokość całkowitego limitu kosztów pozaodsetkowych. On może wygenerować dwa skutki. Po pierwsze, wyklucza osoby o zbyt dużym ryzyku kredytowym, po drugie, wymusza też skrócenie terminów, na jakie udzielane są pożyczki, gdyż po przekroczeniu pewnego okresu ryzyko udzielenia takiego kredytu staje się już po prostu zbyt duże.

SKOK-i nie mają tak komfortowej sytuacji jak banki. Środki na działalność kredytową Kas pochodzą od członków Kas, którymi są osoby fizyczne oraz podmioty trzeciego sektora działające wśród członków, a więc fundacje, organizacje pozarządowe, osoby prawne, związki wyznaniowe i inne tego typu podmioty. W przypadku Kas jeśli pojawią się jakieś dodatkowe koszty, to pojawia się też ryzyko, które tak naprawdę muszą wziąć na siebie członkowie Kas. Tu nie ma innego źródła.

To, co odróżnia SKOK-i od banków, to też niemożność przerzucenia się na inny typ kredytów niż konsumenckie, które stanowią zdecydowaną większość akcji kredytowej prowadzonej przez kasy oszczędnościowo-kredytowe. Regulacja ustawowa znacznie ogranicza SKOK-om możliwość udzielania kredytów niekonsumenckich i te wszystkie kwestie sprawiają, że SKOK-i mogą głównie udzielać kredytów konsumenckich, realizując misję walki z wykluczeniem finansowym.

Gdyby nadal obowiązywały limity kosztów pozaodsetkowych, wprowadzone tymczasowo w czasie walki z pandemią, to tak naprawdę SKOK-i musiałyby znacząco ograniczyć akcję kredytową i odrzucić prawie jedną czwartą aplikacji o pożyczkę ze względu na zbyt duży poziom ryzyka, nieznajdujący pokrycia w kosztach, którymi można obciążyć członków Kas. Czyli powrót do zmniejszenia limitu kosztów pozaodsetkowych rodzi duże ryzyko zwiększenia zjawiska wykluczenia finansowego. Dlatego rozpoznając bardzo dobre intencje twórców projektu nowych regulacji, wydaje się, że ta kwestia wymaga szczególnego przemyślenia. Zwłaszcza że jeśli przyjrzeć się uzasadnieniu tłumaczącemu wprowadzane zmiany, w którym ani banki, ani SKOK-i nie występują jako przykłady złych praktyk.

Banki spółdzielcze działają najbliżej lokalnych społeczności, a kredytowanie opiera się w dużej mierze na dobrej znajomości sytuacji kredytobiorcy. Rozumiem intencje ustawodawcy, który stara się ustalić pewne, jak już powiedzieliśmy – bezpieczniki. Pytanie, czy nie okażą się one zabójcze dla spółdzielczych instytucji o niewielkim kapitale.

Małgorzata Cichosz: Projekt ustawy, która w założeniu miała walczyć z patologią na rynku pożyczek gotówkowych, dotknie cały system bankowy, w tym też banki spółdzielcze. Banki spółdzielcze działają w dużej mierze lokalnie i pomagają walczyć z wykluczeniem finansowym właśnie w tych najmniejszych społecznościach. Banki te podlegają licznym regulacjom krajowym, wspólnotowym, rekomendacjom KNF regulującym prowadzenie ich działalności i ponoszą wiele obciążeń z tym związanych. Oczywiście niepokój banków spółdzielczych budzi perspektywa kolejnej regulacji, która w efekcie doprowadzi do zmniejszenia rentowności określonej grupy produktów. Obniżenie limitu maksymalnych pozaodsetkowych kosztów kredytu konsumenckiego spowoduje, że te produkty bankowe, które obejmują niższe kwoty, w których stosunek kosztów stałych do kwoty kredytu jest wysoki, przestaną być po prostu rentowne. To w efekcie może doprowadzić do wykluczenia finansowego części konsumentów. KZBS popiera wszelkie działania, które mają na celu ochronę konsumentów. Jest to niezwykle istotne, oczywiście popieramy też wszelkie działania, które mają na celu walkę z lichwą – ale nie można lichwy utożsamiać z legalnie działającymi instytucjami finansowymi, jakimi są banki. W uzasadnieniu projektu ustawy przytoczono wiele przykładów patologii na rynku pożyczek. Żaden z nich nie dotyczył jednak banków. Walka z patologiami na rynku pożyczek powinna się opierać na sprawnym działaniu organów do tego upoważnionych, czyli UOKiK, organów ścigania, wymiaru sprawiedliwości, w ramach istniejących już norm prawnych. Brak jest merytorycznego uzasadnienia dla dalszego obniżania limitów maksymalnych pozaodsetkowych kosztów kredytu konsumenckiego, a ochrona konsumentów może być realizowana na podstawie już obowiązujących przepisów prawa. Dalsze obciążanie sektora banków spółdzielczych nie przełoży się na lepszą ochronę konsumentów, natomiast może wpłynąć negatywnie na kondycję tego sektora.

eprasa.pl 209ccf7e7a



Jeszcze w grudniu po pieniądze z PROW

W Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa trwają cztery nabory wniosków o wsparcie finansowane z Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich 2014–2020. W najbliższych dniach ARiMR uruchomi kolejne dwa

Do 29 grudnia 2021 r. – Wsparcie inwestycji w przetwarzanie produktów rolnych, obrót nimi lub ich rozwój

Nabór adresowany jest do firm przetwórczych, które zajmują się wytwarzaniem pasz na bazie surowców niemodyfikowanych genetycznie, czyli bez GMO, oraz do prowadzących działalność w zakresie przetwarzania i sprzedaży hurtowej ziół. Maksymalna wysokość wsparcia wynosi do 15 mln zł, jeśli beneficjentem jest związek grup producentów rolnych lub zrzeszenie organizacji producentów, oraz do 10 mln zł w przypadku innych ubiegających się o pomoc.

Do 29 grudnia 2021 r. – Małe przetwórstwo i rolniczy handel detaliczny

W tym naborze wnioski mogą składać rolnicy, ich małżonkowie lub domownicy, którzy zdecydują się na zarejestrowanie działalności gospodarczej w zakresie przetwarzania produktów rolnych. Wsparcie, jakie mogą otrzymać na tzw. małe przetwórstwo, wynosi do 500 tys. zł. Drugą grupę stanowią rolnicy lub ich małżonkowie, którzy nie chcą rejestrować działalności gospodarczej i decydują się na działalność przetwórczą i sprzedaż produktów przetworzonych w ramach rolniczego handlu detalicznego (RHD). W tym przypadku limit pomocy finansowej wynosi do 200 tys. zł.

Do 31 grudnia 2021 r. – Inwestycje odtwarzające potencjał produkcji rolnej

To oferta wsparcia skierowana do rolników, którzy ponieśli w swoich gospodarstwach straty spowodowane klęskami żywiołowymi bądź wystąpieniem afrykańskiego pomoru świń (ASF). O rekompensaty można się starać, jeżeli szkody powstały w roku, w którym jest składany wniosek o przyznanie pomocy lub w co najmniej jednym z dwóch lat poprzednich. Maksymalna wysokość pomocy wynosi 300 tys. zł.

Do 31 grudnia 2021 r. – Wsparcie na inwestycje zwiększające odporność ekosystemów leśnych i ich wartość dla środowiska

O dofinansowanie mogą się ubiegać rolnicy, którzy posiadają las w wieku 11–60 lat o powierzchni od 0,1 ha do 40 ha. Wysokość pomocy jest zróżnicowana i uzależniona od rodzaju leśnych inwestycji oraz warunków, w jakich mają być realizowane. Wsparcie waha się od 8,82 zł za m.b. w przypadku ogrodzenia remizy siatką o wysokości co najmniej 2 m, do ponad 14 tys. zł/ha za przebudowę składu gatunkowego drzewostanu polegającą na dolesianiu luk na powierzchni o nachyleniu powyżej 12°.

Od 10 grudnia 2021 r. do 7 lutego 2022 r. – Inwestycje mające na celu ochronę wód przed zanieczyszczeniem azotanami pochodzącymi ze źródeł rolniczych

Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa

Wnioski mogą składać rolnicy, którzy prowadzą chów lub hodowlę zwierząt gospodarskich i którzy planują w swoich gospodarstwach budowę urządzeń chroniących wody przed azotanami. Nie mogą jednak tego zrobić właściciele ferm drobiu powyżej 40 tys. stanowisk oraz trzody chlewnej powyżej 2 tys. stanowisk dla świń o wadze ponad 30 kg lub 750 stanowisk dla macior. Maksymalnie na jedno gospodarstwo można otrzymać 100 tys. zł w całym okresie realizacji PROW 2014–2020. Wsparcie ma formę refundacji części poniesionych kosztów kwalifikowanych. Standardowo jest to 50 proc., a w przypadku inwestycji realizowanej przez młodego rolnika – 60 proc.

Od 31 grudnia 2021 r. do 31 stycznia 2022 r. – Współpraca – tworzenie krótkich łańcuchów dostaw

Pomoc adresowana jest do grup operacyjnych na rzecz innowacji (EPI). Będą mogły otrzymać na utworzenie krótkiego łańcucha dostaw, np. przez wsparcie metod organizacji produkcji, transportu lub marketingu produktów rolno-spożywczych. Dofinansowanie jest przyznawane w formie płatności zryczałtowanej. W okresie realizacji PROW 2014–2020 dana grupa może otrzymać pomoc tylko raz, a wysokość wsparcia wynosi 325 tys. zł – w przypadku gdy w ramach planowanej inwestycji ma zostać zakupiony środek transportu, 280 tys. zł w pozostałych przypadkach.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 29/1221/F

Fot. Adobe stock

eprasa.pl 209ccf7e7a



Dla PKN Orlen transformacja energetyczna jest nieuchronna i z tej drogi już nie ma odwrotu



Fot. Orlen

Polska coraz bardziej obiera kurs na zieloną energię. Odnawialne źródła energii – fotowoltaika, wodór, biogaz, lądowe i morskie farmy wiatrowe – już teraz stają się istotnym elementem polskiego systemu energetycznego. PKN Orlen jako wiodąca spółka w Polsce i w naszym regionie Europy czynnie w tych zmianach uczestniczy

Fit for 55 – czyli pakiet reform gospodarczych i legislacyjnych ukierunkowanych na walkę ze zmianami klimatu – został przyjęty przez Komisję Europejską w połowie lipca. Ma pomóc w realizacji celu, jakim jest redukcja emisji gazów cieplarnianych co najmniej o 55 proc. do 2030 r. (w stosunku do poziomu z 1990 r.). Do 2050 r. natomiast UE zamierza już osiągnąć zerową emisję netto. Jego realizacja będzie dla krajów UE bardzo kapitałochłonnym zadaniem. Według Europejskiego Banku Inwestycyjnego osiągnięcie 55-proc. redukcji emisji CO_2 przed końcem tej dekady będzie wymagać ok. 350 mld euro dodatkowych inwestycji rocznie.

STRATEGICZNE INWESTYCJE

Do 2030 r. Grupa Orlen przeznaczy na inwestycje łącznie 140 mld zł. Największa część nakładów inwestycyjnych zostanie skierowana na segmenty, które w najlepszy sposób realizują ambicje strategicznego rozwoju spółki. Około 85 mld zł zostanie zaalokowane w nowe, perspektywiczne obszary związane przede wszystkim z energetyką odnawialną i zaawansowaną petrochemią. Z kolei na zwiększenie efektywności obecnych aktywów koncern przeznaczy 55 mld zł.

W nadchodzących latach Orlen zamierza pięciokrotnie zwiększyć moc pochodzącą ze źródeł odnawialnych. W 2030 r. ma ona osiągnąć poziom 2,5 GW. 1,7 GW mają zapewnić morskie farmy wiatrowe, a 0,8 GW – farmy lądowe. Do 2 GW ma wzrosnąć poziom mocy pochodzący z elektrowni gazowych. Do tego dochodzą m.in. inwestycje w biogazownie, a także rozszerzanie dostępności paliw alternatywnych. Do 2030 r. koncern chce udostępnić minimum 1 tys. szybkich ładowarek do samochodów elektrycznych, a także rozwijać sprzedaż takich paliw jak wodór czy CNG/LNG.

W strategię Orlen2030 wpisane jest zobowiązanie osiągnięcia długofalowego celu grupy, czyli całkowitej neutralności emisyjnej w 2050 r. Do 2030 r. koncern zredukuje emisje CO_2 o 20 proc. z obecnych aktywów rafineryjnych i petrochemicznych oraz o 33 proc. w obszarze energetyki. Efektem finansowym strategii Orlen2030 będzie dwuipółkrotny wzrost wyniku EBITDA, do poziomu ok. 26 mld zł w 2030 r.

Grupa Orlen zwiększy również z 1,1 GW do 2,0 GW moc zainstalowaną w nowoczesnych elektrowniach gazowych. W perspektywie 2030 r. nawet 20 proc. gazu wykorzystywanego przez Grupę Orlen będzie pochodziło z własnych

pl 209ccf7e7a

zasobów. Koncern będzie wdrażał również pilotażowe magazyny energii, umożliwiające optymalizację kosztów dystrybucji energii elektrycznej.

W perspektywie 2030 r. segment petrochemiczny będzie generował ok. połowy zysków Grupy Orlen pochodzących z przerobu ropy naftowej. Nową gałęzią segmentu petrochemicznego będzie recykling oraz biomateriały. Do 2030 r. Grupa Orlen osiągnie moce w recyklingu – przede wszystkim plastików – na poziomie do 0,4 mln ton. Będzie również wdrażać zaawansowane technologie gospodarki obiegu zamkniętego.

Do 2030 r. rafineria pozostanie ważnym segmentem działalności Grupy Orlen. Fundamentem jego transformacji będzie zwiększenie efektywności energetycznej, pogłębienie przerobu ropy, integracja z Grupą LOTOS. Istotnym elementem będzie również zwiększenie produkcji biopaliw i paliw wodorowych. W perspektywie najbliższej dekady koncern stanie się jednym z wiodących producentów biopaliw w regionie, w tym zaawansowanych biopaliw drugiej generacji, z mocami produkcyjnymi na poziomie 2 mln ton rocznie. W ramach realizacji strategii Orlen 2030 kontynuowane będą prace nad hubami wodorowymi we Włocławku i Płocku, a także realizowane działania pod kątem produkcji zielonego wodoru.

GLIKOL, BIOGAZ, WODÓR

Istotnym elementem będzie również zwiększenie produkcji biopaliw i paliw wodorowych. W perspektywie najbliższej dekady koncern stanie się jednym z wiodących producentów biopaliw w regionie, w tym zaawansowanych biopaliw drugiej generacji, z mocami produkcyjnymi na poziomie 2 mln ton rocznie.

Orlen Południe, spółka z Grupy Orlen, podpisał porozumienie zakładające zintensyfikowanie prac w obszarze biogazu i biometanu. Rozwój tego sektora OZE wpłynie na wzrost bezpieczeństwa energetycznego Polski oraz zmniejszenie importu surowców energetycznych.

– Wytwarzany przez nas biometan będzie miał kluczowe znaczenie dla dekarbonizacji transportu. Biometan może zostać sprężony do BioCNG, skroplony do BioLNG lub służyć do produkcji biowodoru, stanowiącego komponent paliw ciekłych – mówi Józef Węgrecki, członek zarządu PKN Orlen ds. operacyjnych.

Spółka Orlen Południe nabyła już trzy biogazownie rolnicze, w których z substratów rolniczych, odpadowych i pozostałości z przetwórstwa będzie produkowany przyjazny dla środowiska biometan, wykorzystywany w przemyśle lub energetyce. Jednocześnie Orlen Południe wspólnie z PGNiG złożył wniosek do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów o utworzenie spółki celowej, która zainwestuje w rozwój sieci nowoczesnych biometanowni.

Orlen Południe uruchomił niedawno w biorafinerii w Trzebini pierwszą w Polsce i największą w Europie instalację do produkcji ekologicznego glikolu propylenowego. Jej zdolności wytwórcze wynoszą 30 tys. ton rocznie, co oznacza, że spółka pokryje aż w 75 proc. krajowe zapotrzebowanie na ten produkt. Integralną częścią kompleksu jest pierwszy polski hub wodorowy.

Zielony glikol to wysokomarżowy bioprodukt, czysty i bezpieczny dla środowiska. Jest on wykorzystywany na szeroką skalę, m.in. w medycynie, kosmetyce czy przemyśle spożywczym. Może być też zastosowany w lotnictwie jako środek do odmrażania i odladzania samolotów. Orlen Południe będzie wytwarzać 30 tys. ton ekologicznego glikolu rocznie. To aż o 10 tys. ton więcej od jedynej tego typu instalacji w Europie, która znajduje się w Belgii. Polska będzie europejskim liderem w jego produkcji.



Transformacja energetyczna to kierunek, od którego nie ma de facto odwrotu. PKN Orlen zadeklarował zmiany w swoim biznesie. Rozwijając segmenty zero- i niskoemisyjne, nasza działalność będzie się wiązała z coraz mniejszym obciążeniem dla środowiska naturalnego. Nowy podmiot biznesowy, który powstanie z połączenia PKN Orlen, Lotosu i PGNiG, będzie stać na jeszcze większe inwestycje, a do tego każda firma będzie się koncentrować na tym, co robi najlepiej. Jest to właściwa droga do optymalizacji biznesowej. Połączenie PKN Orlen z Energą pokazało, że to przynosi dobre efekty. Po fuzji nowy podmiot będzie jednocześnie w stanie poukładać nowe i dotychczasowe obszary biznesowe. Chodzi o to, żeby z jednej strony optymalizować funkcjonowanie zakładów produkcyjnych czy linii biznesowych, a z drugiej – żeby istniały centra w ramach grupy, które będą rozwijać nowe obszary, takie jak biogaz, wodór czy paliwa alternatywne.

***Karol Wolff**, dyrektor Biura Strategii i Projektów Strategicznych w PKN Orlen*

Integralną częścią instalacji glikolu jest pierwszy w Polsce hub wodorowy, w którym roczna produkcja wodoru wyniesie 16 Nm^3, z czego aż 75 proc. będzie przeznaczone do produkcji glikolu, a pozostałe 25 proc., po doczyszczeniu, jako paliwo wodorowe. Moce produkcyjne hubu wyniosą 350 ton rocznie czystego wodoru jakości automotive.

PKN Orlen podpisał list intencyjny, wspólnie z 24 innymi podmiotami, w sprawie utworzenia Mazowieckiej Doliny Wodorowej. Produkowany w niej wodór będzie wykorzystywany m.in. w transporcie, energetyce, gospodarce komunalnej i rolnictwie.

Za główny cel przyjęto budowę łańcucha wartości wodoru w obszarze Mazowsza, czego przykładem są planowane do wdrożenia przez PKN Orlen pierwsze projekty wodorowe, m.in. huby wodorowe w Płocku i Ostrołęce, prototypowa lokomotywa wodorowa oraz stacje tankowania wodoru. Koncern rozpoczął postępowania przetargowe na budowę pierwszych polskich stacji tankowania wodoru zlokalizowanych w Poznaniu i Katowicach.

PKN Orlen wdroży również w Zakładzie Produkcyjnym w Płocku nowoczesną technologię uwodornienia olejów roślinnych (HVO – Hydrotreated Vegetable Oil). Realizacja inwestycji, której wartość szacowana jest na ok. 600 mln zł, planowana jest w połowie 2024 r.

OFFSHORE WIND NA BAŁTYKU

Rozbudowa potencjału energetycznego na Bałtyku jest jednym z kluczowych projektów rozwojowych Grupy Orlen. Swoje kompetencje i doświadczenie w obszarze morskiej

Materiał powstał przy współpracy z PKN ORLEN | 32/1221/F

eprasa.pl 209ccf7e7a

energetyki wiatrowej koncern rozbudowuje m.in. poprzez realizację projektu Baltic Power – morskiej farmy wiatrowej o mocy do 1,2 GW, powstającej w partnerstwie z kanadyjską spółką Northland Power.

Według założeń przyjętej i realizowanej Polityki Energetycznej Polski do 2040 tylko do 2030 r. na polskich wodach ma powstać od 9 do 11 GW mocy zainstalowanych w morskiej energetyce wiatrowej. Grupa Orlen zamierza stać się jednym z liderów w tym obszarze m.in. dzięki realizacji strategii Orlen2030. Do 2030 r. na inwestycje w nowoczesną energetykę, w tym na projekty offshore wind, koncern przeznaczy 47 mld zł.

GAZOWA INWESTYCJA W OSTROŁĘCE

Grupa Orlen wybuduje elektrownię gazową w Ostrołęce. Będzie to wsparcie dla krajowego systemu elektroenergetycznego. Zgodnie z założeniami Polityki Energetycznej Polski do 2040 r. tylko w tej dekadzie od Krajowego Systemu Elektroenergetycznego odłączone zostanie ponad 4 GW mocy. Tymczasem wzrost krajowego zapotrzebowania na energię elektryczną szacowany jest na ok. 45 TWh do 2040 r. Koncern zakłada więc dalszy rozwój stabilnych źródeł gazowych, które będą uzupełniały odnawialne źródła energii, na przykład w sytuacji niesprzyjających warunków atmosferycznych.

KORZYŚCI Z CYFRYZACJI

Realizacja celów strategii Orlen 2030 będzie wymagała transformacji wewnątrz organizacji. Kluczowym obszarem będą badania i rozwój oraz innowacje, na które koncern w ciągu dekady przeznaczy łącznie ok. 3 mld zł, czyli około 3 proc. wszystkich nakładów inwestycyjnych. Istotnym elementem zmiany będzie proces cyfryzacji, wspierający podniesienie efektywności produkcji i dystrybucji, ograniczenie śladu środowiskowego oraz budowę relacji z klientami.

– Digitalizacja ma potencjał do redukcji emisji nawet o 35 proc. do 2030 r., dzięki funkcjom optymalizacji i automatyzacji – mówi Aleksandra Trojanowska, kierownik programu digitalizacji w PKN Orlen.

Jak wynika z raportu „Nie ma dekarbonizacji bez digitalizacji" przygotowanego przez PKN Orlen wspólnie z Accenture, digitalizacja wspiera działania z zakresu efektywności energetycznej, z jednej strony oszczędzany jest koszt energii, z drugiej redukowane są emisje gazów cieplarnianych do atmosfery. Z kolei najpopularniejsza z technologii, czyli sztuczna inteligencja, wspomaga optymalizację procesów, które wpływają na redukcję zużycia surowców i wody. Inteligentne narzędzia potrafią również przewidzieć ewentualną awarię maszyny i w ten sposób umożliwiają wczesne wyeliminowanie potencjalnych usterek.

Jak podkreśla Jacek Borek, dyrektor zarządzający Accenture Technology, w Polsce inwestorzy przychylnie patrzą na spółki, które podnoszą efektywność i wspierają ideę trwałego rozwoju na bazie cyfrowej transformacji.

– Przedsiębiorstwa, które wdrażają zasady zrównoważonego rozwoju, zyskują na rentowności i budują wartość dla akcjonariuszy. Według przeanalizowanych przez Accenture danych przedsiębiorstwa osiągające wysokie wskaźniki zrównoważonego rozwoju generują dwu-, trzykrotnie wyższe stopy zwrotu dla akcjonariuszy niż przedsiębiorstwa, które nie uwzględniają zrównoważonego rozwoju w swoich strategiach biznesowych. Przedsiębiorstwa, które już dziś działają zgodnie z zasadami zrównoważonego rozwoju, nie tylko osiągają lepsze wyniki finansowe, lecz też są lepiej oceniane przez światowe agencje ratingowe – mówi Jacek Borek.



Rozwiązania IT nie są już traktowane wyłącznie instrumentalnie, lecz stoją w samym sercu nowych modeli biznesowych. Ponadto takie wydarzenia, jak trwająca jeszcze pandemia, przyspieszyły tempo wdrażania tych zmian co najmniej o dekadę. Dzięki narzędziom cyfrowym już dzisiaj usprawniamy przebieg procesów produkcyjnych, lepiej przewidujemy przyszłe zdarzenia, minimalizujemy zużycie surowców i energii, a w konsekwencji obniżamy emisyjność procesów produkcyjnych. Cyfrowa transformacja pozwala więc na pogodzenie celów biznesowych i środowiskowych, które wielu mogły się dotychczas wydawać sprzeczne. Ważne jest dla nas budowanie kompetencji w zakresie wykorzystania nowoczesnych, cyfrowych rozwiązań zarówno w produkcji, jak i sprzedaży. Digitalizacja to też nie tylko technologie, lecz również doskonalenie procesów biznesowych zarówno w energetyce, jak i rafinerii.

***Patrycja Klarecka**, członek zarządu ds. sprzedaży detalicznej, PKN Orlen*

W lutym 2020 r. w PKN Orlen został powołany Program Digitalizacji jako wspólna inicjatywa Obszaru Informatyki oraz Strategii, Innowacji i Relacji Inwestorskich. Program Digitalizacji ma na celu transformację wszystkich obszarów biznesowych w kierunku pełnego wykorzystania nowych technologii, takich jak zaawansowana analityka danych i sztuczna inteligencja, automatyzacja procesów, internet rzeczy, 5G, AR/VR i inne.

– Digitalizacja jest w stanie istotnie wesprzeć dążenia PKN Orlen do obniżenia emisyjności. Wdrożyliśmy m.in. System Zarządzania Energią w Zakładzie Produkcyjnym w Płocku. Podobny system działa też w czeskiej rafinerii w Litvinovie, należącej do Grupy Orlen. Koszty energetyczne stanowią większość kosztów zmiennych. Dlatego ich optymalizacja jest bardzo istotna i niesie z sobą duży potencjał oszczędnościowy. W rafinerii Orlen Unipetrol w Czechach testowana jest aplikacja optymalizująca produkcję rafineryjną – mówi Artur Groszek, dyrektor wykonawczy ds. informatyki.

PKN Orlen testuje także łączność bezprzewodową piątej generacji na terenie Zakładu Produkcyjnego w Płocku oraz przyległej stacji paliw.

Wszystkie te przedsięwzięcia inwestycyjne w kierunku transformacji energetycznej, wymagające ogromnych nakładów finansowych, ma ułatwić budowa nowego koncernu multienergetycznego, który ma powstać z połączenia trzech kluczowych w segmencie paliwowo-energetycznym firm: PKN Orlen, Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa (PGNiG) i Lotosu.

Robert Olesiński

eprasa.pl 209ccf7e7a

Przełomowy raport o internetowej Polsce



Fot. Shutterstock

Rozwój technologii, cyfryzacja życia, dostęp do coraz szerszego zakresu usług i świadczeń w sposób zdalny stają się dla coraz większej liczby mieszkańców Polski czymś oczywistym, a pokolenie dzisiejszych 20-latków pewnie nie potrafi nawet wyobrazić sobie świata sprzed rewolucji internetowej

Nie możemy jednak zapominać, że wciąż żyją wśród nas ludzie, dla których sprawne poruszanie się w cyfrowym świecie jest nie tyle nowinką techniczną, ile sferą zupełnie obcą. Jak wygląda dziś ich życie, z jakich przyczyn pozbawieni są oni udogodnień, jakie niesie powszechna cyfryzacja, i czy istnieją sposoby, by włączyć te osoby w obszar społeczeństwa zinformatyzowanego?

Na powyższe pytania postanowili poszukać odpowiedzi autorzy raportu „Wykluczenie społeczno-cyfrowe w Polsce. Stan zjawiska, trendy, rekomendacje", które z inspiracji Orange Polska oraz Fundacji Orange zrealizowała Fundacja Stocznia. Już sam tytuł pracy jest intrygujący, dotychczas w przestrzeni publicznej posługiwano się bowiem raczej pojęciem wykluczenia cyfrowego, a nie społeczno-cyfrowego.

eprasa.pl 209ccf7e7a

Skąd ta zmiana? Przytoczmy fragment konkluzji samych autorów raportu: „Z premedytacją zastąpiliśmy w nim [w raporcie – dop. red.] pojęcie »wykluczenia cyfrowego« alternatywnym, nowym w polskiej debacie terminem »wykluczenie społeczno-cyfrowe«. Chcieliśmy podkreślić, że zjawisko związane z nierównościami w korzystaniu z dobrodziejstw technologii informacyjnych to dziś nie tylko jeden z elementów, ale być może już kluczowe ogniwo całego łańcucha przyczyn i konsekwencji decydujących o naszej przyszłości jako jednostek, ale także jako wspólnoty. Wraz ze wzrostem znaczenia usług cyfrowych, także w następstwie pandemii COVID-19, wykluczenie to przestaje być po prostu jednym z wymiarów nierówności, a staje się ich podstawą – kluczem do uczestnictwa w społeczeństwie, a także wyznacznikiem naszej pozycji społecznej w zdigitalizowanym świecie. Osoby wyłączone z poszerzającego się globalnego uniwersum wymiany informacji, usług, treści kultury i wspólnych znaczeń, stają się przez sam ten fakt marginalizowane – już nie ze względu na uwarunkowania, które decydują o ich cyfrowym wykluczeniu, ale po prostu dlatego, że w tym uniwersum nie uczestniczą".

W innym miejscu autorzy precyzują: „W naszym przekonaniu obecnie wykluczenie cyfrowe to także wykluczenie społeczne. Brak dostępu do nowych technologii lub nieumiejętność korzystania z nich to nierówny dostęp do usług publicznych, życia społecznego, edukacji czy rozrywki".

W PANDEMII TO KWESTIA ŻYCIA

W swoich wnioskach z wydarzeń ostatnich miesięcy, które w głównej mierze zdeterminowały wysiłki mające zapobiec rozprzestrzenianiu się pandemii COVID-19, autorzy idą jeszcze dalej i wreszcie stwierdzają wprost: „Dostęp do cyfrowej komunikacji i zdolność do wykorzystania potencjału nowych technologii stała się już nie jednym z czynników determinujących jakość naszego życia, ale być może czynnikiem podstawowym, decydującym już nie o »szansach życiowych«, ale całkiem dosłownie – o szansach na przeżycie".

Rzeczywiście, już w dobie najostrzejszych obostrzeń związanych z COVID-19 podnoszono kwestię trudności, z jakimi borykało się wiele rodzin w Polsce, które z przyczyn materialnych (brak sprzętu takiego jak komputery czy tablety) lub braku umiejętności nie były w stanie uzyskać bezpiecznej konsultacji lekarskiej czy zrobić zakupów online. W 2020 r. powstawały w Polsce alarmistyczne raporty podkreślające konieczność szybkiej eliminacji tzw. białych plam na mapie dostępu do szybkiego internetu. Czym różni się zatem raport, który powstał teraz?

KORZYSTAJĄ, ALE JAK?

Otóż jego autorzy znacznie bardziej dociekliwie przyjrzeli się przyczynom wykluczenia cyfrowego i ta szeroka, bardzo przekrojowa analiza wykazała, że braki sprzętowe czy też brak dostępności sieci dobrej jakości wcale nie są determinantami owego wykluczenia. Autorzy raportu formułują nowe i zaskakujące wnioski: „Wykluczenie z korzystania z sieci ze względu na brak kompetencji obsługi urządzeń i internetu jest dziś w Polsce zjawiskiem marginalnym i stosunkowo łatwym do przezwyciężenia. Ważnym problemem w spektrum wykluczenia kompetencyjnego są za to niewystarczające wiedza i umiejętności osób już korzystających z sieci. [...] O związku między włączeniem (i wykluczeniem) cyfrowym a włączeniem (i wykluczeniem) społecznym decyduje w dużej mierze to, w jaki sposób korzystamy z urządzeń cyfrowych. Zmniejszenie nierówności związanych z aktywnością społeczną, szansami edukacyjnymi, sytuacją na rynku pracy, aktywnością obywatelską, dostępem do ochrony zdrowia czy sposobami korzystania z kultury jest możliwe wtedy, kiedy potrafimy korzystać z narzędzi i usług cyfrowych połączonych z tymi obszarami. Tymczasem w grupach najbardziej narażonych na wykluczenie społeczne i cyfrowe (zwłaszcza wśród osób słabiej wykształconych) wzorce korzystania z technologii są mniej użytkowe i kreatywne niż wśród ogółu użytkowników internetu. W przypadku osób wykluczonych cyfrowo i społecznie częściej występują też dysfunkcyjne wzorce korzystania z sieci (m.in. uzależnienia czy zachowania zagrażające bezpieczeństwu)".

W innym miejscu raportu wybito informację, że zaledwie 25 proc. rodzin o najniższych dochodach nie miało w Polsce internetu w dobie pandemii. Czytamy także, że wyraźnie zmniejszyły się różnice w poziomie dostępu do internetu między dużymi miastami a wsią, a kwiecień i maj 2020 r. to pierwszy moment w historii badań tego zjawiska przez statystykę publiczną, kiedy nie odnotowano istotnych różnic w powszechności dostępu do sieci (co nie znaczy oczywiście, że nie występowały różnice w jakości tego dostępu).

MAMY NA CZYM BUDOWAĆ

Raport można uznać za przełomowy, bo po razy pierwszy pokazuje Polskę jako kraj z dobrą bazą do tego, by w najbliższych latach skutecznie wyeliminować wykluczenie cyfrowe, które jest w nim zdefiniowane bardziej jako zjawisko wynikające z nieufnych ludzkich postaw wobec nowych technologii, niedostatecznych umiejętności czy braku wiedzy niż z deficytu fizycznego dostępu do sieci. Wśród wskazanych rekomendacji działań włączania osób dziś wykluczonych w społeczeństwo cyfrowe wskazano głównie akcje aktywizujące i edukację. Za znakomity przykład mogą tu posłużyć programy Orange Mega-Misja czy #SuperKoderzy, w których zmieniono zasady rekrutacji, zwiększając ją na obszarach o największym statystycznie wykluczeniu cyfrowym. W rezultacie, prawie 20 proc. placówek zakwalifikowanych do udziału w obu programach to szkoły położone w miejscach najbardziej zagrożonych wykluczeniem. Odsetek ten jest ponaddwukrotnie większy niż w poprzedniej edycji programów. Szkoły z obszarów zagrożonych wykluczeniem występują teraz wśród odbiorców programów o 40 proc. częściej, niż wynikałoby z udziału placówek z tych terenów wśród wszystkich szkół w kraju. Dzięki temu można mieć uzasadnioną nadzieję, że w krótkim czasie obszary te przestaną być zaliczane do białych plam na cyfrowej mapie Polski.

Bartosz Życiński

eprasa.pl 209ccf7e7a

Hit tygodnia

Nikon Z9



Każda szanująca się firma fotograficzna (albo taka, którą po prostu stać na to) ma w swoim portfolio aparaty dla profesjonalistów, które oprócz wysokiej ceny wyróżniają się tym, że mają to, co najlepsze w danym momencie, jeśli chodzi o możliwości technologiczne. I tak Canon oferuje model EOS R3, Sony – Alpha 1, Nikon zaś właśnie zaprezentował Z9 – pierwszy w swej ofercie bezlusterkowiec z najwyższej półki. Z9 wyposażony jest w nową, pełnoklatkową matrycę CMOS o rozdzielczości 45,7 mln pikseli i procesor EXPEED 7. Ma najbardziej zaawansowany system autofokusa (493-polowy system AF). Aparatem można zarejestrować ponad 1 tys. zdjęć w pełnej rozdzielczości i formacie RAW z szybkością 20 kl./s w jednej serii. Możliwe jest również fotografowanie z prędkością do 120 kl./s z przy rozdzielczości 11 mln pikseli (JPEG Normal). Jeśli chodzi o możliwości filmowe, to oferuje nagrywanie 8K 24p do 60p, jak również 4K 24p do 120p. Materiał wideo 8K z szybkością 30p może nagrywać przez ok. 125 min, dostępne jest też nagrywanie w formacie ProRes 422 HQII.

Plusy i minusy

+ najbardziej zaawansowany, profesjonalny bezlusterkowiec Nikona
– raczej nie powinno być, to w końcu aparat z najwyższej półki



Wraz z premierą najnowszego bezlusterkowca Nikon zaprezentował też nową wersję adaptera FTZ II służącego do mocowania obiektywów z bagnetem F (czyli starszych, które były i są produkowane do lustrzanek) z bezlusterkowcami z serii Z. Chętni na zakup Z9 muszą się liczyć z wydatkiem rzędu 28 tys. zł. **Premiera**

Motorola Moto G200



Motorola zaprezentowała pięć nowych smartfonów, w tym najmocniejszy z nich – Moto G200. Telefon został wyposażony w procesor Qualcomm Snapdragon 888+ 5G, ma 8 GB RAM i 128 lub 256 GB pamięci na dane. Wyświetlacz ma 6,8-calowy ekran LCD o odświeżaniu 144 Hz. Moto G200 obsługuje standard 5G i sieci WiFi 6E, ma NFC, GPS oraz całkiem sporą baterię 5000 mAh. Jeśli chodzi o możliwości fotograficzne, to główny aparat ma matrycę 108 megapikseli (może rejestrować wideo 8K), drugi – 13 Mpix z obiektywem ultraszerokokątnym f/2,2 i trybem makro, do selfi zaś ma matrycę 16 MPix. Smartfon na polskim rynku kosztuje 1999 zł. **Premiera**

Smartwatche dla dzieci marki Bemi

Na polskim rynku pojawiły się smartwatche stworzone z myślą nie tylko o najmłodszych, lecz także w celu wspierania ich opiekunów, pozwalając im na czuwanie nad bezpieczeństwem dzieci i pozostawanie z nimi w kontakcie. Dostępne są trzy modele: Sport, Fun i Kid. Modele Sport i Fun mają moduł LTE/4G, a Kid – 2G, co pozwala na używanie zegarka jak telefonu. Poza rozmowami głosowymi zegarki zapewniają również możliwość nawiązywania połączeń wideo z wykorzystaniem wbudowanej kamery. Z kolei dzięki modułom GPS, LBS oraz AGPS (dostępnym w Bemi Sport i Bemi Fun) możliwa jest weryfikacja lokalizacji dziecka w czasie rzeczywistym. Pomocna dla rodziców będzie także funkcja wirtualnego ogrodzenia. Umożliwia ona wyznaczenie obszaru, po którym może się swobodnie się poruszać. Jeśli go opuści, rodzic dostanie powiadomienie na swoim smartfonie (za pomocą aplikacji dostępnej na systemy Android i iOS).
Ceny: Kid – 248 zł, Fun – 299 zł, Sport – 498 zł. **Premiera**

Przygotował
Paweł Gadaczek



Reklama | 34/1221/F

eprasa.pl 209ccf7e7a

Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej

POLSKI ŁAD

Polski Ład zapewnia nowy instrument wsparcia dla rodzin z małymi dziećmi

1 stycznia 2022 r. wchodzi w życie Rodzinny Kapitał Opiekuńczy – kolejny element polityki prorodzinnej prowadzonej przez Rząd Premiera Mateusza Morawieckiego. To 12 tys. zł na drugie i każde kolejne dziecko w rodzinie, w wieku od ukończonego 12. do 36. miesiąca życia. Świadczenie będzie wypłacane bez względu na wysokość dochodów rodziny.

Rząd Zjednoczonej Prawicy poświęcił rodzinie wiele uwagi przygotowując w okresie sześciu lat rządów szereg nowatorskich rozwiązań prorodzinnych – w tym m.in. programy Rodzina 500+, Dobry Start, Mama 4+ – co po raz pierwszy w historii w sposób tak spektakularny odmieniło życie wielu polskich rodzin. Tylko w ramach Programu Rodzina 500+ do rodzin trafiło już blisko 170 mld zł. Warto też wspomnieć o ponad dwukrotnym zwiększeniu dostępności miejsc w instytucjach opieki nad dziećmi do lat 3 dzięki rozwojowi Programu Maluch+. Dzisiaj dla najmłodszych dzieci zabezpieczonych jest blisko 211 tys. miejsc „opieki żłobkowej".

Inwestycja w rodzinę

Inwestowanie w rodziny, a co za tym idzie w kapitał ludzki jest sukcesywnie i stale zwiększane. Planujemy, że budżet Programu Maluch+ wzrośnie 3-krotnie do 1,5 mld zł rocznie. W ramach programu Dobry Start w latach 2018-2021 do rodzin trafiło ponad 5,2 mld zł, w tegorocznej edycji objętych nim było prawie 4,5 mln dzieci. Z Karty Dużej Rodziny korzysta już 1,1 mln rodzin wielodzietnych.

Z jednej strony programy skierowane do rodzin z dziećmi, to odpowiedź na oczekiwania Polaków, dla których rodzina jest najważniejszą wartością; z drugiej – odpowiedź na negatywne trendy demograficzne. Niska dzietność, starzejące się społeczeństwo w konsekwencji może być bowiem przyczyną wielu problemów, w tym nawet zahamowania rozwoju gospodarczego.

– 98% Polaków deklaruje, że chce mieć dzieci. Naszą rolą jest likwidowanie barier, które sprawiają, że te marzenia nie urzeczywistniają się – tworzenie takich warunków, żeby rodzice mieli komfort podejmowania decyzji prokreacyjnych i wychowywania dzieci. Rodzinny Kapitał Opiekuńczy jest właśnie takim instrumentem. Ma zapewnić rodzicom małych dzieci wsparcie w wychowaniu i opiece nad nimi, dać poczucie bezpieczeństwa – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

Rodzinny Kapitał Opiekuńczy – dla kogo?

Rodzinny Kapitał Opiekuńczy, to 12 tys. zł na drugie i każde kolejne dziecko w rodzinie w wieku od ukończenia 12. do 36. miesiąca życia. Rodzice sami wybiorą sposób wypłacania świadczenia oraz zdecydują, na co przeznaczą pieniądze. Świadczenie może być wypłacane po 1000 zł miesięcznie przez rok lub po 500 zł przez dwa lata.

– Po ukończeniu przez dziecko pierwszego roku życia, kiedy kończy się urlop rodzicielski, a przed możliwością posłania dziecka do przedszkola jest to z punktu widzenia opieki nad dzieckiem najbardziej wymagający dla rodziców czas. Wtedy też często zapadają decyzje o kolejnych dzieciach. Chcemy, żeby rodzice mieli wybór i komfort podejmowania decyzji czy to o powrocie do pracy, czy pozostania w domu na czas opieki nad dzieckiem, a może o kolejnych dzieciach. Mamy pełne zaufanie do polskich rodziców i wiemy, że tak jak w przypadku środków pochodzących z Programu Rodzina 500+, tak i Rodzinny Kapitał Opiekuńczy zostanie wykorzystany w sposób, który rodziny uznają za najbardziej dla nich odpowiedni. My pozostawiamy rodzinom wybór – tłumaczy minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.



Co ważne, w procesie przyznawania tego świadczenia nie będzie brane pod uwagę kryterium dochodowe. Oznacza to, że rodzice otrzymają je na wszystkie uprawnione dzieci, niezależnie od wysokości dochodu rodziny. Ponadto środki te nie będą opodatkowane.

– Rodzinny Kapitał Opiekuńczy, to nie tylko kolejna inwestycja w rodzinę, w kapitał ludzki, to również wyraz solidarności społecznej. Bowiem to ile będzie się rodziło Polaków, jest sprawą nas wszystkich, całej naszej wspólnoty – dotyczy przyszłości Polski. Bez odwrócenia negatywnych trendów demograficznych, bez wzrostu dzietności, bez inwestowania w rodziny zrównoważony rozwój Polski będzie zagrożony. Przy czym inwestowanie w rodziny zawsze wymaga poszanowania jej autonomii i podmiotowości – podkreśla minister Marlena Maląg.

W 2022 r. Rodzinny Kapitał Opiekuńczy obejmie ca. 615 tys. dzieci. To ok. 3 mld zł dodatkowego wsparcia dla polskich rodzin.

Jak złożyć wniosek?

Tak jak w przypadku świadczeń z programów Rodzina 500+ czy Dobry Start, aby uzyskać prawo do Rodzinnego Kapitału Opiekuńczego, konieczne będzie złożenie wniosku. Można to zrobić za pośrednictwem portalu Empatia, PUE ZUS lub poprzez bankowość elektroniczną. Środki będą przekazywane na wskazane przez rodziców konto bankowe, w wybranej wysokości i okresie wypłacania.

Dofinansowanie do pobytu dziecka w żłobku

Rodzice dzieci, które nie zostaną objęte Rodzinnym Kapitałem Opiekuńczym, będą mogli skorzystać z dofinansowania do pobytu dziecka w żłobku, klubie dziecięcym lub u dziennego opiekuna w maksymalnej wysokości 400 zł miesięcznie. Środki te będą przekazywane bezpośrednio instytucji opieki, do której uczęszcza dziecko (nie więcej niż wysokość opłaty ponoszonej przez rodziców). Według szacunków tym świadczeniem zostanie objętych ok. 110 tys. dzieci.

Inwestycja w przyszłość Polski

Rodzinny Kapitał Opiekuńczy to kolejna ważna inwestycja w rodziny. To także dowód zaufania polskim rodzinom, docenienie ich znaczenia i niezmiernie ważnej roli w społeczeństwie – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

Rodzinny Kapitał Opiekuńczy

od 1 stycznia 2022 r.

+ 12 000 zł

na 2. i każde kolejne dziecko od 13. do 36. miesiąca życia

gov.pl/rodzina

eprasa.pl 209ccf7e7a



Hit tygodnia

Chevrolet Corvette Z06 – auto na sterydach

Najnowsza odsłona Chevroleta Corvette na pewno podnosi ciśnienie wśród fanów superaut. I nie bez powodu. Chevrolet Corvette Z06 będzie dostępny w wersjach: coupé i jako kabriolet, a napędzać Z06 będzie nowy silnik V8 o pojemności 5,5 l i mocy 670 KM. Dzięki pewnemu podrasowaniu modelu (na to wskazuje oznaczenie, czyli właśnie Z06, które wzięło się od kodu oznaczającego „pakiet torowy") nowy Chevrolet Corvette jest przeznaczony nie tylko do jazdy po ulicach, ale i po torze wyścigowym.





Jakie ma osiągi Z06? Oficjalnych danych jeszcze nie ma, ale wiadomo, że 1/4 mili pokonuje w 10,6 s, a do 96 km/h rozpędza się w 2,6 s. Skąd te 96 km? Chodzi o 60 mil przeliczone na kilometry. Co ciekawe, można auto podrasować jeszcze bardziej, o pakiet Z07.

Produkcja pojazdu ruszy w przyszłym roku.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Znamy już oferty na ostatni z czterech odcinków S10 między Bydgoszczą a Toruniem. Dziewięć ofert wpłynęło w przetargu na zaprojektowanie i budowę ponad ośmiokilometrowego odcinka drogi ekspresowej S10 z Emilianowa do Solca Kujawskiego. Najniższą ofertę, opiewającą na kwotę 233 587 961,76 zł, złożyła firma Budimex. Z kolei najwyższą ofertę (309 600 414,07 zł) złożyło konsorcjum Aldesa Construcciones Polska (lider) i Aldesa Construcciones (partner). Budżet GDDKiA na realizację tej inwestycji to 424 475 852,67 zł.

Czy szykuje nam się kolejna afera spalinowa? Deutsche Umwelthilfe, stowarzyszenie zajmujące się ochroną środowiska i konsumentów będące członkiem Europejskiego Biura Ochrony Środowiska, opublikowało raport, z którego wynika, że w mercedesie klasy E z silnikiem Diesla Euro 6 z 2016 r. znaleziono osiem urządzeń, które miały wpływać na emisje spalin (m.in. zmniejszenie emisji tlenków azotu).

Czarne skrzynki w samochodach? Tak, i to już od przyszłego roku. Od maja 2022 r. wszystkie nowe samochody osobowe sprzedawane na terenie Unii Europejskiej, a od maja 2024 r. wszystkie nowe auta, mają być wyposażone w czarne skrzynki. Parlament Europejski poparł nowe przepisy wprowadzające dziewięć nowych systemów bezpieczeństwa, m.in. rejestrator danych na temat zdarzeń, czyli tzw. czarną skrzynkę. Ma to w założeniach zmniejszyć liczbę wypadków drogowych oraz zabitych w tychże. Szacuje się, że dzięki nowym systemom zabezpieczeń na europejskich drogach może zginąć nawet 25 tys. osób mniej.

Czy można dać drugie życie starym klasycznym samochodom? Oczywiście, odpowie każdy, przecież stare auta do dziś jeżdżą po naszych drogach, odnowione, stuningowane, niejednokrotnie wzbudzają zachwyt klasycznym wyglądem. Ale żeby przerabiać je na elektryki? Na taki pomysł wpadł Ford, który zaprezentował model koncepcyjny F-100 Eluminator. Auto bazuje na Fordzie F-100 z 1978 r. i jest wyposażone w dwa silniki elektryczne, które znajdziemy także w Mustangu Mach-E GT Performance Edition 2021. Napęd generuje moc 480 KM i 860 Nm momentu obrotowego. Najciekawsze jest jednak to, że taki silnik, nazwany Eluminator, można zamówić u Forda. Według producenta Eluminator ma pasować też do SUV-ów i ciężarówek.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

Autopromocja

eprasa.pl 209ccf7e7a

NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZY TYGODNIK W POLSCE



Tygodnik „Sieci" inne media cytowały aż 600 razy – to dało nam 1. miejsce w rankingu najbardziej opiniotwórczych tygodników



ŹRÓDŁO: IMM RANKING „NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZE MEDIA W POLSCE", PAŹDZIERNIK 2021

eprasa.pl 209ccf7e7a

KRZYSZTOF JAWORSKI (DŻAWOR)*

Tu miejsce moje, mój świat

Mazurski wiatr, jak w piosence, która w tym roku trafiła do słuchaczy, w duszy mi gra, a z ziemi warmińsko-mazurskiej cały ja. Tu miejsce moje, spełnienie moje, tu mój świat... – jak w tekście utworu.

Życie zawodowe ściągnęło mnie w okolice Warszawy, ale serce zostało tam. Urodziłem się co prawda w Białymstoku, ale wychowałem i w dorosłe życie wchodziłem na Warmii i Mazurach. Tam się kształtowałem, tam wrastały korzenie. Ludzie, których spotkałem, określili mnie na przyszłość.

W ogólniaku w pełni poczułem i zrozumiałem, czym jest dla mnie mazurski wiatr, ale w muzyce i tekście po raz pierwszy tak mocno i wyraźnie wyraziłem mojego serca bicie dziesięć lat temu. Była wtedy taka wielka akcja „Mazury cud natury" pod auspicjami urzędu marszałkowskiego. Brało w niej udział wielu ludzi z różnych środowisk i pokoleń, wszyscy łączyli się ponad podziałami. Cel był piękny, Polska brała udział w światowym konkursie New7Wonders i szczęśliwie udało nam się zdobyć pierwsze miejsce w Europie, a siódme na świecie.

Do walki prowadziła nas piosenka „Mazurski cud" – zainicjowana i współtworzona przez zespół Harlem. Kiedy pisałem do niej tekst, zależało mi (poza dołączeniem do akcji promującej ważne dla mnie miejsce na ziemi) na zwróceniu uwagi na niepowtarzalność tego regionu. Wiedziałem, że piosenka może być tym dobrym, ciepłym komunikatem jako wartość dodana poza główną akcją promocyjną. Utwór stał się hymnem kampanii „Mazury cud natury", był obecny w rozgłośniach radiowych, teledysk pokazywały telewizje.

W nagraniu wzięło udział wielu znakomitych artystów. Wśród wykonawców byli: Janusz Panasewicz, Ryszard Rynkowski, Krzysztof Daukszewicz, Norbi, Wojtek „Łozo" Łozowski (Afromental), Peter (Vader), Drag (Hunter), Czerwony Tulipan, Harlem, połączone chóry Collegium Musicum i Pro Forma.

W akcji promowania Mazur brali też udział znani ludzie z innych niż artystyczna dziedzin. Wspierali ją m.in. jako ambasadorowie podróżnik Jacek Pałkiewicz czy sportowcy, np. Jacek Wszoła.

Dziesięć lat później, w czasie pandemii, która wszystkich nas zaskoczyła, przez którą weryfikowały się różne sytuacje i relacje życiowe, w moim przeświadczeniu – poza ograniczeniami, które przyszły (również dotyczącymi podróżowania po świecie) – przyszła też refleksja, jak piękny kraj mamy i na wyciągnięcie ręki mamy nasz raj. Kiedy zamknęły się granice, głęboki oddech mogliśmy wziąć u siebie – w górach, nad morzem i wśród mazurskich jezior. Ta świadomość była impulsem do stworzenia utworu „Mazurski wiatr".

Jak przy „Mazurskim cudzie", zaczęło się od rozmów z Czarkiem Kaźmierczakiem, klawiszowcem Harlemu, na ławeczce tuż obok ogólniaka, do którego kiedyś chodziłem. Ta ławeczka jest w Olsztynie – mieście, w którym można się zakochać o każdej porze roku.

Warto je zobaczyć w czterech odsłonach. Koniecznie latem, kiedy w pełni widać różnorodność kilkunastu jezior znajdujących się w jego granicach. Zimą, by... pozjeżdżać na nartach. Pod Olsztynem są fajne stoki. Wiosną, gdy wszystko budzi się do życia. I wielobarwną jesienią – Łyna, która płynie przełomami, jest o tej porze niesamowita. Ze starym miastem (niemiecka nazwa Allenstein znaczy dokładnie „Kamień Łyny").

Olsztyn leży na polodowcowych wzniesieniach. To daje magiczny efekt – widać kolejne kościoły z kolejnych miejsc. Zachęcałbym do zrobienia sobie wycieczki, która oprócz plaży miejskiej (przepięknej) i starego miasta z jego przecudnymi uliczkami, uwzględniałaby też dłuższą wędrówkę – po najwyżej położonych punktach. Wieżę widokową zamku Kapituły Warmińskiej czy wejście na most – skąd panoramę widać najlepiej – można sobie zostawić na koniec.

Poza Olsztynem też mam swoje miejsce (chowam je od 40 lat przed światem) – z malutkim domkiem nad jeziorem. Jego lokalizacji nie zdradzę, ale na Warmii i Mazurach urokliwych zakątków nie brakuje. Nie tylko do pływania i leżenia na plaży.

Można przejechać Szlakiem Kopernikowskim lub Biskupim... Można wczytać w przeglądarce: „kapliczki Warmii". Wędrując od kapliczki do kapliczki, człowiek przemieszcza się wijącymi się w lesie drogami, widzi jeziora i niesamowitą architekturę starych domów z czerwonej cegły i z czerwonymi dachami. Jest pięknie, dzieją się niesamowite rzeczy, wynurzają się urokliwe miejsca, i – jak w naszym utworze – wieje wolny mazurski wiatr i wita każdego dnia pełen dobrych myśli „warmińsko-mazurski świt".

Jolanta Gajda-Zadworna

** Gitarzysta, kompozytor, autor tekstów i sporadycznie wokalista (zespół Harlem)*

Fot. Artur Szczepański/Reporter/East News

eprasa.pl 209ccf7e7a



SŁODKO-SŁONY

Czekoladowe dobro

ANNA MONICKA

Kiedy ogarnia jesienny splinek, potrzebny jest klinek. Niekoniecznie alkoholowy, chociaż dobra domowa nalewka – wiśniówka, dereniówka czy pigwówka – nikomu jeszcze w rozsądnych ilościach nie zaszkodziła. Poziom serotoniny podnosi wiele rzeczy. Na przykład spacer z psem, ćwiczenia w siłowni, basen, dobra książka czy film. Genialną odtrutką na światowe problemy jest też jedzenie, zwłaszcza takie, które robi się dla przyjaciół. Ja przynajmniej uwielbiam pichcić smakołyki dla bliskich. Coś jest w przysłowiu, że przez żołądek do serca – to, co jemy, ma ogromny wpływ na nasze samopoczucie. To, co przygotowujemy dla innych również.

Pamiętam, jak kiedyś koleżanka z pracy z okazji swoich urodzin przyniosła ciasto czekoladowe. Wyjęła je, gdy już finiszowałyśmy z robotą, zaparzyłyśmy dobrą kawę i zaczęłyśmy plotkować. Przesiedziałyśmy ze dwie godziny dłużej, tak fajnie nam się gadało. A potem każda z nas wzięła przepis na smakołyk, który zatrzymał nas po godzinach. Chciałyśmy uraczyć nim najbliższych.

Święta to dobry czas na obdarowywanie się słodkościami. Niekoniecznie muszą to być tradycyjne bożonarodzeniowe makowce, pierniki czy keksy. Już sama czekolada to doskonały jesienno-zimowy antydepresant. A ciasto czekoladowe działa jak cały seans u psychoterapeuty.

Przepisów jest mnóstwo, jednak mnie ostatnio ogranicza nietolerancja glutenu u córki. Na szczęście orzechy i migdały może jeść, a i jedne, i drugie, zmielone lub starte, zastępują mąkę pszenną.

Podam wam przepis, który podbił serce moje i koleżanek. To dobry czas, żeby zrobić „podaj dalej". Może z okazji świąt rozproszy i wasze smutki. Niech idzie w świat i robi dobrze...

Potrzebujemy przede wszystkim dobrej gorzkiej czekolady – trzech tabliczek. Do tego dajemy trzy jaja i 150 g mielonych migdałów, garść posiekanych orzechów włoskich lub laskowych, trochę ponad kostkę masła (225 g), szklankę cukru trzcinowego i cukier waniliowy, najlepiej z wanilią burbońską, bo najpiękniej pachnie.

Czekoladę i masło trzeba rozpuścić w kąpieli wodnej, dodać oba cukry i dobrze wymieszać, a potem ostudzić. Dopiero wtedy wbija się jajka i całą masę dobrze miksuje. Na koniec dodajemy posiekane orzechy i migdały, znów mieszamy i pieczemy przez pół godziny w silikonowej foremce jak do tarty. Piekarnik powinien być nagrzany do 180 stopni. Góra ciasta powinna być twarda, ze skorupką, a środek miękki. Ostudzone brownie wstawiamy do lodówki. Smacznego!

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Poznał wół pana swego

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Scenie Narodzenia Pańskiego niemal zawsze towarzyszy wół. Jest tylko tłem. Czy na pewno?

Nieśmiały i spokojny wół jest przedstawicielem rodziny *Bovidae*, nazywanej wołowatymi lub krętorogimi. Krętorogie to największa, licząca ponad 270 obecnie żyjących gatunków rodzina w obrębie rzędu ssaków parzystokopytnych, najbardziej zróżnicowana grupa podrzędu przeżuwacze.

Do krętorogich należą bawoły, bydło, antylopy, gazele, dujkery, kozy i owce. Występują głównie w Starym Świecie. Najmniejsze, afrykańskie dikdiki ważą zaledwie 2 kg. Największe – żubry, bizony, bawoły wodne i bawoły afrykańskie – osiągają masę przekraczającą tonę. Indyjskie gaury bywają jeszcze potężniejsze.

Jak wszystkie parzystokopytne krętorogie mają palce drugi i czwarty zakończone racicami. Podobnie jak inne przeżuwacze mają czterokomorowy żołądek, w którym poszczególne części – żwacz, czepiec, ksiąg i trawieniec – odgrywają rolę w wieloetapowym dobowym cyklu trawienia trudno przyswajalnego pokarmu roślinnego. Wyróżniają je rogi: puste w środku, nierozgałęzione – choć niezmiernie zróżnicowane w kształcie, barwie i formie – rosnące na głowie przez całe życie, niezrzucane jak poroże jeleni i zbudowane nie z kości, lecz będące wytworem skóry.

Od krętorogich wywodzi się bydło domowe: europejskie i afrykańskie od tura, azjatyckie od tamtejszych bawołów. Tur, wielki krętorogi o charakterystycznych, lirowato wygiętych rogach, zamieszkiwał kiedyś nasz kraj i właśnie w Polsce, dzięki opiece królewskiej, przetrwał najdłużej – pomimo starań ostatnia samica padła w 1627 r. w Puszczy Jaktorowskiej, setki lat po tym, jak w innych krajach tury stały się tylko mglistą legendą.

Innym przedstawicielem krętorogich na południowo-wschodnich kresach kraju był suhak, antylopa o rurkowatym, oryginalnym jak u postaci z „Gwiezdnych wojen" nosie. Obecnie suhaki występują wyłącznie w Azji.

Wciąż jednak mamy żubry, które hodowane i wypuszczane przez leśników tworzą największą na świecie populację, oraz kozice tatrzańskie – jeden z czterech podgatunków, którego zasięg występowania dzielimy ze Słowakami.

Ale krętorogi wół u żłóbka to nie tylko kwestie zoologiczne. „Poznał wół pana swego" mówi Izajasz (Iz 1,3), zwracając uwagę, byśmy i my Go rozpoznali.

eprasa.pl 209ccf7e7a



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Psychoza stanu wojennego

Polski karnawał Solidarności musiał się zakończyć, i to jak najszybciej. Tylko ostatni naiwni mogli wierzyć w to, że kraj wyrwie się spod sowieckiego nadzoru i ujdzie mu to na sucho. Podobnie i teraz. Można się tylko łudzić, że polskie wolnościowe fanaberie przełkną gładko unijni eurokraci. I dziś, tak jak w latach 80., suwerenna Polska staje ością w gardle Brukseli, Berlinowi i Moskwie. W efekcie kraj ma na karku dwie wojny hybrydowe. Na zachodzie i na wschodzie. W tej pierwszej uczą nas od roku 2017 unijnej poprawności i „praworządności", szantażują finansowo, a nawet chcieliby „zagłodzić". W drugiej, sterowany przez Kreml Łukaszenka, atakuje ludzkimi pociskami granicę na wschodzie. Wiemy, czym się zakończyły wcześniejsze solidarnościowe marzenia o Polsce. Czym się zakończy brukselski despotyzm, zamachy unijnych sędziów na polską gospodarkę i łukaszenkowska rebelia, jeszcze nie wiemy...

Stan wojenny miał nauczyć Polaków posłuchu, utrwalić w nas poczucie bezbronności i beznadziei. Wojna polsko-polska była przygotowywana dużo wcześniej. W pamiętnym 1981 r. do władzy dochodzi nowa ekipa. 12 lutego 1981 r. nowym premierem rządu zostaje gen. Wojciech Jaruzelski, jego szefem gabinetu gen. Michał Janiszewski, a wicepremierem Mieczysław F. Rakowski, redaktor tygodnika „Polityka". Tak, tej samej gazety, która teraz pisze o panującym w Polsce „faszyzmie". Jednym ze specjalnych zadań, jakie otrzymuje Rakowski, jest utrzymywanie kontaktów ze związkami zawodowymi. Wkrótce po objęciu urzędu spotyka się z szefem NSZZ Lechem Wałęsą.

Wydarzenia nabierają przyspieszenia. 9 lipca, po śmierci kardynała Stefana Wyszyńskiego, urząd prymasa Polski obejmuje kardynał Józef Glemp. Wcześniej jeszcze, w lutym 1981 r., wraz z dojściem do władzy Wojciecha Jaruzelskiego, następują zmiany wśród osób odpowiedzialnych za aparat propagandowy. Na stanowisku szefa Radiokomitetu rozpoczyna się personalna karuzela. Odchodzi Maciej Szczepański, Biuro Polityczne KC PZPR nakazuje prokuraturze wszczęcie przeciwko niemu śledztwa. Ostatecznie zostaje skazany za malwersacje na osiem lat więzienia. Prezesem ds. Radia i Telewizji zostaje Władysław Loranc. I to on w czasie wprowadzania stanu wojennego kieruje zmilitaryzowanymi jednostkami Polskiego Radia i Telewizji. Za jego władzy przebiegała weryfikacja dziennikarzy radiowo-telewizyjnych. Loranc traci stanowisko w grudniu 1982 r., przechodząc na stanowisko kierownika Wydziału Ideologicznego w KC PZPR.

18 października 1981 r. plenarne posiedzenie KC PZPR przyjmuje rezygnację I sekretarza KC PZPR Stanisława Kani i powierza tę funkcję stosunkiem głosów 180:4 gen. Wojciechowi Jaruzelskiemu.

ZROBIĘ LEONIDZIE ILJICZU WSZYSTKO...

Teraz generał ma w kraju już całą władzę. Jest jednocześnie premierem i ministrem obrony narodowej. 28 listopada 1981 r. Wojciech Jaruzelski zapewnia Leonida Breżniewa: „Zrobię Leonidzie Iljiczu wszystko, jako komunista i jako żołnierz, żeby było lepiej, żeby osiągnąć przełom w sytuacji w naszym kraju i naszej partii".

W najwyższych władzach PZPR i administracji stale zwiększa się liczba wojskowych. Armia zagarnia już niemal całą władzę. Podczas październikowej fali strajków nasila się zmęczenie społeczeństwa, bierze w nich udział mniej niż 40 proc. członków związku. Jaru-

eprasa.pl 209ccf7e7a

zelski czeka na dogodny moment. Jednocześnie szef KGB, Jurij Andropow, informuje polską stronę: „Wspomina się o pomocy wojskowej ze strony bratnich krajów. Musimy bronić naszego stanowiska – nie wprowadzać naszych wojsk do Polski". Ostateczną decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego Jaruzelski podejmuje 31 października.

Służba Bezpieczeństwa rusza z akcją zastraszania rodzin aparatu partyjnego, kolportując przygotowane rzekomo przez Solidarność listy proskrypcyjne. Zostaje przedłużona o dwa miesiące służba wojskowa żołnierzom mającym odejść do rezerwy. W teren wyruszają grupy operacyjne mające rozpoznać nastroje ludności. Czesław Kiszczak podczas szkoleń propagandowych nakazywał: „Używać straszaka interwencji, koncentracji wojsk na granicy, że już mogą wejść wojska nie tylko radzieckie, ale czeskie, niemieckie i tu nie ma wyjścia... każda metoda dopuszczalna – straszyć, mówić o tym, że przywódcy Solidarności mówią o wieszaniu".

ŻEROWANIE NA STRACHU

Stan wojenny poprzedzało żerowanie na podsycanym w mediach strachu. Utrwalano szczególnie obawy przed runięciem kraju w gospodarczą przepaść. Przejawy zapaści zaznaczały się m.in. brakiem zaopatrzenia w sklepach i reglamentacją żywności – od kwietnia do października 1981 r. Podsycano też obawy przed zagrożeniem bezpieczeństwa energetycznego kraju w obliczu zbliżającej się zimy. Hasła o wieszaniu komunistów propaguje agentura SB, na fali szerzenia ogólnego strachu przed anarchizacją wywoływaną przez Solidarność.

Jednocześnie najwyższy aparat partyjno-wojskowy miał świadomość, że musi z całym problemem uporać się sam. Podkreślali to Jurij Andropow i dowódca Układu Warszawskiego Wiktor Kulikow: powierzenie zdławienia Solidarności zostawiają polskim sprawdzonym komunistom. Wojciech Jaruzelski, czując narastające brzemię odpowiedzialności, 29 listopada mówił: „Czasu mamy coraz mniej, by zatrzymać bieg niebezpiecznych zdarzeń, ale musimy i możemy to uczynić". Kilka dni później jego frustracja była jeszcze większa, gdy podkreślał: „Jest to potworna, makabryczna kompromitacja dla partii, że po 36 latach sprawowania władzy trzeba jej bronić siłą".

Propaganda, zwłaszcza pierwszych tygodni stanu wojennego, miała paraliżująco wpływać na odbiorcę, oddziałując na wszystkie dziedziny jego życia. Wytyczne Biura Politycznego KC PZPR do Wydziałów Prasy Radia i Telewizji były tu jednoznaczne. W sprawach propagandy w mediach stosowano ręczne sterowanie w każdym szczególe. Zalecano: „Utrzymać psychozę stanu wojennego. Reagować zdecydowanie na przypadki łamania postanowień dekretów i zarządzeń stanu wojennego. Ich treść upowszechniać w środkach masowego przekazu. Dać interpretację i wyjaśnić znaczenie nielegalnych zgromadzeń".

ARESZT GIERKA I JAROSZEWICZA

16 grudnia 1981 r. „Trybuna Ludu" informowała o aresztowaniu przedstawicieli jeszcze niedawnej władzy. Listę 32 aresztowanych otwierały nazwiska niedawnego I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka i wicepremiera Piotra Jaroszewicza. Komunikat oddziaływał paraliżująco i „pedagogiczne", wpływał także na tych, którzy dotychczas byli wierni linii partii, nie mogli być pewni, czy także do ich drzwi nie zapuka jeszcze funkcjonariusz bezpieczeństwa. „Kiedy 13 grudnia o drugiej w nocy obudził mnie gwałtowny łomot do bramy, a po chwili do drzwi i okien, pomyślałem, że nastąpił zamach stanu i władzę przejmują prawicowi ekstremiści. Do głowy mi nawet nie przyszło, że rozkaz aresztowania mogli wydać moi wieloletni podwładni i współpracownicy, z którymi przeszedłem drogę bojową do Berlina i Łaby i przez całe dziesięciolecie zasiadałem w Biurze Politycznym i rządzie", relacjonował dzień stanu wojennego lata później Piotr Jaroszewicz.

Decyzje o aresztowaniu partyjnych kolegów podjął sam gen. Jaruzelski, co tłumaczył potem: „Chodziło w szczególności o to, by zamortyzować ewentualne reakcje społeczne na wprowadzenie stanu wojennego. Mogły być one znacznie ostrzejsze, gdyby internowani zostali tylko działacze Solidarności, a inni – odpowiedzialni również za powstałą sytuację – nie ponieśliby żadnych konsekwencji". Ostatecznie ani Edward Gierek, ani inni internowani towarzysze, m.in. Piotr Jaroszewicz, Zdzisław Grudzień, Jerzy Łukaszewicz, Zdzisław Żandarowski, Jan Szydlak, nie stanęli przed żadnym trybunałem. Objęła ich amnestia z okazji 40-lecia PRL.

Plan działań operacyjno-ochronnych MSW i MON z sierpnia 1981 r. w odniesieniu do personelu i obiektów Komitetu ds. Radia i Telewizji opisywał także charakter działalności propagandowej prezentowanej na antenie. Zgodnie z tymi zaleceniami obok działań propagandy „cywilnej" cały czas równolegle działania propagandowe prowadziło wojsko. Do marca 1982 r. wysiłek propagandowy armii skierowany był na „demaskowanie działań zachodnich ośrodków dywersji ideologicznej i politycznej oraz antysocjalistycznych sił w kraju". Wykorzystywano ruchome środki propagandy specjalnej, m.in. przekazano 23 rozgłośnie elektroakustyczne oraz pięć drukarń polowych do dyspozycji wydzielonych grup operacyjnych, tworzonych przez dowództwa okręgów. Na szczeblu centralnym uruchomiono polowy zespół redakcyjno-poligraficzny, powstało ok. 120 wzorów ulotek o łącznym nakładzie 2,5 mln sztuk. Z tego ok. 50 tys. sztuk z gatunku propagandy czarnej (posługującej się świadomym kłamstwem) i szarej (zawierającej nieco prawdy, ale przetworzonej).

Szczególne znaczenie w pracy propagandowej, bardzo mocno oddziałującej na widza i odbiorcę telewizyjnego, miały filmy dokumentalne emitowane niejako ku przestrodze. Były to opracowania, publikacje i filmy ukazujące walki na Węgrzech w 1956 r. oraz interwencję wojska w Czechosłowacji. W trzecim dniu stanu wojennego wyraźnie zalecano, by nie emitować jeszcze w telewizji „programów relaksowych". Działalność propagandowa wojska w okresie stanu wojennego była niewątpliwie największą operacją tego typu w powojennych dziejach armii.

Autorka jest religiologiem, medioznawcą, profesorem Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu

eprasa.pl 209ccf7e7a

Bożonarodzeniowy czas



Alina Czerniakowska

Czas przed Bożym Narodzeniem w polskich rodzinach wypełniony jest myślami o świętach. Atmosfera przygotowań do tego szczególnego dnia w roku, do Wigilii, nie zmienia się od lat i nikt nigdy tego nie zmieni, żadne modne prądy filozoficzne czy polityczne zarządzenia, żadna tzw. nowoczesność, bo tutaj na polskiej ziemi wiara jest niewzruszona, a tradycja święta. My w Polsce wiemy, co to są roraty, rozświetlone kościoły o poranku, modlitwy adwentowe, przygotowania, by w prawdzie stanąć przed Bogiem i między sobą. Tak zostaliśmy wychowani i nikt nigdy nam tego nie odbierze.

W tym czasie w naszych rodzinach na dalszy plan schodzą wszystkie dyskusje o antypolskiej tzw. totalnej opozycji i nagłośnionej ostatnio aferze korupcyjnej w Unii Europejskiej. „Europa przeżywa kryzys tożsamości – napisał ks. Ireneusz Skubiś, założyciel ruchu „Europa Christi" w referacie programowym kongresu. – Przyczyną takiego upadku stało się odejście od chrześcijańskich wartości, ateizm, wrogość wobec Kościoła. Zauważa się, że współczesne media, które znalazły się w rękach wpływowych grup lewackich, wręcz neomarksistowskich, w sposób skuteczny wywierają wpływ na odejście Starego Kontynentu od jego chrześcijańskich korzeni". Te słowa nabierają wyjątkowego znaczenia dzisiaj, gdy w świat codziennie płyną dramatyczne komunikaty o śmierci i kolejnych tysiącach ofiar bliżej nieokreślonej epidemii groźnego wirusa, a my przerażeni zwykli ludzie zadajemy pytania pozostające bez odpowiedzi. Gdy nagle odchodzi od nas ktoś bliski, pełen siły i planów na przyszłość, cierpienie nie pozwala cieszyć się świętami. „Ludzka niemoc i bezsilność boli najbardziej wtedy, gdy zabraknie pokory przed Bogiem" – napisał Jan Paweł II w książce „Pamięć i tożsamość". Sam doświadczył wielkich cierpień, wcześnie utracił najbliższych, przeżył zamach na własne życie, ciężkie choroby, operacje, ale wszystko znosił bohatersko do końca, nigdy nie zdezerterował, nie poddał się, walczył jak żołnierz, bronił swojego Westerplatte, o czym tak pięknie mówił do młodzieży.

W naszym życiu nagła śmierć kogoś najbliższego wywraca świat do góry nogami. „Cierpienie zawsze jest próbą, czasem nad wyraz ciężką próbą, której poddane zostaje nasze człowieczeństwo. [...] Swoje brzemiona wzajemnie noście. Musimy modlić się wzajemnie za siebie, za chorych i posługujących im, za cierpiących po stracie najbliższych, aby to cierpienie wyzwalało w nas miłość. Cierpienie jest okazją do ujawnienia się moralnej wielkości człowieka, odnosi się nie tylko do człowieka cierpiącego, ale także do wszystkich, którzy powinni podjąć posługę na wzór miłosiernego samarytanina" – Jan Paweł II wiele pisał i mówił o cierpieniu, bo z czasem sam musiał się z nim zmierzyć i nadać mu sens.

W tym bardzo trudnym dla mnie czasie wracam do słów kapelana ks. Mariusza Bernysia zapisanych w książce pt. „Szpital na Banacha. Dzienniczek o cierpieniu człowieka i Miłosierdziu Boga": „Od osób cierpiących, które z pokorą znoszą swój los i ofiarowują cierpienie Bogu, otrzymałem w życiu kapłańskim najwięcej. Takie osoby to cisi, ukryci święci naszych czasów. Spotkania z nimi nauczyły mnie weryfikacji wszystkiego, co w życiu człowiekowi wydaje się ważne. Pokazały mi sens ofiary, nauczyły, czym są naprawdę wiara, nadzieja i miłość jako treści życia konkretnego człowieka".

Miliony palących się świateł na grobach całego świata mówią nam o tym samym – kruchości naszego życia. Każdy inaczej przeżywa śmierć, wszystko zależy od charakteru człowieka, jego życia, wyznawanych zasad, a przede wszystkim – wiary w Boga. Ks. Mariusz Bernyś posługujący w największym szpitalu w Polsce przy ul. Banacha w Warszawie podsuwa chorym i nam cierpiącym po odejściu bliskich taką myśl: „Ważna jest postawa duchowej pokory przed Bogiem, postawa nędzarza, który umie wyciągać ręce do Boga, aby żebrać. W szpitalu często widzę ludzi, których dopiero choroba i całkowita bezradność zmuszają do przyjęcia takiej postawy wobec Boga. Właśnie w tych trudnych doświadczeniach Bóg walczy o naszą miłość, o to, byśmy Go dostrzegli w naszym życiu. Jest to walka o nasze zbawienie". Te słowa ks. Bernysia potwierdzają odwieczną mądrość ludową: „Nie ma innej drogi do Boga, tylko przez krzyż".

Często powtarzała tę myśl matka ks. Jerzego Popiełuszki. Jan Paweł II, odczytując znaki czasu współczesności, stwierdzał, że „stoimy wobec nadludzkiego, dramatycznego zmagania między złem a dobrem, między śmiercią a życiem, między kulturą śmierci a kulturą życia". Tyle pięknych, mądrych treści można odnaleźć w książkach Jana Pawła II, które powinny być najlepszym prezentem na polskim stole w czasie świąt Bożego Narodzenia. Przypomnę tylko niektóre tytuły: „Pamięć i tożsamość", „Wstańcie! Chodźmy!", „Dar i tajemnica", „Miłość i odpowiedzialność", „Przekroczyć próg nadziei", „Myśląc Ojczyzna" i wiele innych. Treści i myśli tam zawarte są prawdziwym eliksirem na nasze skołatane serca, zagubione dusze i mózgi omotane przez speców medialnych.

Jan Paweł II jak nikt kochał nas, kochał Polskę, swoją Ojczyznę, był wielkim, mądrym człowiekiem, darem od Boga na nasze trudne dziś i jutro. Był wśród nas zaledwie chwilę temu, biliśmy brawo, płakaliśmy z radości, a potem ze smutku, gdy odchodził, wydawało się, że rozumieliśmy, co do nas mówił. Teraz trzeba na nowo do niego powrócić, posłuchać, poczytać, zamyślić się, chociaż w te bożonarodzeniowe dni. Tyle niewyobrażalnego zła, kłamstwa, podłych intryg, złości, zawiści jest w naszych rodzinach. „Odnajdziemy Boga i sens życia, gdy staniemy w prawdzie jeden obok drugiego z opłatkiem wigilijnym w dłoni – pisał Jan Paweł II. – Niech szczere łzy obmyją nasze serca, nim Gwiazda Betlejemska zajdzie".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 209ccf7e7a

PRZEZ ŚWIETLIK

Temida Lempart



Wiktor Świetlik

Różne lewicowe formacje podpisały wspólnie coś, co nazywa się Porozumieniem dla Praworządności i ma oczyścić nasz kraj z pisowsko-ziobrowskich złogów prawnych, wprowadzając normy godne matki Unii Europejskiej. Z tej okazji sygnatariusze strzelili sobie symboliczną fotkę pod sądem na warszawskim pl. Krasińskich. Myślę, że mówi ona więcej o tym doniosłym dokumencie niż najdłuższe preambuły czy programy. To dokument wyjątkowy.

A to dlatego, że twarzą tego, przypomnijmy, wydarzenia będącego początkiem walki o najbardziej praworządne, cywilizowane i eleganckie standardy, jest nie kto inny, a Madame Lempart. To ta Marianna Praworządności właśnie z dumą trzyma na zdjęciu dokument, który przywróci nam normalność, kulturę prawną, standardy wypracowane przez dwa tysiące lat tradycji prawnej sięgającej starożytnego Rzymu. To po prostu to, co profesorowi Strzemboszowi, różnym panom nadprofesorom Safjanom, Rzeplińskim i innym leży najbardziej na sercu – Marta Lempart jako symbol sprawiedliwości. Pozostaje wprowadzić zmiany na elewacjach sądów – tam, gdzie są płaskorzeźby bogini Temidy, wymienić je na podobizny pani Lempart.

Nie wątpię, że po wyborach dojdzie do tak potrzebnej zmiany. Ona powinna zresztą towarzyszyć pozostałym. Marta Lempart jako symbol praworządności i walki o państwo prawa powinna zostać ministrą sprawiedliwości. Jak przeczytałem w internecie, ma wykształcenie prawnicze, więc nie ma przeciwwskazań do objęcia towarzyszącej ministrowaniu funkcji prokuratora generalnego. Zresztą nawet jakby coś tam ze studiami pani Marty było nie tak, a wymagania wzrosły, to na pewno wydziały prawa stanęłyby na wysokości zadania i skończyłaby ona studia, a nawet jak trzeba by było, to aplikację prokuratorską bez zbędnego niepokojenia jej samej.

Pozostaje pytanie, jaki program miałaby pani ministra Lempart? To chyba oczywiste. Krótki. Zawarty w jednym słowie. I nie byłoby to słowo „praworządność", tylko to, co pani Lempart i jej podobni przez nią rozumieją, czyli jej najbardziej znane hasło i czynność z nią związana. Czego zresztą ja również jej z serca życzę.

Służba



Lech Makowiecki

Dlaczego profesja strażaka, żołnierza czy lekarza cieszy się największym zaufaniem społecznym? Bo – w sytuacjach ekstremalnych – wykonywanie tych zawodów wiąże się z ryzykiem utraty zdrowia lub życia. Ludzie podejmujący pracę w straży, wojsku czy szpitalu wiedzą o tym doskonale. I są dodatkowo szkoleni w minimalizowaniu zagrożeń. Cóż z tego! Dramatyczne zdarzenia losowe (pożary, katastrofy, kataklizmy, wojny, pandemie itp.) są nieprzewidywalne. To nie parady i gale, ale praktyczny sprawdzian (czyli „krew, pot i łzy") buduje etos tych służb. Powtarzam: służb!

Zawody te różnią się od innych profesji właśnie tym, że oprócz umiejętności fachowych wymagane są dodatkowo nadzwyczajne cechy charakteru: odwaga, odporność na stres i wysokie morale (jak choćby gotowość poświęcenia się dla sprawy). Podczas awarii elektrowni jądrowej w Japonii w bezpośrednią strefę zagrożenia życia pierwsi udali się najstarsi ratownicy. Zgłosili się na ochotnika, chroniąc tym samym swych młodszych kolegów przed zabójczym promieniowaniem. W Polsce kilkadziesiąt lat względnego pokoju wychowało całe pokolenia pacyfistów, ludzi zupełnie nieświadomych tego, co przynieść nam może prawdziwa wojna. Tym bardziej wielki szacunek należy się żołnierzom, którzy z takim oddaniem bronią dziś naszych granic. Czynią to wbrew politycznym koniunkturalistom i „pożytecznym idiotom", którzy im w tej misji przeszkadzają.

I na koniec: jako człowiek wychowany na szlachetnych wzorcach doktorów Judymów jestem pełen podziwu dla tych pracowników ochrony zdrowia (lekarzy, pielęgniarek, ratowników medycznych), którzy – wbrew wszystkiemu i wszystkim – próbują dziś leczyć pacjentów. Medyków kryjących się za teleporadami w placówkach publicznych, ale dorabiających bez skrupułów (i bez maseczek) w prywatnych gabinetach – nie szanuję. A tymi nucącymi radośnie: „Pandemio, trwaj!" – gardzę. Puenta? Jeśli boisz się ryzyka w pracy, która jest służbą, zmień zawód.

eprasa.pl 209ccf7e7a

RZECZY POSPOLITE

Żywot Cezara



Tomasz Łysiak

Było to w trakcie okupacji. Filolog klasyczna Janina Niemirska-Pliszczyńska utrzymywała całą swoją rodzinę już od pierwszych dni wojny – mąż zachorował i wymagał opieki, zajmowała się też dziećmi, sprawami domowymi, a jednocześnie uczestniczyła w tajnych kompletach, nauczając łaciny i greki. Któregoś dnia na ulicy, na której mieszkała w Lublinie, Niemcy zrobili łapankę. Do jej domu wpadło wielu ludzi, zrobiło się potworne zamieszanie – wokół panował tumult i słychać było płacz przerażonych ludzi. Pandemonium. „Wtedy wyszłam do drugiego pokoju – zapisała w jednym ze wspomnień – osunęłam się na kolana i bijąc głową o podłogę tak mówiłam do swojej udręczonej duszy: »Nie wytrzymam tej grozy, uduszę się, zginę, nie jestem w stanie żyć bez uśmiechu«. A dusza odpowiedziała: »Odejdź od teraźniejszości, schroń się przed nią do wnętrza, zajmij się czymś, co ci sprawi radość«". Pani Janina popatrzyła na półki z książkami. Stał tam tomik Swetoniusza. „Wzięłam go do ręki i uśmiechnęłam się. Pamiętam ten moment bardzo wyraźnie" – wspominała chwilę, w której rozpoczęła się jej praca nad tłumaczeniem „Żywotów Cezarów", do dzisiejszego dnia podstawową i ciągle wznawianą, napisaną przepiękną polszczyzną, translacją dzieła Gajusa Swetoniusza Trankwillusa.

Wspominam tę okupacyjną chwilę i ten moment, gdy tłumaczka sięga po łaciński tomik, bo jest mi to bardzo bliskie. Szczególnie, gdy mierzi rzeczywistość, gdy „skrzeczy" i oburza, gdy powoduje, iż tracimy pogodę ducha – wtedy można jak w wody zdroju zanurzyć się w książki i w historię. Punktem wyjścia jest jednak pozycja – „na kolanach". Ta pozycja ciała ludzkiego, którą przyjmujemy, modląc się i nawiązując kontakt z Bogiem, i która niesie za sobą coś jeszcze – pokorę. Gdy zbliżają się święta Bożego Narodzenia – zginają się kolana, a ręka sięga po tom na półce. Kiedyś zapisywany greką, później łaciną, a wreszcie przełożony na język polski. Biblia. Ewangelia. Słowo od Boga. Źródło życia, dobra, prawdy, miłości i spokoju. Zapisany natchnioną duszą. Żywot prawdziwego Cezara. Jedynego Króla. Najpiękniejszy – a zaczynający się od czegoś tak prostego jak żłóbek w stajence.

I jak tu nie lubić Niemców?



Piotr Cywiński

Niemcy urządzają nam Warszawę. Raz już nam urządzili, w pierwszej połowie ubiegłego wieku to było, czyli dość dawno. A że nie poznają miasta w porównaniu z ich zamysłem, postanowili podpowiedzieć nam, jakich błędów musimy unikać, aby bardziej nie psuć i tak już spapranej panoramy stolicy. Kto na przykład wpadł na pomysł, aby na nowo budować stare miasto? Stare to stare, jeśli już uparliśmy się stawiać coś na tak pieczołowicie zaaranżowanej przez nich przestrzeni w Warszawie, mogliśmy zrobić to bardziej nowocześnie. Poza tym tyle innych potrzeb jest teraz, oczyszczalnię ścieków trza naprawić, a pisowskim władzom znów strzeliło coś do głów, by od nowa budować stare – Pałac Saski z przyległościami, kolejny absurd, po niemiecku Widersinn!

„Ekspertom nie podoba się odbudowa Pałacu Saskiego. »To luksusowy kaprys!«", huknął w tytule polskojęzyczny serwis internetowy Noizz. Gdybyśmy byli tak bogaci jak Niemcy, wtedy ewentualnie moglibyśmy się wzorować na odbudowie pruskiego zamku w Berlinie, który przywrócił historyczny kształt centrum ichniejszej stolicy, choć w naszym przypadku i tak byłby to pomysł do luftu. Po pierwsze, jątrzy! Sam prezydent Doda mówił o „zwieńczeniu okupionego potem i krwią podnoszenia Warszawy z ruin"... – po co to przypominać i komu to służy? Po drugie, „Grób Nieznanego Żołnierza straci swoją wyjątkowość", argumentuje ów polskojęzyczny portal, bo odbudowany pałac zniszczy... „dojmującą pustkę wokół niego i stanowiącej jego tło". Okay, dzisiejsi komentatorzy mogą nie wiedzieć, że Grób zaaranżowany został jeszcze przed wojną w kolumnadzie Pałacu Saskiego, który ich matki i ojcowie zlikwidowali w ramach własnej wizji zagospodarowania przestrzennego Warszawy, ale że dojmująca pustka jest, to prawda. Po trzecie, idea odbudowy pałacu to „historyczne oszustwo", ponieważ „nie był to tak istotny obiekt" wyłuszczył portal Noizz (de domo Ringier Axel Springer), przytaczając opinię „Newsweeka" (de domo Ringier Axel Springer), zasięgniętą u kuratora z Muzeum Warszawy. A tak w ogóle, my, Polacy, nie wiemy, „co ma zostać odbudowane: królewska rezydencja czy dom dochodowy moskiewskiego kupca", na co zwrócił uwagę portal Onet (de domo Ringier Axel Springer), i „wmawianie narodowi o odbudowie narodowej pamiątki to nadużycie", koniec cytatu kogoś tam.

Na szczęście mamy niemieckie media, kształtujące po polsku opinię publiczną w naszym kraju. Co my byśmy bez nich poczęli. I jak tu nie lubić Niemców...?

eprasa.pl 209ccf7e7a

Michał Korsun prezentuje:
Murem za polskim mundurem



Wycinki z przeszłości

To szczyt narciarskiej elegancji w grudniu roku 1938. W publikującym to zdjęcie tygodniku „Na Szerokim Świecie" widać, jak mocno góry zawładnęły wyobraźnią ówczesnych Polaków, bo to jeden z najważniejszych tematów. Zamieszczono też piękny wiersz Stanisława Bardczaka.

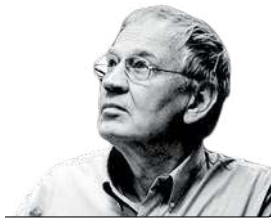
Białym opłatkiem śnieg na polach leży,
Nie wiem skąd – przybyło lazurowej dali,
Nartami dal można za pięć minut zmierzyć,
Na horyzoncie krzyknąć zwycięskie: hallali!

Z kolędnikami z gwiazdą po chatach chodzić,
za gościnę śpiewać radosne kolędy,
w szopkach serc Chrystusa po raz wtóry rodzić,
radość narodzenia wszem głosić i wszędy.

Autor – nauczyciel z Wołynia – niestety najprawdopodobniej nie przeżył wojny, dzieląc los setek tysięcy na Kresach. Po 1939 r. słuch po nim zaginął. Zostawił około 40 wierszy.

(mk)





Leszek Długosz

Baliński – wpis z przeszłości



Z antykwariatu nadeszła przesyłka. Tom wierszy Stanisława Balińskiego, wydany w Londynie w 1948 r., a niemal dekadę później opatrzony wpisem autora. Komu dedykował tę książkę? Nie wiem. W roku jej wydania miałem siedem lat, kiedy powstała dedykacja – 16. I musiała upłynąć jeszcze chwila, zanim spotkałem na swojej drodze wiersze Balińskiego, w PRL nieobecne, zakazane. Zaśpiewałem jeden z nich w Piwnicy pod Baranami. I już został ze mną na całe lata utwór „Jaka szkoda" i jego autor, żyjący równolegle, w Wielkiej Brytanii, a zarazem w samym sercu polskości i Polski.

Poezja Balińskiego utkana jest z najlepszej materii, z najpiękniejszej polszczyzny, przenoszącej tradycje i wartości obecne od pokoleń, zakorzenione, arcypolskie. I tak jasna dla odbiorcy, który w kolejnych linijkach może zobaczyć siebie oraz kogoś obok. Jak w tym króciutkim, złożonym z ośmiu wersów, utworze „Na końcowej stacji":

O, towarzysze dziwnie spędzonych wakacji,
Z którymi los tajemnie nas kiedyś skojarzył,
Zobaczymy się jeszcze na końcowej stacji,
Ze zmarszczkami na czole i ze mgłą na twarzy.

Wyciągniemy z portfelu wygaśnięte wizy
I na czarne perony wyjdziemy pomału,
Ciągnąc za sobą z trudem podróżne walizy,
Pękające od wstydu i ciężkie od żalu.

W tym czasie przedświątecznym, w roku 80. urodzin, myślę o was czule, wszelcy moi towarzysze spędzonych wakacji. Ciągniemy wciąż – nie bez wysiłku, ale z jaką radością! – nasze podróżne walizy!

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 209ccf7e7a



OD A DO ZYBERTOWICZ

Alkoholizm z perspektywy taboretu

Dr Woydyłło winą za alkoholizm obarcza Kościół, ze względu na „jego cierpiętniczą filozofię”

Rodzina jest „siedliskiem patologii” – tak zaczyna wykłady znana terapeutka uzależnień dr Ewa Woydyłło-Osiatyńska. Tak powiedziała w wywiadzie przeprowadzonym przez Magdalenę Rigamonti („DGP”, 29 listopada br.). Woydyłło mówi, że 90 proc. jej pacjentów po raz pierwszy z pijaństwem zetknęło się właśnie w rodzinie. Tylko czy akurat pacjenci pani doktor stanowią grupę reprezentatywną dla rozumienia problemu polskiego alkoholizmu?

Uogólnień w tej rozmowie nie brakuje. Przyznam, że nie jestem pewna, czy wynikają z doświadczenia terapeutycznego i badawczego, czy bardziej są przejawem emocji i uprzedzeń samej terapeutki. Mówi ona m.in.: „Alkohol jest częścią naszej kultury. Polacy piją i piją. A ze względu na dominację katolicyzmu żyjemy w kulturze cierpienia, w kulturze poczucia winy, grzechu, kary bożej […]”. I podkreśla, że upijamy się „na smutno, w cierpieniu, pod okiem Pana Boga, który przecież wszystko widzi, w cieniu krzyża – symbolu męki […]; u nas dla przyjemności nie pije prawie nikt”. Dr Woydyłło winą za alkoholizm obarcza Kościół, ze względu na „jego cierpiętniczą filozofię, jego umartwiające się podejście do życia, brak oświecenia, nieznajomość ludzkiej natury, wstecznictwo, obsesję seksualną […]”.

STEREOTYPY I DANE

Zacznijmy od rodziny. Zgoda, rodzina bywa źródłem patologii – w końcu to w niej człowiek stawia pierwsze kroki, powiela konkretne zachowania. Z tym że żyjemy w świecie cyfrowym, a nasze dzieci, młodzież coraz więcej wzorców czerpią ze swych smartfonów, niejednokrotnie mając w nosie to, co robią i mówią rodzice. Co tam dzieci, iluż dorosłych coraz większą część swego życia spędza w świecie wirtualnym? Czyż internet nie jest jak najbliższa rodzina?

Opierając się na badaniach, Polska Agencja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych wskazuje na niepokojącą tendencję – systematycznie rośnie liczba nadmiernie pijących młodych kobiet i dziewcząt. Kobiety pijące najwięcej alkoholu mają 18–29 lat, pozostają w stanie wolnym, są mieszkankami miast i wygląda na to, że częściej upijają się te z wyższym wykształceniem. Aż chciałoby się zapytać dr Woydyłło: ile z nich pije w poczuciu grzechu, czyli w cieniu krzyża? Ile z nich w ogóle ma coś wspólnego z Kościołem? Ile wyniosło złe wzorce z rodziny, a ile wpadło w pułapkę konsumpcyjnego i korporacyjnego wyścigu szczurów?

Badania CBOS z 2019 r. pokazują, że ponad połowa Polaków deklaruje, że pije alkohol okazjonalnie. Choć w stosunku do badania z 2010 r. nieznacznie zmniejszył się odsetek deklarujących częste picie, to nieco wzrósł udział osób spożywających alkohol czasami, ale z dobrej okazji. A dr Woydyłło mówi, że dla przyjemności nie pije prawie nikt. No to jak to jest? A fenomen sprzedaży małpek? Podobno tych małych butelek z alkoholem sprzedaje się u nas dziennie ok. 3,5 mln! I to wszystko tak na smutno? Z rozpaczy?

Alkohol, zdaniem terapeutki, ma być częścią naszej kultury. Z opublikowanego wiosną tego roku raportu OECD wynika, że problemy z alkoholem mają nie tylko Polacy. Zresztą Polska wypada całkiem średnio. I to wcale nie u nas pije się najwięcej w przeliczeniu na czysty alkohol. Podium zajęły Łotwa i Austria. Z analiz przeprowadzonych w 52 krajach (w tym wszystkie europejskie) widać, że przynajmniej raz w miesiącu upija się 30 proc. osób w wieku powyżej 15 lat, a tzw. szkodliwe picie alkoholu wśród młodych dorosłych w ogóle stało się powszechne. Wśród 15-latków ponad 60 proc. pije alkohol regularnie, a co piąty co najmniej dwa razy się upił.

Jak myślicie, to wszystko przez patologiczne rodziny? Kościół jako winowajca raczej nie wchodzi w grę, bo większość badanych państw jest nowoczesna i oświecona. No to kto odpowiada za alkoholizm na świecie?

BOŻEK WOLNOŚCI?

Wywiad w gazecie uzupełnia prowokacyjne zdjęcie. Pani doktor stoi na taborecie na środku pokoju. Jest ubrana na czarno, z grobową miną, jakby nieobecna. Jest wolna?

Skoro można wybrać życie, jakie się chce, wybrać sobie nową płeć, nienarodzone dziecko przekształcić w płód, to dlaczego nie można się napić?

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 65/1121/F

eprasa.pl 209ccf7e7a

20 grudnia

świąteczne wydanie tygodnika SIECI

z mnóstwem do czytania pod choinką

- Czy Jezus naprawdę urodził się 25 grudnia? Fakty i mity o Bożym Narodzeniu
- Gwiazdka pod okiem FBI, czyli nietypowe święta Jacka Pałkiewicza
- Anatomia anioła – na tropie zagadki
- Tajemnice miłości królewskiej pary Jana III Sobieskiego i Marysieńki
- Nie tylko ropa i węgiel, czyli nowe bogactwa świata



eprasa.pl 209ec7e7a



eprasa.pl 209ccf7e7a